



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

Slav 7106.20,11 (1)

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of  
**THE KELLER FUND**

---

Bequeathed in Memory of  
JASPER NEWTON KELLER  
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER  
MARIAN MANDELL KELLER  
RALPH HENSHAW KELLER  
CARL TILDEN KELLER







18

**PAMIĘTNIKI  
KSIĘDZA JORDANA.**



# PAMIĘTNIKI KSIĘDZA JORDANA.

OBRAZEK INFLANT

w XVII wieku,

PRZEZ

*Kazimierza Bujnickiego.*

„Za dostatek mieli nic nie żądać, przestawając na tém co z ojczystego kraju sobie spsobić mogli.” HILZEN, *Inflanty.*

Tom I.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1852.

SIW 730.20.11 (1)

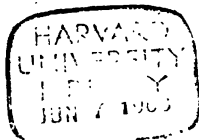


Przedrukować pozwolono z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 6 Lutego 1852 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.



WYDANO Z DUBLETÓW  
Biblioteki Narodowej





**ZIOMKOM MOIM**  
**OBYWATELOM**  
**DAWNEGO KSIĘZTWA INFLANCKIEGO,**

*z prac moich*

**POŚWIĘCAN.**



## PRZEDSŁÓWKO

do wyjątków umieszczonych w Rubonic.

---

Lat temu z górą dwadzieścia, przed wygnaniem Jezuitów z Rossji, bywałem w jednym z ich klasztorów, nie zbyt daleko od méj wsi położonym, a to w celu przeglądania starożytnych ksiąg i rękopisów zamożnej niegdyś biblioteki dyneburskiej tegoż zakonu. Znajomy oddawna Rektorowi, miałem wstęp wolny do tego księgozbioru, uczynności zaś bibliotekarza winienem odkrycie starego rękopisu polskiego (z wieku XVII.) butwiejącego, *inter libris prohibitis*, \*) w osobnej i przed okiem profanów ukrytej szafie. Rękopis ten zawierał w sobie Pamiętniki jednego z członków

---

\*) Uprzedzając zarzut, że możeby lepiej było nieprzerabiać wcale stylu autora Pamiętników, dodaje, iż w piśmie jego całe niektóre okresy pisane są po łacinie, polszczyzna zaś trąci już epoką zepsucia języka Kochanowskich, Górnickich i Skargów.

towarzystwa, kresłone widać kryjomo, i zapewne aż po śmierci jego znalezione. Autor téj autobiografji nazywa siebie *Jordanem*, czy to zaś było jego imie chrzestne czy rodowe, nie przyszło mi się o tém dowiedzieć. Nad spodziewanie moje znalazłem to pismo wielce zajmującym, a nie mogąc posiąść je w całości, udało mi się przynajmniej wyjednać u bibliotekarza *tacitam assensio-nem* wypisania zeń historycznych notat. Korzystając z téj wolności, i nie żałując pracy, wypisałem więcej, niżeli się uczony mój przyjaciel bibliotekarz spodziewał, ale mniej niżelim był sobie zamierzył; w roku bowiem 1820 Jezuita kraj ten na zawsze opuścić musieli, a co się z ich księżnicami stało, i gdzie się teraz ów rękopis znajdować może, jest mi całkiem niewiadomo. Nie zupełna zatem biografia ojca Jordana w ułamkach jego Pamiętników u mnie pozostała: lecz, ponieważ tyczą się epoki obfitój w zajmujące historyczne wypadki, i nad to jeszcze zawierają w sobie pamiątki dawnych obyczajów łotewskiego ludu, składającego dotąd główną ludność części kraju niegdyś *Inflantami* zwanój, postanowiłem udzielić z nich czytelnikom *Rubona* kilka wyjątków, oczyściwszy styl autora z makaronizmów i archaizmów, a nadając mu tok więcej powieściowy.

## PRZEDMOWA.



Gdybym ogłaszał powieść, całkiem nieznaną publiczności, niekładłbym słów tych kilka na ich czele, a zostawiłbym każdemu z czytelników sądzić ją podług upodobania: ale ponieważ wyjątki z niej, drukowane w *Rubonie*, były po kilkakroć i rozmaicie krytykowane, zmuszony niejako jestem do odparcia kilku niesłusznych, jak mi się zdaje, zarzutów.

W wiejskiem mém ustroniu nie mam sposobności czytania wszystkiego co ogłasza polska perjodyczna prassa. Nie odpowiadam więc jak na te tylko zarzuty, które są mi wiadome z nader szczerzej liczby krytycznych przeglądów naszej literatury.

Oto, naprzykład, zarzucano mi naciąganie mojego utworu do celów moralnych. Co przez ten zarzut ehciano powiedzieć nie wiem, ale się tego

nie zapieram żem na pierwszym miał względzie moralność mojego utworu. Słuszniejby powiedzieć można, że, zamierzywszy sobie wystawić w tej powieści obraz dawnych Inflant Polskich, pozwoliłem sobie wodzić czytelnika po różnych okolicach małego tego kraju; jeżeli więc takowy zamiar dobrze się nie dał ukryć, jeżeli niepotrzebną wędrówką tamuję bieg akcji, wielka to jest wina, ale wina w tym razie, leży w wykonaniu nie zaś w planie dzieła. Podobnież i krótki szkic historyczny z dawnych kronik i podań łotewskiego ludu, wolno zganić jako źle skreślony, ale nie można zwać go niepotrzebnie przyczepionym; sądzę owszem iż ta historyczna legendka, ze swemi akcesorjami dawnych pogańskich zwyczajów i obrzędów Łotwy, jest składową, konieczną częścią obrazu.

Wydało się komuś rzeczą niepodobną, iżby osada Łotyszów pogan mogła się znajdować w Inflanciech w pierwszej połowie XVII wieku; lecz dziwniejszém się mu wyda gdy powiem, że w drugiej połowie XVIII wieku odkryto w puszczy Marynawskiej (w powiecie Lucyńskim) siedzibę tychże Łotyszów, o których nikt zgoła nie wiedział, i którzy sami powiedzieć nie umieli, od jakiego czasu ich rodzina znajdowała tam swoje schronienie. Wychodzili oni niekiedy kradkiem ze swęj kryjówki, dla kupowania żelaza i soli w Lucynie, i to się im przez czas długi udawało, aż póki na-

reszcie siekiera trzebicieli lasów, zapuszczając się coraz głębiej w odwieczne starzyny owéj ogromnej puszczy, nie odśłoniła tego ostatniego przytułku ostatnich czcicieli Perkuna. Wypadku tego żyli jeszcze nie dawno naoczni świadkowie: nie potrzebowałem więc szperać po romansach pani de Genlis, ani przenosić z Hiszpanji do Inflant tajemnicze osady, kiedym miał pod ręką domowe i świeże podanie. Zdolniejszy odemnie romansopisarz lepiejby zapewne skorzystał z tego żywego zabytku krajowej starożytności, ale nikt mi, spodziewam się, téj przynajmniej nie odbierze zasługi, żem piérwszy odwzorował z przeszłości obraz prowincji tak mało znanéj, a tak hojnie obdarzonej niepospolitemi wdzięki przyrodzenia, i noszącéj niegdyś tytuł Księżtwa.

Historyczna kanwa méj powieści przedstawia polityczne owoczesne wypadki w lekkich tylko obrysach, bez ubliżenia prawdzie, lecz z użyciem oraz pewnych swobód dozwolonych romansopisarzom. Wspaniałą postać Gustawa Adolfa, lubo w wązkich tu ukazaną ramach, starałem się oddać jak najwierniej, i w tym celu przypatrywałem się z uwagą rysom tego bohatera w różnych dziejowych obrazach. Toż samo rzec mogę o Chodkiewiczu, Gąsiewskim i Sapiezie, których wojennej sławy, Inflanty nie jednokrotnie były teatrem. Wprowadzenie zaś na scenę dawnéj Inflanckiej

szlachty nie mogło zdaje mi się popsuć tła historycznego powieści, przeto iż uczczone wspomnieniem imiona, lubo nie wszystkie są historyczne, wszystkie atoli rzeczywiste, a tutejszemu obywatelstwu znajome. Wszystkie te rodziny istniały w Inflanciech w XVII wieku, wystąpienie więc ich na widownię wskrzesza niejako przeszłość, robi treściwym obraz jako malowidło dziejów, i mile wzrusza serca żyjących potomków. Podług mojego wyobrażenia romans historyczny może, i nawet powinien być nie tylko obrazem jakiego ustępu dziejów, ale oraz przeszłości pojedynczych rodzin. Tym sposobem wydzierają się niepamięci imiona o których nie wspomina historia, lecz których skromne obywatelskie cnoty zasługują na wzmiankę w krajowej literaturze. Azaliż wyborne *Pamiętki Soplicy* nie są prawdziwą skarbnicą pocziwój sławy dla wielu *niehistorycznych* litewskich szlacheckich rodzin? Walter Scott, twórca historycznego romansu, ma też samą zasługę w swojej ojczyźnie. W jego utworach, pomimo różności przedmiotów, pomimo niektórych analogji z innemi literaturami, widzimy przecie *czysto-narodowego* pisarza; a lubo niektórzy z naszych literatów usiłują zaprzeczyć mu tego tytułu, sąd ich wbrew jest przeciwny opinji ustalonej w Anglii o tym wielkim poecie. Chciał-by nam wmówić, że Anglicy źle pojmują na-



rodowość w literaturze?! W ogólności kto pisze dla ukształconej klasy swych ziomków, nie powinien spuszczać z oka względu na stan obecny cywilizacji i literatury; niech się strzeże skazić żywioł narodowy przymieszaniem doń cudzoziemskiego pierwiastku, ale co do formy niech ją kunsztuje jak nadobniej, podług najlepszych wzorów. Zabaczenie tego względu wprowadza mnogich w błędne o sztuce teorje, i dało, zda mi się nastanie tym niesmacznym powieściom, niby to staropolskiego kroju, w których gminna rubasznosc jedyną stanowi cechę narodowego charakteru i obyczajów dawnego wieku. Artysta, przetrząsający skarbnice zabytków narodowej starożytności, jakież z nich wybiera swych obrazów typy? piękne, czy szpetne? w jakiż sposób używa służącej sobie wolności idealizowania postaci swoich bohaterów? nie na wystawienie-li ich, w obrazie, piękniejszymi jeszcze aniżeli byli w naturze? bo też takie jest zadanie sztuki, bo tak się tylko objawia poezja: a poezja jest *prawdą* otoczoną urokiem *piękną*. U nas zaś niektórzy, przez fałszywe pojęcie poetycznej prawdy, nazywają cudzoziemczyzną każde idealizowanie narodowych typów, każdą formę która usiłuje łagodzieć nazbyt twarde rysy, okrzesywać pewne szpecące narośle.

Następuje teraz główny zarzut, z którym trud-

niejsza niż z tamtymi sprawa, zarzut tyczący się charakteru *Roazy*. Nie myślimy też śpierać się uporczywie z temi co utrzymują, iż ten charakter chybiony jest, w niektórych przynajmniej ry-sach. Nie mamy wcale pretensji do głębokiej znajomości kobiecego serca, pomnąc na słowa pani Riccoboni: „*Le coeur des femmes est comme ces pays inconnus, ou l'on aborde sans y pénétrer*” idzie więc tylko o to, czy taka kobięta jak *Roaza* jest niepodobieństwem w naturze, czy przeciwnie? — zobaczmy.

Zdrowy rozum; sposób myślenia najprostszy; serce obdarzone największą czułością, nie namiętne do zbytku, ale zdolne do największych ofiar; nieograniczona wiara w prawdy religji objawionej, i zamiłowanie w jęj nauce — oto ideał podług którego utworzyłem do mojęj powieści tę postać niewieściz; ideał, niższy daleko od wielu wzorów doskonałości chrześcijańskiej, co ich w swém łonie mieści kościół Chrystusowy. Z przymiotów jakie nadałem Roazie żaden dawnym polkom nie był obcy: czemużby zbiór ich w jednę osobie nie miał być prawdopodobnym? Koniecznością było mi przecie bohaterkę powieści zrobić zajmującą. Miałem w tym celu dać jęj charakter *excentryczny*? Nie sędzę: bo to byłby anachronizm \*); pozostawało więc tylko uposa-

---

\*) Dawne polki kochały zapewne z równą mocą, jak dzisiej-

żyć ją nieskapo niewieściami narodowemi cnoty, tom ja też zrobił.

Dotąd mało kto mi zaprzeczy; ale rusztowanie romansu wymagało aby dziewica przeżyła wiek swój dziecinny pomiędzy ciemnymi bałwochwalcami, ukrywającemi się w niedostępnej puszczy. Tu postrzeżono szkopał: ztąd sprzeczność między wykształconym charakterem Roazy a poprzedniczém jój położeniem; kontrast, mówią, nazbyt gwałtowny aby mógł być prawdopodobny. Ten zarzut jest ważny: zrobił mi go M. GRABOWSKI \*), robiłem i ja go sam sobie, i oto jakem (pod zbyt może silnym wpływem ojcowskich wnętrzości dla mojego płodu) zaspokoił ten szkrupał.

Niezwyczajność nie jest jeszcze niepodobieństwem. Liczne przykłady stwierdzają ten pewnik, że się między ludźmi zdarzają natury wyjątkowe, organizacje szczególnie szczęśliwe, którym do rozwinięcia rozumu i ukształcenia serca, krótkiego potrzeba czasu, osobliwie gdy, choćby nieco opóźniona uprawa, napotka w nich umysł nieskrzywiony żadnym sofizmatem, a serce niezarażone

---

sze (bo to jest przymiot serca niewieściego w ogólności) ale nie szalały z miłości po dzisiejszemu, bo lepsze pod tym względem odbierały wychowanie. Obyczaje dawniej Polski nie tamowały miłości między młodzieżą dwojga płci, lecz niepuszczały temu uczuciu wychodzić z granic niewinności.

\*) W prywatnej korespondencji.

egoizmem materialnej cywilizacji. Grube prostactwo, ciemny zabobon, są zaś tylko powierzchowną pleśnią duszy; pleśń ta pod umiejętną ręką łatwo się ściera, i szybkiemu postępowi wychowania rzadko kiedy, i to nie nadługo, przeszkadza. \*) Takim sobie wystawiwszy stan umysłowy Róazy, obrałem ku śpiesznemu jój wykształceniu dwa najsilniejsze wychowawcze środki: *religią* i *miłość*, a jeżeli wpływ miłości ukazał tu szczególnie potężnym i cudownym prawie, mam za sobą ten argument że podobne cuda nie tylko w romansach uznanym są faktem, lecz że i w filozoficznych umysłach dziś znajdują wiarę. Któż albowiem zaprzeczy np. Augustynowi Thierry tytułu *historyka-filozofa*? otoż on twierdzi, z zupełnym przekonaniem, że „uczucie miłości, wśród barbarzyńskiej nawet prostoty, pięknie i wspólnie rozwinać się może, że to jest grunt na którym łatwo szczepić się dają wyższe dążenia“ \*\*).

\*) Wiadomo iż Łotwacy, których dziś zowiemy Łotyszami, byli niegdyś narodem, bałwochwalczym i barbarzyńskim wprawdzie, ale nie dzikim, bo mieli pewne towarzyskie instytucje i ustawy. Podbici i ujarznieni od Krzyżaków, chociaż przyjęli wiarę chrześcijańską, długo jednak wielu z nich czciło kryjomo dawne swe bogi, a Hilzen w swój kronice (pag. 341.) przytacza piękną wcale odpowiedź, jednego z tych pogan, Missjonarzowi katechizującemu, świadcząca o niepospolitym rozumie tego zdzieżałego na pozor człowieka.

\*\*\*) W dziele: „Uwagi nad historją francuzką i opis czasów Merowengskich.

Taki to a nie inny fenomen moralny chciałem ja wystawić w Roazie.

Kiedy więc upada, zda mi się, zarzut niepodobieństwa, zostanie chyba obwinić autora o to już tylko: że nie zdołał bohaterkę zrobić więcej zajmującą, że nieprzygotował lepiej czytelnika do zaszłej w nią zmiany, że go nie ustrzegł od zapomnienia, iż Roaza przeniesiona z lasu, otoczoną została środkami wyższego wychowania, i że po dwuletniem kształceniu się, występuje ona już nie jak *dzika dziewczyna*, ale jak pojętna uczennica żarliwego missjonarza, i marzącego młodzieńca Jordana. Jeżeli wreszcie dwaj ci nauczyciele biednej Roazy zrobili z niej *deklamatorkę*, niechby na nich za to spadła odpowiedzialność. Co do mnie, aby już nigdy nie wpaść w podobny dzisiejszemu kłopot, pilnie się strzedz postanawiam poruczać wychowanie młodego dziewczęcia staremu teologowi, a szczególnie dawać temu za adjunkta młodego marzyciela. Przepraszam za ten zwrót nieco humorystyczny, ale kiedy już wypadło dotknąć polemiki (do której wstrętem mam nieprzewyciężony) staram się ująć ją z weselszej, jeżeli można, strony.

Najzabawniejszy zarzut jaki mi uczyniono, był pomnę, ten: że stary człowiek i Jezuita miałby sobie za grzech opisywać szczegółowo miłości swojej młodości: że tedy ks. Jordan swoją kon-

fessatą sprawił w recenzencie jakieś oburzenie!! Wyznam, że nie pojmuję czemu Jezuita, choćby nawet stary, nie mógł wpaść w grzech podobny? i takó¿, czemu szanowny recenzent został tém zdumiony, aż do oburzenia? Wszakże stare przysłowie mówi, że i ksiądz pleban człowiek.

Nie chcąc przeciągać zbytnie téj przedmowy, opuszczam kilka innych zarzutów małej wagi, albowiem, jak czytelnicy zauważyc raczą, chodziło tu głównie o zasady. -Bronić swych osobistych przekonań jest prawem człowieka, przykładać się do rozjaśnienia zasad sztuki jest powinnością literata; ale walczyć o słowa, o palmę dowcipu, mam to za rzecz prózną i nieszlachetną nawet. Jeden z wielkich pisarzy powiedział, że dowcip celujący w epigramach jest to nic więcej jak nieszlachetność udoskonalona. Skażenie, pod wpływem złego, staje się tu złém doskonałym, wykończoném, i pospolicie nazywa się dowcipnem. Na cześć narodu naszego dodać jednak można, że tylko przez naśladownictwo wad cudzoziemskich i wbrew swojskiemu naszemu charakterowi, zdarza się niektórym z nas hołdować temu rodzajowi literackiego dowcipu.



## I.

**W**IEK dziecinny zbiegał mi w zaciszu domowego życia, we wsi, którą mój rodzic dzierżał dożywociem od Wojewody Smoleńskiego, Referendarza W. X. I., a później Hetmana poln. L. Alexandra Korwina Gąsiewskiego, w nagrodę długoletnich zasług w domu tego Pana. Wieś nasza była awulsem dóbr zwanych *Aul*, alias *Aulia*, nabytych przez Wojewodę w Inflanciech, w Województwie Wendeńskim, trakcie Dynaburskim. Okolica górzysta, obrosła wieczytami lasy, między którymi rozlewają się większe i mniejsze jeziora, płyną rzeki i wiją się gęsto w różnych kierunkach strumyki, piękna oku, lecz dzika, mało zaludniona a mniej jeszcze uprawna. Uporczywie trzeba było walczyć z tak przemożną wegetacją o każdy łan oromego gruntu, ale mozolna praca wynagradzała się stokrotnie obfitością

plony. Na zdobytych trzebieżach puszczy, bujało gęste zboże w około pniów opalonych, jakby złota fala tłukąca czarne szkopyły; tu i ówdzie dąb rozłożysty lub piramidalna jodła wznosiły się samotne, jakby pomniki dawnego panowania lasów. Rybak, strzelec, ptasznik i bartnik z łatwością ojuczali swe barki zdobyczą, ale biedny rolnik krwawym znojem zlewać musiał ziemię zanim go ona chlebem darzyć zaczęła. Ztąd się dawał postrzegać w krajowcach wstręt do uprawy roli i ta szczęśliwa niedbałość, ta spokojna obojętność względem jutra, zwyczajna dzieciom natury, w uposażonym jój bogactwy małoludnym kraju. Łotysz zdaje się nie mieć pojęcia o przyjemności wygodnego życia; całą swą rozkosz zakłada w próżnowaniu na wzór wszystkich niewolników, do ciężkiej używanych pracy. Kiedy mu się więc nawet uda, zebrać grosze, woli je zakopać, aniżeli obrócić na dostarczenie sobie lepszej stawy, schludniejszej odzieży, lub wygodniejszego powozu i sprzętu. Na poddanego kmiecia jedyny. Bierność władz umysłowych czyni go posłusznym wykonywaczem woli swego Pana. Pracuje jak wół, dopóki go niewolą; oddany sam sobie, próżnuje chętnie. Trudno mu wyjść z posłuszeństwa i karności, ale byle raz gwałtowna jaka pobudka wybiła go z tych karbów, trudno się dąże do nich zwrócić. Łagodnego z natury charakteru a tępego rozumu, dziwnie jest łatwowiernym; pobożność tedy jego połączona jest z zabobonnością. Nawrócony do wiary chrześcijańskiej nie mógł się w ciągu wieków



pozbyć zabytków dawnego pogaństwa. Wierzy ślepo w to wszystko, co Kościół podaje do wierzenia, ale też równie ślepo wierzy w gusła i wilkołaki.

W tej to więc na pół dzikiej, ale pięknej krainie, przepędzałem lata me dziecinne. Domowe nasze grono składało się z obojga moich rodziców; ze mnie ich jedynaka, z ojca Anzelma Jezuity Missjonarza, który był razem moim nauczycielem, i ze starego krewnego rezydenta, którego nazywano już panem Jowitą, już Chorążycem. Ekonom i respektowa Panna zajmowali szary koniec u naszego stołu.

Ojciec mój, z tytułu Cześnik Piltyński, był to Polak dawniej daty. Po Bogu, kochał ojczyznę, po niej Króla, po nim Wojewodę swego *benefaktora*, po tym małżonkę i syna, a w kolei Chorążycą, spowiednika, czeladkę i kmięci swoich. Porządku tego w ~~afakcie~~ swoim nigdy i dla żadnego względu nie zmienił. Uległ prawom kościelnym i krajowym, lecz wierny oraz obyczajom swych przodków, gotów byłby się wyłamać z pod władzy duchownej i świeckiej, jeśliby szło o *verbum nobile*, o honor szlachecki, lub o utrzymanie własnej powagi w swym domu. Kiedy słowo, *tak chcę*, wymawiał z podniesioną głową, podkręciwszy wiasa, mała była nadzieja odwrócenia go od jego zamiaru; ale kiedy, stukając o podłogę laską ze srebrną gałką, dodawał: *i tak być musi*; nikthby już z nas (Spowiednika nie wyłączając) słowa wyrzec się nie ośmielił.—Matkę moję nazywał zwykle, *moja panno*, w chwilach dobrego

humoru, *moja rybko*, a niekiedy w rozczuleniu, wspominając swe do niej na dworze Wojewody zaloty: *moja Basiu!* Na mnie czasem wołał *malcze*, czasem *chłopcze*. Księżda tytułował podług humoru, *Reverendissime* lub *Charissime*, Chorążycowi dostawał się odeń czasem przydomek *Burczymucha*, z racji iż stary miewał kaprysy, i rad był poburzczyć, kiedy mu się co niepodobało.—Ubiór powszedni ojca mego, był żupan kitajowy ze skórzanym pasem, na który zimową porą wdziewał ferezję z falendyszu. We dni zaś świąteczne czamara sajetowa z petlicami, żupan bławatny z litym pasem, topazowa szpinka u koszuli, karabela przy boku, a na głowie aksamitny kołpak z futerkiem. W kościele słuchał Mszy ś. klęcząc; na *Elewację* schylał czoło aż do ziemi, a na *Ewangelię* powstawał i ujmował prawą ręką rękęję szabli, jakby gotów był jej dobyć w obronie wiary Chrystusa, *Supplikacje* śpiewał potężnym głosem, aż okna kościelne drżały.

Ile ojciec mój był wyrazem tęgości duszy mężkiej, tyle znowu matka moja łączyła w sobie przymioty i wady czułego niewieściego serca. Nahożna aż do zbytku, dręczyła siebie i spowiednika swego tysiącem szkrupulów, a lubo życie wiodła chrześcijańskie, częste i długie jej spowiedzi kazałyby mniemać, że wielką była grzesznicą. Żywy przytém obraz Marty, troszczyła się o najmniejsze kobiecego gospodarstwa drobnostki, czuwając aby w domu nie zbywało nikomu tak duchownego, jako i cielesnego posiłku. Czeladź pod jej rządem

wiele się modlić i wiele takż pracować musiała; ale że w tém obojgu sama pani była sługom przykładem, a przytém łagodna, ci więc nie mogąc nic jój wyraźnie zarzucić, spędzali swą niechęć na respektowej paninie, po cichu tę przeklinając. Była też to dewotka w całym znaczeniu słowa. Język jój, by kamień młyński, obracał się bez przerwy, już trzepiąc pacierze, już zrzędząc, już obmawiając bliźnich. Miała jednak łaskę u Jejmości, za pilne dozieranie czeladzi i za nadzwyczajną gorliwość w pobożnych ćwiczeniach; oprócz bowiem mnóstwa koronek, różańców, godzinek, litanij, aktów strzelistych i pieśni nabożnych, umiała na pamięć całe *Wojsko affektów zarekrutowanych*, *Pistolet na zabicie grzechu śmiertelnego* i *Heroinę najwybornejszemi modlitwami do nieba szturmującą*. Jegomość protegował ją za wyborne wódki, pierniki, i inne przysmaczki, na których nigdy w apteczce nie zabrakło. Ale wracam do mejj matki. Mąż i spowiednik byli dla niej przedmiotami czci, ja zaś przedmiotem miłości-wyłącznej. Dla kmieci i dla ubóstwa była litościwą. Dla wysokiego rodu niosła uszanowanie, i genealogje znakomitszych domów pilnie chowała w pamięci; tych osobliwie, które miały zaszyt należeć do *parenteli* Smoleńskiego Wojewody.

Ksiądz Anzelm był z rzędu tych żarliwych kapłanów, których zakon *Soc. Jesu* rozsyłał po całym świecie, dla rozszerzenia światła prawdziwej wiary pomiędzy poganymi. Chwała Boża i sława Zakonu, były to

dwa jedyne cele, dla których niezmordowanie poświęcał swą pracę, i w każdym razie życie poświęcić był gotów. Męczeńska palma zdawała się być dlań równie ponętną, jakby dla ojca mego była hetmańska buława, lub krzesło w Senacie. Ztąd częste między niemi zachodziły sprzeczki. Ile razy bowiem ksiądz się odezwał o marności rzeczy ziemskich, Cześniak wykrzykiwał swoje *distinguo*, utrzymując że czy kto krew swą poświęcał za wiarę, czy za ojczyznę, równiej u Boga wart był nagrody; na co się missjonarz żadną miarą nie zgadzał. Nie przychodziło jednak nigdy między niemi do kłótni, bo mój ojciec wielce poważał księdza mającego konsyderację u samego nawet Wojewody, ksiądz zaś przebaczał staremu żołnierzowi zbyt wysokie o znacności cnot rycerskich wyobrażenie. Tej sprzeczności zdań między ojcem i nauczycielem, winien byłem szczególniejsze ukształcenie mojego umysłu. Każdy z nich usiłując we mnie zaszcześcić swoje zasady, dokazał tego tylko w połowie. Charakter mój stał się więc mieszaniną uczuć religijnych i rycerskich; a gdy obok tego, snadź w spadku po matce, wziętem serce tkliwe, nie dostawało tylko krucjaty, bym został prawnym rycerzem wieków średnich. Tak tedy gdy ojciec marzył dla mnie wysoki stopień wojskowy, matka biskupią mitrę, ksiądz nauczyciel męczeńską koronę, jam pragnął tylko modlić się, walczyć i kochać. Pierwszej żądzy miałem sposobność dogodzić należycie, drugą spędzałem na niedźwiedziach, wilkach i rysiach, to-

warzysząc mężnie ojcu mojemu na łowach; trzecia trawiła się własnym swym ogniem w głębi mojego serca, dopóki czas i okoliczności nie dostarczyły jój przedmiotu. — Jest pewny stan duszy w wieku młodzieńczym, który poprzedza wybuchnienie silnych namiętności, stan trudny do opisania, chociaż zostawujący w pamięci długo-trwałe ślady. Jest to jakaś potężna czynność wszystkich władz téj duszy, bez żadnego celu; jakieś dziwne przeczuwanie przedmiotu, na który się one z czasem wywrą tém gwałtowniej, im dłużej nadaremnie poruszały się wewnątrz. Stan ten jest nieznośny. Serce rzuca się na wszystkie strony w młodej piersi, chcąc się jakby pozbyć sił tych zbytkujących. Imaginacja zapala się i tworzy czcze mary, przeciwko którym oburza się rozsądek, nie mając wszakże mocy oparcia się całkiem ułudzie. Skuteczném na ten skryty niepokój lekarstwem, są nauki ścisłe, skupiające uwagę do danego przedmiotu i obcinające, iż tak rzekę, skrzydła wyobraźni. Moje zaś *studia* innego były rodzaju. Dzieła religijnej treści, arcytwory starożytnych klasyków, powieści narodowych dziejopisarzy i pieśni wielkich naszych poetów, kolejno zajmowały mój umysł, więcej dla serca, niż dla rozumu, dostarczając stawy. Zbywający czas od tych zatrudnień, dzieliłem między nabożeństwem i meżkami młodego wieku zabawy. Nie dziw więc że dosięgając 19 roku życia mojego, czułem w sobie ten skryty niepokój i tę walkę wewnętrzną władz duszy obudzonych i działają-

cych bez pewnego kierunku. Ojciec mój, w prostocie ducha, szemrał trochę, że mi, jak się wyrażał, za wiele nauk pakowano do głowy, matka znowu, widując mnie pogrążonego w dumaniach, wzdychała w trwodze, by tyle umysłowej pracy nie nadwładliło mojego zdrowia. Dobra matka odgadywała sercem trapiącą mnie niemoc, ale ksiądz, tłumacząc ten dziwny nastrój méj duszy gwoli swoim widokom, cieszył się zeń i wymagał abym dalej kontynuował *studja*. W czasie długich zimowych wieczorów, zbieraliśmy się do paradnej komnaty, której ściany ozdobione były portretami królów i wodzów sławnych. Na potężnym kominie paliły się suche dębowe kłocce. U ogniska, za pokrytym mataką stołem, siedział w krześle ksiądz Anzelm, mając przed sobą na pulpicyku potężny foljant oprawny w czarną skórę z mosiężnymi klamrami, z którego nam czytał i wykładał dzieje ojczyste z Kadłubka, Długosza, Kromera, Miechowity, Marcina Galla i innych kronikarzy. Żarzące się głównie rzucały ruchawe światło na marsowe lica malowanych wojowników, tak, iż te za każdym buchnięciem płomienia zdawały się błyskać oczyma i wstrząsać głowami. Wyobraźnia moja zapalała się wtedy i przenosiła mnie w owe cudowne wieki pięknej Wandy, i bohatérskiego Krakusa. Sędziwy kapłan w czarnej *piusce* (\*) zgięty nad pomierzchłą księgą, przybierał w mych oczach postać czarnoksiężni-

---

(\*) *Czapeczka księdzowska*, którą koroną czyli płasz przykrywają.

ka wywołującego z grobu cienie wielkich mężów i ozywającego martwe ich na ścianach wizerunki. Ojciec mój słuchał tych uroczych powieści z rozkoszą, popijając zwolna wystawie odlecone piwo, którym lektora i Chorążycę częstował. Nie tyle mu smakowały żywoty Świętych Pańskich, ulubiona matki mojej lektura: ile więc razy ksiądz Anzelm do nich się zabierał, Cześnik wyzywał pana Jowitę w warcaby. Na mnie te legendy podobnyż co i kroniki wywierały urok. Wielkość, mistyczność, cudowność, jedynie przemawiały do mej duszy, co zaś tylko nosiło barwę zimnej prawdy, ziemskości, zwyczajności, znajdowało mię obojętnym.

Z takim charakterem i usposobieniem umysłu, dwie przedemną rozściełały się do wyboru drogi: miecza lub krzyża, wojny lub misji. Dwie także miłości: *seraficka* lub *serdeczna*. Możeby przeważny wpływ mego nauczyciela wziął zaraz górę nad głosem krwi młodzieńczej, bijącej gwałtownie w żyłach, możebym przyniósł Towarzystwu Jezusowemu w ofierze serce nowe, nie przepalone żadną namiętnością, gdyby nie dwie okoliczności, które duchownemu memu powołaniu na czas położyły tamę, wtrącając mię w odmet przygód, jakich w dziecinnych moich marzeniach nieraz sobie życzyłem, nie myśląc wszakże, by mię rzeczywiście kiedy spotkać mogły.



## II.

Jednego razu ojciec mój wybrał się na kilkodniowe łowy, chcąc oraz głębiej zwiedzić okoliczne lasy, i wdrzeć się w niedostępną dotąd starzynę, którą nazywał: *Plaga incognita w państwie Wojewody*. Towarzyszyłem mu w tej wyprawie i omal nie straciłem w niej życia. Osoczony niedźwiedź wypadł z gąszczu na kroków kilkanaście od mego ojca. Starzec z zimną krwią wystrzelił doń trafnie z rusznicy, ale choć śmiertelnie raniła, miała jeszcze bestja tyle siły, iż wściekle się nań rzucając, z nóg go zwała. Na szczęście byłem tuż obok niego i w oka mgnieniu ugodziłem niedźwiedzia oszczepem tak potężnie, że ten od ojca mego odskoczył a na mnie zwrócił swą zajadłość. Jużem był w strasliwém łap jego objęciu, już, przygnieciony ciężarem cielska potwory, traciłem zmysły, gdy mój ojciec no-



wy cios jęj zadał; ale ratunek ten był mi prawie nie potrzebny; niedźwiedz wydał ziew ostatni wprzód, nim zdołał utopić we mnie pazury, oszczep mój bowiem przeszył mu był serce, a jego ku mnie poskok, ostatniem był konającego drgnieniem. Podniesiono mię tedy nie obrażonego, alem padając zwichnął nogę, i ojciec musiał mię wraz z ubitym niedźwiedziem, odesłać do domu, ucałowawszy wprzód serdecznie, (co mu się nigdy prawie nie zdarzało) i ogłosiwszy swoim wybawicielem. Chorążyc nie posiadał się z radości, zwłaszcza, że mógł się pochwalić, iż pierwszy nauczył mię władać oszczepem. W domu czekały mię karesy dobrej matki i poczciwej panny Petronelli. Ksiądz Anzelm witał mówiąc: *Salve generose puer, tu Marcellus eris!*— Dopieroż musiałem się poddać lekom, bez których bardzobym się mógł być obejść. Przewrócono całą apteczkę. Co tylko w niej było spirytusów, olejków, maści, wszystko to się zapoznało ze spuchłą moją nogą; trzeba było nadto wziąć krople, napić się ziółek i leżeć ze dwa dni w pościeli. Nad łóżkiem matka moja zawiesiła kilka relikwiarzów, a panna Petronella ofiarowała mię do trzech cudownych obrazów. Nie mogłem tedy nieodzyskać zdrowia, ale ojciec nie wracał; trzy dni mijało, zaczęliśmy być o niego niespokojni. Czwartego ku wieczorowi dał się nakoniec słyszeć tentent koni, skomlenie psów, odgłos rogów, i wnet orszak myśliwych, ze swym wodzem na czele, wjechał na dziedziniec.

— Zdrowyś już widzę mój chłopcze — rzekł do mnie ojciec zsiadając ze szłapaka. Byłem pewny, że się nie będziesz długo łótkiem bawił. Dobry wieczor moja rybko — dodał całując żonę w czoło. — Byłaś o mnie trocha w trwodze? Dzięki Bogu nic mi się złego nie stało. Przywożę spory zasitek dla twój spizarni: będziecie miały z Petronellą krzątać się koło czego. Ale, ale, moja panno, mam tu oraz dla ciebie osobliwszą zwierzynę: *Bipedanea capra*, *Charissime*, (mówił obracając się do księdza) jakem *Sodalis Marianus*. Zacząłem łowy od niedźwiedzia, a skończyłem je na dziewczynie? cha, cha, cha! Niech to Waćpanią nie gniewa Mościa Cześnikowo. Pozwól mi owszem polecić względem twoim łowiecką moję zdobycz. No, niechże mi ją wydobędą z wozu, tylkoż ostrożnie, żeby nie pierzchnęła. —

Słuchaliśmy ze zdumieniem dziwniej tej mowy, gdy pajuk Jegomościm wszedł do sieni wiodąc za ramię młodziuchne dziewczę. Mogła mieć lat około 15. Wzrost niepospolity, kibić smukła i kształtna, twarz nadobna, profil rzymski, oko ciemno-błękitne, włos ciemny, gesty, w długi spleciony warkocz a ściśnięty na skroni wełnianą czerwoną przepaską. Odzież jej składała się z jednej tylko futrzanej tuniki bez rękawów, krojem jakby dalmatyki, tylko że przepasana paskiem z miękkiego łyka; szyja, ramiona i nogi od kolan, były nagie; obówie lekkie z kory, nakształt sandałów; na piersi spadał sznurek szkarłatnych jagód lesnego głogu. Tu-

nika była zszyta ze skórek zajączkowych futerkiem na nice, co nadawało dziewczynie postać nieco dziką, którą wyraz twarzy pierzchliwy i nienaturalne giesta bardziej jeszcze podnosiły. Rzucając oczyma na wszystkie strony, zdawała się wszystkiemu dziwić, wszystkiego się strachać. Nie płakała jednak, ani się szamotoła. Głosu tylko z niej wydobyć nie było można. Nie odpowiadała na nic, choć widać było z jej sposobu słuchania, że po łotewsku rozumiała.

Łatwo sobie wyobrazić poruszenie domowej czeladzi na to widowisko, i rozmaite o tém boskiem stworzeniu sądy. Jedni szeptali że to młoda czarownica, inni zaś że wilkołaczka; Niewodniczy twierdził że Ruszałka, a Gajowy że raczej samka lesnego Satyra. Panna Petronella tęgnęła się i szeptała exorcyzmy nad poganką, a ksiądz głaskał ją, ciesząc się, że przybędzie owieczka do Chrystusowej owczarni. Matka moja litościwie, jak na każdą nieszczęśliwą istotę, spoglądała na nią; mnie zaś zajmowała szczególniejszą energją tej dziecięcej duszy, z którą się opierała największym grozom, niewzruszenie trwając w postanowieniu całkowitego milczenia. Znalazłem przytém w rysach jej twarzy i w kształcie ciała, właśnie ten rodzaj piękności, w który zwykłem w marzeniach moich przystrajać przedmiot przyszłej mojej miłości.

Po uciszeniu się wrzawy wszczętej z tego zdarzenia, opowiedział nam mój ojciec przygodę pojmania tej dziczki.



—Zamiarem moim (prawił) było, jak wiecie, zwieździć głuchą starzynę, kędy może od stworzenia świata noga ludzka nie powstała. Po niewymownych trudach udało mi się przedrzeć przez pierwsze jej okopy. Nie macie wyobrażenia co to są za szanńce i rowy, któremi natura waruje swoje twierdze w naszych lasach. Oto pan Jowita, żywy świadek, nie pozwoli mi skłamać. —

—Gdyby zbolełe kości moje gadać umiały—odezwał się Chorążyc mruczając — każdaby z nich przyświadczyła o téj prawdzie, że Jmć pan Cześnik po takich nas wodził wertebach, po jakich zaiste sam djabł ze swą kumą z trudnościami harcował.—

Ksiądz Anzelm zrobił uwagę, że wspomnianie złego ducha było tu niepotrzebne; Chorążyc zaś znowu mruknął, że wielbny ojciec samby szatana wspominał, gdyby mu się zdarzyło zawędrować w te staryzyny.

Ojciec mój przeciął ciąg dalszej kontrowersji zwyczajnym wykrzyknikiem: — Sza, Burczymucho! ustąp starszemu, a na bolece kości znajdziesz lekarstwo w apteczce u Petronelli. Mnie zaś pozwólcie kończyć relację. Otoż jakem mówił, przebyliśmy z wielką biędą pierwsze okopy, uformowane z powału, to jest, Mości Dobrodzieju, skład potężnych obalonych pniów z korzeniami sterczącemi do góry jak rohatyny. Jeszcze to fraszka. Ale do takiego wału dobrać się nie można inaczej, chyba przez szerokie trzęsawice. Musieliśmy prze-

to gacić te topieliska, by potem przebyć wał; ale sądzą o naszym kłopotcie, kiedyśmy wdarli się nań, spostrzegli, że ledwie jeszcze zdobyli (jakby powiedzieć) przedmostowy szaniec. Za wałem to bowiem na prawdziwe natrafilśmy piekło. Szeroki bagnisty strumień, *gniłym ruczajem* zwany, sączył się czarny jak smoła, pośród sitowia i zielska wodnego, pełnych gadu. Dalej co krok *okno*, a w odległości kilkuset kroków nowe rohatyny i szanice. Poznałem że nie żarty, że to wyraźnie *Matecznik* (\*) i kazałem zatrzeć na odwrót. Drwię ja z zabobonów, ale tentować wejście do Matecznika, sobie i nikomu nie życzę. Trud i niebezpieczeństwo nigdy mię nie zraża, lecz gwałcić granice wytknięte przez samego Boga, poczytuję za grzech równający się śmiertelnemu. Nie marszcz się *Reverendissime*, myśliwi mają swoją teologję, której się waszmość nie uczyłeś. Ja powtarzam że dobry Katolik myśliwy nie powinien się wdierać do matecznika. *Sat Sapienti*. Straciwszy tedy dzień cały na próżnym usiłowaniu, zaczęliśmy rejtyradę w dobrym porządku, aż wtém moja ulubiona sfera zapuściwszy się w podszytą knieję, za-

---

(\*) Podług gminnego zabobonu miały być w odwiecznych puszczech miejsca niedostępne i przez złych duchów strzeżone. W tych ostępach złożone były jakoby nasiona wszystkich drzew i roślin, i zwierzęta chowały się tam po parze z każdego rodzaju: dla płodu, oraz składały zdychając swe trupy, jakby na spólnym smętarzu; a stąd nigdy znaleźć nie można skieletu zdechłego dzikiego zwierza, lub ptaka.

częła się zławiać i po króciutkim gonie, naszczekiwać w miejscu. Łatwo się było domyślić, że zwierz salwował się na drzewo. Widocznie ryś lub młody niedźwiadek. Ruszyło nas tam kilku. Potężna rosochata jodła wznosiła się nad inne drzewa. U jój pnia moje ogary czekały, podniosły pyski do góry. Zrazu nie mogłem nic dostrzedz; po chwili rozpoznałem coś kosmatego i już się miałem złożyć, gdy z przerażeniem ujrzałem twarz ludzką i do tego nieszpętną. Nie miałem czasu przeżegnać się, gdy *paf*, ktoś wystrzelił, i dziwolązek, wraz z gałęzią, na której siedział, upadł mi pod same nogi. Pochwyciłem osobliwszą zdobycz, widząc już wyraźnie że nie *fera*, *sed puella*. Obejrzę się, aż z moich nikogo. Tchórze ci, ujrawszy ludzką postać, uciekli co do jednego, z walecznym Chorążycem na czele. On też to był, który wypalił do dziewczki, (wziawszy ją za rosomaka) ale swoim zwyczajem szczęśliwie spudłował, trafiwszy tylko w gałąź, na której ona kieby ptaszek siedziała. Gałąź nie grubsza od Wac-Pani ręki moja rybko. Dość miałem biedy przywołać moich biegusów i wyperswadować im, że to nie djablica (bo przecie ani ogona, ani pazurów u niej niéma) ale *dzika niewiasta*, o jakich, że exystują, czytałeś mi *Charissime*, pomnę, w Plinjuszu. Kazałem ją tedy lekko związawszy, wsadzić na wóz i takem tu ją przewiozł. — Kiedy tak mój ojciec rozprawiał, a Książd Anzelm prostował jego przytoczenie Plinjusza, uważny rzut oka na tę niebogę, przekonał mię, że ją mylnie

brano za *dziką* niewiastę. Dziewicza wstydlivość kraszająca co chwila białe jej lica, wymowa pięknego oka, świadcząca o czułości serca, jakiś nakoniec do tej istoty pociąg, kazały mi sądzić że należała do jakiegoś szczególnego plemienia nieznanych nam tej krainy mieszkańców, lub też była może szlacheckiego rodu, wykradziona dziecięciem przez Cyganów. Ta myśl ostatnia przyjemniej mię łudziła, niż pierwsza. Zwierzyłem się nazajutrz z mych domniemań missjonarzowi; ten je znalazł nie bez gruntu i zaraz się udał do naszej branki, by ją pilnie wy badać. Wrócił jednak nic nie wskórawszy. Na żadne pytanie, na żaden giest, nie odrzekła słowem, ni giestem. Siedziała na podkurczonych nogach, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, ze spuszczoną głową, bez ruchu, jakby skamieniała. Tak już była wprzód przyjęła Petronellę, oraz innych domowników, co ją przez ciekawość nawiedzali. Po odejściu księdza, jam do niej poszedł.

Znalazłem ją w tejże postawie siedzącą na wiązce siana, w małej izdebce, służącej na skład domowych rupieci z okienkiem obwarowaném kratą. Usiadłem obok niej na drugiej wiązce i łagodnie pozdrowiłem łotewskim językiem. Dźwięk mojego głosu musiał się jej podobać, bo podniósłszy powieki miłém na mnie rzuciła okiem. Znowum do niej przemówił, znowu na mnie spójrzała, i tak stopniami wychodząc z otrętwiałości, zdawała się jak ów niegdys posąg Pigmaljona,

przeistaczać się w czułą istotę. Piękne jój oczy napełniły się łzami, westchnienia wzdymały pierś, ręka, którą lekko ścisnąłem, oddała mi napowrót ściśnienie; a gdym także ze łzami w oczach, zaklinał ją, aby do mnie przemówiła, zbliżyła głowę do mego ramienia i wyrzekła cichym, słodkim głosem, po łotewsku:

—Ratuj mię od tych strasznych ludzi!—

—Uspokoj się, kochane dziewczę, tobie się nic złego nie stanie, odpowiedziałem ucieszony. Będziemy cię wszyscy kochać, jak własne dziecię.—

Wstrząsnęła głową i zapytała: — A czemuż mnie chcieli zabić?—

Z trudnością udało mi się jój wytłumaczyć że się to stało przez omyłkę, i że już teraz niczego się lękać nie powinna; przyniosłem jój owoców, mleka i chleba, i własnym przykładem zachęciłem do jedzenia. Trzeba było jednak dni kilku, żeby ją z wolna oswoić z nową strawą i odzieżą, a szczególnie z resztą osób naszego domowego towarzystwa. Do mnie się tylko i do mojej matki przywiązała. Względem innych okazywała zawsze wielkie niedowierzenie i bojaźń. Z nikim też rozmawiać nie chciała prócz ze mną; matce mojej nawet, monosyllabami tylko odpowiadała. Błyskotki wabiły ją nadzwyczajnie. Gdym jój zawiesił na szyi korale i szklanne paciórki, nie posiadała się z radości. To samo było, gdy ją matka moja ubrała w czer-



woną sznuróweczkę z metalowemi guziczkami. Pomimo tego wszystkiego, nie chciała jednak wyraźnie mi powiedzieć o swojej rodzinie. Wychowana widać w Politeizmie dawnego łotewskiego ludu, nie miała o religii naszej żadnego wyobrażenia. Nuciała więc pokryjomu jakieś pieśni, i znajdowano ją często pod starym dębem, w pasiece, z czarą mléka, plasterkiem miodu, lub owocem jakim, które pod nim składała, wkoło pnia jego się kręcąc i najczęściej słowa: *Zemenek*, *Perkunas*, *Baublis*, w modłach wymawiając.

Pogańskie te praktyki trapiły mocno matkę moję i księdza Anzelma. Ale z takim pierzchliwém, jak ona stworzeniem, wielkiej trzeba było cierpliwości. Jam tylko jeden posiadał nad nią pewną władzę, mnie tedy missjonarz polecił jój początkowe oświecenie. Ojciec mój bawił się z nią czasem, jak ze swojskiem zwierzątkiem, drażnił ją trochę, a kiedy się gniewała, uspakajał ją łakocią lub błyskotką. Pieniądze tylko nie miały u niój wartości. Panna Petronella nie lubiła jój wcale i często ją kropiła święconą wodą, albo też okadzała poświęconemi ziółkami, aby zachować dom od wpływu złego ducha, mieszkającego w poganecie. Razu jednego uderzyć ją chciała za dotknięcie się do koronki z małych bursztyneków, wiszącej obok grotnicy pod kotarą łóżka, ale zaledwie kościstą swą rękę podniosła na tę córę lasów, ta ją w oka mgnieniu jak starą miotłę cisnęła o podłogę i sama przez okno jak ptak uleciała.

Rozjuszona dewotka wpadła do pokoju rodziców moich, oznajmując, iż ta przeklęta dziewczyna była czarownicą bez żadnej już wątpliwości; ale gdy opowiedziała całą historję, ojciec mój uśmieł się aż do łez i bardziej jeszcze polubił zręczną Roazę. Takie bowiem było imię naszej wychowanicy. *Roaza* po łotewsku oznacza *kwiat różowy*. Petronella przechorowała na żółtaczkę ze złości i przestraczu.



### III.

**P**o kilku miesiącach mieszkania z nami, Roaza nie odznaczała się prawie swoim postępowaniem od reszty osób domowych; nie źle już nawet po polsku mówić zaczynała; wszystko bowiem co z moich ust wychodziło, pamięć jęj chowała wiernie. Jęj naturalność i prostota pozwalały mi czytać w jęj sercu. Odgadłem więc bez trudności, że mię kochała z całą mocą młodego, czulego, nieukształconego serca. Zrazu czyniło mię to szczęśliwym, bom czuł także do nięj gwałtowny pociąg duszy, ale zastanowienie się nad jęj stanem, a ztąd nad bezdenną przepaścią, która nas rozdzielała, smuciło mię i przenikało trwogą. Wychowany w posłuszeństwie synowskiem, nie śmiałbym nic uczynić przeciw woli rodziców moich, szczególnięj ojca; a jakż mogłem mieć nadzieję, by on się kiedykolwiek

zgodził na tak niesłychane, a wszystkim zasadom i wyobrażeniom jego przeciwne połączenie? Tym czasem nikomu się w całym domu nie marzyło, abym ja mógł się zakochać w téj dziewczynie; tak czyste i surowe były obyczaje, tak oraz silny przesąd urodzenia, że ani o uwiedzeniu niewinnego dziecka, ani o prawym z nieszlachcianką i neofitką związku, nikomu nie przychodziło do głowy.

Panując, jakem powiedział, nad jój sercem, z ławnością zniewoliłem ją do odrzeczenia się pogańskich błędów. Na moję prośbę słuchała nauk Księdza Anzelma z uwagą i pokorą. Nieraz w samotnej po przyległym gaju przechadzce, gdy nas niespodzianie nabiegła groźna z grzmiotem i błyskawicą chmura, Roaza, tuliła się, jak pierzchliwa sarneczka do mojego łona szepcząc: — O mój miły, zasłoń mię jeśli możesz od zemsty Perkuña! On mię zniszczy swym piorunem! Patrz jak się gniewa! *Wacajs barrahs* (\*), że się kłaniać mu przestałam. — Nadaremnie byłbym wtenczas usiłował zwrócić myśl jój ku prawdziwemu Bogu. Ale zaledwie przeszła burza, Roaza wyszedłszy z trwogi ścisnęła mię radośnie wykrzykując: — Niéma Perkuna! Twój Bóg mocniejszy, wypędził go widać z nieba! —

Gdyby nie miłość rozwijającą się coraz silniej, w nieodświadczonej dziewicy, byłaby ona może wróciła do

---

(\*) *Wacajs barrahs*, znaczy po łotewsku: *Starzec mruczy*. Łotysze używają i teraz tych słów w czasie grzmotów.

swojej dzikięj zagrody. Pomimo nawet przywiązania ku mnie, z trudnością pokonywała tęsknotę do swoich ulubionych lasów. Zwierzała mi się czasami tych cierpień duszy, a chociaż czuła się obok mnie szczęśliwą, brakowało jej, do zupełnego szczęścia, widoku rodziców i ojczystej chatki. Powtarzała mi nieraz z czułą prostotą:— Bez ciebie nie mogłabym żyć ze swymi, a bez nich smutno mi nawet przy tobie. Wolę tu jednak zostać, bo ciebieby tam nie przyjęto. Mnie nawet odtrąconoby już jako niewierną bogom mych ojców.—

Gdym od niej żądał dokładniejszego opisanie miejsca, w którym się urodziła i ludzi, między którymi wzrosła, nie przedź ciekawość moję w tém zaspokoila, aż jej przysiągłem że nikomu w świecie tego, co mi powie, nie wyjawię. — Umarłabym — rzecze — gdyby z mojęj przyczyny cudzoziemcy dowiedzieli się o szczęśliwym naszym zakątku i ujarzmili ten ostatek wolnych moich braci, tak jak tu widzę ujarzmionych naszych dawnych ziomeków, a których wy nazywacie chłopami.— Opowiem na inném miejscu historję tój tajemniczěj osady, tak jakem ją słyszał naprzód z ust Roazy, a później zbadał w samém źródle. Teraz zostaje mi wywołać z pamięci drugą okoliczność, która mię zachwiała w duchownej mojęj wokacji.

Na przeciwnym brzegu ogromnego jeziora, zwanego *Siewierzem*, nad którym leżała wieś nasza, mieszkał zacny młodzieniec imieniem Zygmunt Plater, potomek dzielnego Wilhelma Platera, wsławionego zdo-

byciem Dyneburga w roku 1578. Starszy ode mnie laty, kochał mię jednak, jakbym był jego rówieśnikiem. Chłopiędziem jeszcze oblekwszy zbroję, w niejednej już wojennej wyprawie, dał mężstwa swojego dowody. Służąc pod Gąsiewskim, poznał się i zaprzyjaźnił z moim ojcem, później przeszedł pod chorągwie Chodkiewicza, i w ostatniej wojnie z Turkami, stawiając się odważnie, niebezpieczną odniósł ranę, która go na czas niejaki zniewoliła opuścić pole sławy, aby w domowym zaciszu poratować nadwreżone zdrowie. Obok więc sędziwój swój matki, oddychał świeżem powietrzem, we wsi swój dziedzicznej, nad czystymi brzegami rozległego Siewierza, nabierał sił i oczekiwał tylko pogodnej chwili, aby się znowu puścić w ulubiony swój zawód rycerski. Nawiedzał nas często, i nie miałem większej uciechy nad przeszywanie z nim, na lekkiej łodzi, wzdętych łagodnym wiatrem fal naszego Siewierza. Wtenczas niedbale ruszając wiosłami, przysłuchiwałem się chciwie jego wojennym powieściom.

Przytoczę tu niektóre z tych żywych opisów, które tak mię zachwycaly, że zdarzało się, iż zapomniałem o sterowaniu czółna, i trafiwszy raz na podwodne kłody, ledwiem siebie i przyjaciela mego, wraz z jego powieścią nie utopił.

— Przybyłem — prawil Zygmunt — do obozu Hetmana Chodkiewicza pod Chocimem, z pułkiem pancernym Bogufała Zenowicza, Kasztelana połockiego, właśnie w tej chwili, gdy sławny Zaporoziec, sahadaczny

Konasewicz, został przez Kozaków Atamanem okrzykniony. Wielu znam walecznych i urodziwych wojowników, ale powiem szczerze, iż ten Kozak, śród bitwy, ma coś w sobie nadludzkiego. Kto go raz widział na jego skarogniadym dońcu, prowadzącego hufce swych młodców na nieprzyjaciela, i zmiatającego bułatem głowy Turków, nie spuszczać przytém oka z szeregów, posłusznych każdemu jego skinieniu, tego już nie zadziwi żaden cud żołnierskiej odwagi i zręczności. Wielka też była radość w całym obozie na widok tego zucha okrytego krwią i kurzem, przybywającego jakby z tamtego świata. Wracając bowiem od Króla z Warszawy i skierowawszy ku Stepanówce, w nadziei, iż się tam złączy ze swojemi, zbił się w nocy z drogi i znalazł się o świcie pod samym tureckim obozem. Wnet otoczony rojem pohańców, samotrzeć tylko w ucieczce długo im jeszcze dawał odpór, aż położywszy siła trupem, sam lekko postrzelony, wpadł do gęstego lasu, i szczęśliwie dobrał się manowcami do naszych forpoczów. Słyszałeś zapewne o bohatérskich czynach Konasewicza w jego młodości: o tych sławnych czajkach kozackich, któremi on przewodząc na Czarném morzu, przelatywał po wzburzonych falach już do Chersonezu, już do Trebizondy, już nakoniec aż pod same mury sułtańskiego Seraju w Carogrodzie, roznosząc wszędy śmierć i spustoszenie, a bogatemi łupy darząc walecznych swoich braci. Wyobraź więc sobie uniesienie trzydziesto-tysięcznego kozackiego wojska, na widok tego

ulubionego wodza, którego już mieli opłakiwać stratę. Zaledwie się ukazał, zaledwie ich powitał swém zdrowieniem, grzmotliwy okrzyk *ura!* rozległ się w powietrzu, a Konasewicz w mgnieniu oka zarzucony został kołpakami. Taki jest bowiem u nich obyczaj obierania najwyższego wodza czyli Atamana. Jeden tylko niecny Borodawka, złożony tymże aktem ze swego dostojństwa, nie podzielał radości powszechnéj. Uchylając się od uczestniczenia w bankiecie danym w obozie na cześć nowego Atamana, upił się gnuśnik ten z rozpachy samotnie w swoim namiocie. Po téj uroczystości oglądał Chodkiewicz pułki, które się już na koniec wszystkie były ściągnięty na chocimskie pola. Cień wewnętrzznego smutku przemknął po sędziwéj męskiej twarzy walecznego wodza. Spodziewał się on bowiem liczniejszych od Rzeczypospolitój posiłków w tak stanowczéj i niebezpiecznéj dla kraju i Chrześcijaństwa okoliczności. Nie było jednak w tém tyle winy Stanów, ile złego wykonania ich uchwały. Policzywszy Hetman swe wojsko, znalazł się na czele 65,000 żołnierza, mając na przeciw siebie 400,000 tureckiego wojska. Mniejby go jeszcze obchodziła ta różnica co do liczby, gdyby nie widział oraz braku karnośći i porządku w szeregach. Daleki był jednak od okazania najmniejszój niepewności lub trwogi. Obiecywał owszem zwycięstwo, zalecając tylko uległość rozkazom starszych i bacznąć w wykonywaniu wojennych obrotów. Mielśmy zaraz po przeglądzie sposobność korzystania



z przestrogi doświadczonego wojownika: oboz napadnięty został przez hordy Tatarów pod dowództwem dumnego Kantemira. Odparliśmy ich mężnie, choć niezbyt szykownie. Pierwszy raz w tej utarczce zajrzałem pohąncom w oczy. Osypały mię psy swemi bełtami, ale dobry pancerz oparł się ich gretom, a na pałasze żaden nie dotrzymał. Szczęście mnie posłużyło położyć trupem jednego z Mirzów i zdobyć chorągiew, w oczach samego Hetmana. Ledwieśmy wrócili z pogoni, kazał mię do siebie przywołać, i poklepawszy ręką po ramieniu rzekł:— Tęgiś mój malcze, mianuję cię Rotmistrzem, i rozkazuję dowodzić w moim własnym pułku chorągwią kopijników.— Nadszedł nakoniec dzień walnej rozprawy. Cała moc bisurmańska podstępowała ku nam w niezliczonych tłumach. Było to 2 września, pogoda przesliczna. Zrana widać tylko było tumany kurzawy, jakby gwałtowny wichur poruszył całą powierzchnię piaszczystych przestrzeni. Aż około południa, gdy ta zasłona opadła, ukazał się nam widok najwspanialszy. Wszystkie wzgórza i doliny, jakby czarodziejską sprawą okryły się tysiącami białych namiotów, wśród których czerniły się zastępy jak mrowie, błyszcząły bronie w promieniach słońca jak diamenty, i powiewały chorągwie, proporce i buńczuki rozmaitemi barwy. W samym środku obozu wznosił się szkarłatny namiot Sułtana, podobny do zamku ze czterema basztami złożonemi, na grzbietach ogromnych słońców. Słowem, tam, gdzie dniem przedtem rozście-

łały się nagie pola, mieliśmy teraz przed oczyma wizerunek pięknego miasta z twierdzą, zapełnionego niezliczonym ludem. Trzy części świata zlewały swe różnobarbne i różnokształtne plemiona, w tę ogromną masę zbrojnego ludu. Dziesięciu Baszów przewodziło dziesięciu podwładnym Osmanowi narodom. Prócz tego kilkadziesiąt tysięcy Janczarów i Spahów w bogatych rynsztunkach i wyborną opatrzonych bronią; ómy Tatarów w pstrągłej odzieży, uzbrojonych w łuk i strzały; skwarnej Afryki mieszkańcy, czarne półnagie Maury i Etiopy ze stalistemi osieki, z kolczastemi pałki i z długimi nożami. Dalej, starożytnych chrześcijańskich osad potomkowie, wyćwiczeni w długich wojnach węgierskich, okryci pancerzem, z długimi kopijami, nakszałt naszych Usarzy.

Dziesięć tysięcy wielbłądów, składało osobny korpus jazdy; na każdym z nich sterczał wysoki proporzec. Nakoniec artylerja złożona z kilkuset armat rozmaitego kalibru. Lecz jeśli moc wielka była bojowego ludu, drugie tyle przynajmniej kupiło się w taborze grajków, guślarzy, lożnych ciurów, i innój niepotrzebnej gawiedzi. Oprócz kapeli Sułtana, i W. Wezyra, każdy Basza, każdy Bej nawet, miał swoich surmaków, piszczków i brzękaczy. Nie wyobrazisz sobie, kochany Jordanie, téj straszliwej wrzawy, złożonej ze szmeru tysięcy ludzi, rżenia tysięcy koni, przeraźliwego odgłosu tysiąca niezgodnych instrumentów, przerywanego hukiem dział wielkiego kalibru! Mnie się zdało, że ko-

niec świata już się przybliżał i że lada chwila wzruszona w swych fundamentach ziemia, rozwali się pod nami. Dowiedziałem się wtenczas, iż barbarzyńcy używali tego sposobu dla rzucania postrachu na swoich nieprzyjaciół. Kiedy się Turek tak nadymał i szumiął, w naszym obozie uroczysta panowała cisza. Każdy się sposobił do boju, każdy wznosił myśl do Boga zastępów, lub żegnał w duchu oddaloną rodzinę i przyjaciół. Jedni u nóg kapłana oczyszczali z grzechów sumienie, drudzy ostatnią wolę spisywali w testamentach. Dowódcy pułków i rot, zagrzewali swych towarzyszy, Hetman zaś szykował wojsko, rozdawał wodzom rozkazy i krótkimi ale wymownemi słowy, przelewał w ich serca ogień, którym sam pałał.

Niéma ważniejszej dla żołnierza chwili, nad tę, która bitwę poprzedza. Najpocziwszy i najodważniejszy człowiek, dziwném w on czas przejmuje się uczuciem. Tchorze tylko udają wesołość, ażeby nie okazać trwogi, która im serce ziębi. Mężnemu w takiej chwili wcale nie do śmiechu, i uważałem że ci, co się najlepiej biją, zwykle przed potyczką najbardziej bywają posępni.

Z takim uczuciem stanąłem z moją chorągwią na lewém skrzydle, gdzie się sam Hetman znajdował ze swym pułkiem na czele. Obok mnie stała chorągiew Marcina Benisławskiego. Mąż ten waleczny odznaczył się już pod tymże Chodkiewiczem przeciw Szwedom w naszych Inflantach i dobra Birże w nagrodę swych

zasług otrzymał; ale przywiązany do swego wodza, towarzyszył mu i w tureckiej wyprawie aż do jego śmierci.— Bądźmy dobrej myśli ziomku i kolego (rzekł on do mnie). Pod sprawą Chodkiewicza, nie straszają mnie te chmury bisurmańskie, ani te junakierje, któremi barbarzyńcy chcieliby nam zamydląć oczy. Nawieźli pogańskie syny złota i srebra bez miary: tém lepiej dla nas, którym ta wojna do ostatniego tynfa wywabiała z kulety.—Ścisnąłem mu rękę, a wtém Hetman, donośnym głosem wtórzając obozowemu swemu kapelanowi, zaintonował: *Boga rodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja!* — Wnet po całej linii naszego wojska, to święte pienie tysiącznemi głosy wzbiło się w powietrze, jakby odpiérajac siłą niebieskiej harmonji, owe piekielne barbarzyńców wycia i wrzaski. Jeszcze echa nie wybrzmiały ostatniej hymnu strofy, gdy już znowu błyskotny Osmana oboz, zakrył się tumanem kurzawy, i potężne kule działowe po nad naszymi głowami przeraźliwie świstać zaczęły. W téj chwili Zenowicz postrzegłszy iż wielu z młodych towarzyszków jego pułku, nie przywykłych jeszcze do świstu kul armatnych, schylało głowy za każdą nową salwą: — „Panowie bracia! — zawoła, po co tyle grzeczności dla pohańców. Kłaniacie się im, jakby to byli uczciwi ludzie. Myślcie raczej jakby tym hultajom zgiąć karki, a po zwycięztwie wszyscy się kłaniać będziemy Bogu, dziękując za błogosławieństwo oręźwii naszemu.” — Ta żartobliwa przemowa skutkowała wybornie i żaden już odtąd nie zginał głowy przed turec-

ką kulą. Tymczasem baterje tureckie buchają ogniem, a każdy z nas wylęża oczy na wał ruchomy z pyłu i dymu, który nam wroga zasłania, każdy się sposobi do odparcia szturmu; lecz wprawne oko wodza rozpoznaje wnet przeciwnika zamiar.— *Kozacki oboz napadnięty!* krzyknie — a porwawszy z ręki giermka szyszak i pałasz, kazał nam i Rusinowskiemu z Lissowczykami iść za sobą. W ślad tedy za walecznym wodzem puściliśmy się piorunem, na odsiecz Zaporozcom. W samej rzeczy Osman wywierał na nich pierwszy zapęd swojej wściekłości. Ale mężny i biegły w sztuce wojennej Konasewicz, gotował mu spotkanie, jakiego się barbarzyńiec wcale nie spodziewał. Nie mając czasu usypania okopów, obwarował czoło swojego stanowiska podwójnym rzędem wozów, między które nawałił kupy wórow napełnionych piaskiem. Kiedy więc jedna połowa młodców harcowała konno przeciw następującemu nieprzyjacielowi, druga czaiła się z ognistą bronią za rzezonym szańcem; Ataman na czele pierwszych uderzywszy mężnie na Turków, pierzcha niby ku swemu obozowi: złudzone tym odwrotem lecą gęste szeregi Spahów wprost na tę błahą z pozoru zagrodę, a wtem zaporozka jazda rozrywa się rzucając się na boki, podczas gdy z poza wozów, morderczy ogień z janczarek i samopałów wita rześistym kul gradem nabiegłych tureckich jeźdźców.— Wala się konie i męże rzędami, cofają się szeregi w nieładzie, a tym czasem jazda kozacka napada ich z obu boków, koląc i siekąc tych,

których oszczędziły kule. Oburzony Sułtan rozkazuje Wezyrowi zatoczyć ogromne swe działa; lecz zaledwie ryknęły ich paszcze, już Hetman nasz siedział na karaku pohańca. Dopieroż to zawrzało jak w kotle. Leca jak grad ciosy na głowy potruchlających Turków, każdy z nas usiłuje zasłużyć na pochwałę wodza. Zdumiony i rozjuszony Sułtan nowe przeciw nam hordy posyła, ale bacznym Chodkiewicz wszystko przewidział. Zaledwie wsparci tym posiłkiem Turcy, nabrali otuchy i silniej stawić nam zaczęli czoło, gdy piechota węgierska i niemiecka pod komendą Dönhofa i Lermunta, obszedłszy manowcami prawe ich skrzydło, rzuciła się na nich z boku. Wtenczas Hussein, Basza Sylistrji, najwaleczniejszy z wodzów tureckich, usiłuje raz ostatni zwrócić los bitwy na swoją stronę. Puściwszy wodze swemu bachmatowi, leci na czele pułku Spahów na środkową kolumnę naszych kopijników, przy której był sam Hetman. W stanowczej tej chwili, młody Zawisza (towarzysz z rotty Kiszki) piękną uniesiony odwagą, wysuwa się z szeregu i w pędzie konia wpadłszy na Husseina, naprzód go z pistoletu w piersi kulą ugadza, a tuż zaraz cięciem pałasza głowę mu od karku oddziela. Na ten widok przestraszeni Spahowie hamują swój zapęd; co widząc ich Běj, pokrewnik natolskiego Baszy, ulubieniec Sułtana, zajmuje poległego miejsce, i krzyząc: *Allah il Allah!* znowu ich do ataku prowadzić usiłuje. Przykład Zawiszy zagrzał mię chęcią odznaczenia się także walecznym czynem. Rzuciłem się tedy

na onego Beja i szczęśliwym ciosem wytrąciłem mu jego krzywy pałasz z ręki. Uchwycił on wnet pistolet, a w téjże chwili ziomek mój Inflanzyk Klebek przyskoczył doń z drugiej strony. Odurzony pohaniec strzelił na oslep, ale nieszczęściem kula trafiła mężnego Klebeka śmiertelnie. Ja tymczasem uchwyciwszy wroga, ściągnąłem z konia i porwałem żywcem. Straciwszy obu swych wodzów pierzchnęli Turcy w nieładzie, a Hetman nie tracąc czasu uderzył całą siłą na nieprzyjaciela i aż pod oboz Sułtana o zmroku zapędził.

Wygraliśmy więc walną bitwę, zabraliśmy wiele dzielnych arabskich koni, (mnie się dostał rumak Beja, ktorego dotąd, jak wiesz, chowam) towarzysze nasi wrócili z pola z bogatą zdobyczą w kosztownych rzędach, sobolich szubach i wybornej broni, prócz mnóstwa pieniędzy w złocie i srebrecie. W obozie Osmana przez noc całą rozlegały się lamenta i wrzaski. Okrutny Sułtan wielu swoich oficerów, za niemężne spotkanie, gardłem karać rozkazał. Z naszej strony strata nie była liczna, aleśmy opłakiwali kilku poległych walecznych braci, ja szczególnież zasmucony byłem śmiercią przyjaciela mego Klebeka, który mię piersią swoją zastąpił od kuli Beja, i tak stanowczo dopomógł do wzięcia go jeńcem. Zginął także i Zawisza, wnet po zwyciężeniu Husseina, obalony armatną kulą. Nic boleśniejszego, mój Jordanie dla żołnierza, jak widzieć skonostatni mężnego towarzysza broni. Zostałem Pułkownikiem po chocimskiej bitwie, ale śmierć Klebeka za-

prawiła mi goryczą tę szczęśliwą wojskowego mojego zawodu chwilę.

Większe mię jeszcze oczekiwały strapienia. Zdrowie Hetmana pogorszało się codzień, a niebezpieczne położenie wojska kazało mu jednak walczyć i radzić. Codzień dźwigał się z łoża boleści, i acz na siłach zwątlony, dosiadał swego rumaka, by odpierać nieustanne nieprzyjaciół na źle obwarowany nasz oboz napady. Dnia jednego byłem przy nim w namiocie, gdy wpada giermek z doniesieniem: że Turcy, korzystając z niedbałości straży, opanowali jedną z bram i porwali już chorągiew, oraz dwa szanćowe działka. Zrywa się z łoża Chodkiewicz, wdziewam na niego zbroję, wsadzamy go na koń, a tym czasem Zenowicz, Sieniawski, Łopaciński i Rudomina, na głos jego stawają w 720 koni. Ruszamy z tą garstką na wdzierających się już do obozu Turków w liczbie najmniej 16,000. Hufiec nasz uderzywszy w tę nawałę, zanurzył się w nią cały. Wiedziano tylko wśród straszliwej wrzawy, błyskanie pałaszów, migotanie proporców, i walących się z koni wrogów. Wprzód nim Lubomirski zdołał ze swemi pułki przybieść nam w pomoc, jużśmy rozbiwszy i zapędziwszy pohańców aż pod same ich szanćce, wracali z Hetmanem naszym zwycięzko do obozu. W téj bohaterskiej potrzebie dostałem postrzał, który mię dotąd więzi w domowej bezczynności, ale co smutniejsza, straciłem dawnego dowódcę mego, walecznego Zenowicza,



i wkrótce potem, kochany mój Hetman pełnego chwały życia dokonał 24 Września, w obozie. —

Umilkł Zygmunt, a jam go jeszcze słuchał, pałając w tej chwili chęcią spotkania się z wrogami, doznania tych niepojętych wzruszeń żołnierza, wśród zmiennych kolei bitwy, tego upojenia, które duszę jego obejmuje na widok zwycięstwa, a co dopiero gdy sam czynem jakim walecznym nieśmiertelnej dostąpił sławy. Z wewnętrzną pociechą śledził we mnie Zygmunt owe do rycerskiego rzemiosła pochopy. Kochając mię, życzył najmocniej widzieć co najprędzej przy boku swoim na polu bitwy. On bowiem innego nie znał szczęścia, nie widział dla szlachcica innój, nad zawód wojskowy, do prawdziwych zaszczytów drogi. Właśnie też odkrywał się w Inflantach dla młodzieży plac do zasług wojennych. Król szwedzki Gustaw, po trzyletniej przerwie, rozpoczynając wojnę w tym roku (1625), wkroczył do Inflant i pobił wojska nasze pod dowództwem Stanisława Sapiehy; Kokenhauz, Kryźburg, Rzeżyca i inne mniejsze Zamki poddały się Szwedom. Ojciec mój popierał Zygmunta względem mnie zamiary, ale matka i ksiądz Anzelm przeciwili się temu, ile tylko mogli. Lecz ta opozycja uleżała przemożnej woli głowy domu. Strapiona matka moja nie miała nawet pociechy znajdować w matce mego przyjaciela, spółniczkę swój macierzyńskiej troski. Sędziwa sąsiadka nasza prawdziwą była Spartanką.

— Wstydziałabyś się moja Częśnikowo — mawiała

do mej matki — ubolewać nad postanowieniem twego męża, poświęcenia waszego syna ojczyźnie. Oto patrz na mnie. Wdowa, w podeszłym wieku, samotna w osieroconym domu, a przecie daleka od utyskiwania, że mój Zygmunt pędzi życie w obozie, cieszę się owszem, i dumna jestem z sukcesów tego chłopca, z tej nawet rany, którą odniósł porażając pohanów Turków. Wierzej mi: dobra obywatelka wtenczas się tylko wypłaci ojczyźnie, kiedy dla niej urodzi obrońcę. Zawsze czas będzie człowiekowi zostać księdzem, urzędnikiem lub gospodarzem, ale być żołnierzem jedna tylko dlań para młodego wieku.—

Wszystkie te heroiczne podniety pani Platerowej, nie trafiły do przekonania mej matki, ale przywykła poddawać się władzy mocniejszych, trapiła się i płakała w cichości.



## IV.

Śród mego zapału do służby wojskowej, zjawiała się owa Roaza, i, wyznac muszę ze wstydem, osłabiła w mém sercu marsowego ducha. Myśl rozdzielenia się z nią, opuszczenia téj słodkiej istoty, która we mnie jedyną kwiatką bpatrywała pociechę i wsparcie, jak wąż chmielu latorośl młodego dębu wygląda podpory, ta myśl okrutna ścisłała mi serce. Zacząłem oraz wyobrażać sobie jeszcze inną szczęśliwość, cichą, ukrytą w cieniu, ale napełniającą serce słodkiem, stałem weselem. Obok Zygmunta wracałem do mych zapałów rycerskich, obok Roazy pragnałem pokoju, zachwycałem się wdziękami przyrodzenia, przenosiłem nad hymny Tyrteusza, czułem Wirgiljusza i Symonowicza sielanki. Jeśliby Roaza była wysokiego rodu, gotów byłbym zostać bez wahania się jakim Amadysem, by się stać gościnym jej miłości; ko-

chając zaś w niej wieśniaczkę, czułem, iż mnie się trzeba było zniżyć do jej stanu, stworzyć sobie Arkadję i pasterskie z nią w zapomnieniu świata pędzić życie.

Rok cały ubiegł w tej walce sprzecznych uczuć ze szkoda nawet powołania rycerskiego. Oszczep i rusznica rdzewiały w kącie mej izby, koń mój rzadko wychodził ze stajni, księgi okrywały się pleśnią, ks. Anzelm trochę się marszczył; ojciec częściej sztrofował, Chorążyc burczał a burczał, Zygmunt nawet uskarżał się już że go rzadko nawiedzam. Ale Roaza rozkwitała coraz miłszemi wdzięki ciała i duszy. W jej umysł i serce przelewałem snadnie całą mą wiedzę i wszystkie me czucia. Oświecona należycie w świętej naszej wierze, nauczona jej artykułów, świadoma obrzędów, gotową już była podług zdania księdza Anzelma do przyjęcia Sakramentu Chrztu; lecz ojciec mój żądał, ażeby ta ceremonia odbyła się w obecności Wojewody Gąsiewskiego, który o przybyciu swém do Inflant przez umyślnego kozaka listem mu swym oznajmił.

Wielkie w domu naszym do przyjęcia tak znakomitego gościa czyniono przygotowania. Całą jedną połowę domu przeznaczono dla *Illustrissime* oraz dla syna jego młodego Krzysztofa Gąsiewskiego, tego właśnie, który we 13 lat później (w 1638) był Posłem nadzwyczajnym do Francji, z okoliczności uwięzionego tam Królewica Jana Kazimiérzą. W drugiej więc połowie rodzice moi z gospodarstwem mieścić się jakkolwiek musieli. Ekonom ustąpił folwarku dla orszaku Woje-

wody; gumna i stodoły służyć miały na lokatę zaproszonej sąsiedzkiej szlachty. Cały porządek domowy przewrócono do góry nogami, wszystkie zapasy poruszono by należycie przyjąć Benefaktora i ugościć Mościwych panów braci sąsiadów.—Nadzwyczajne te wydatki, trudy i niewygody nie trapiły wcale ojca mojego, owszem rad był niezmiernie z tego zdarzenia. Chociaż on bowiem był rządny i próżno wydawać nie lubił, lecz gdzie tylko szło o zaszczyt domu, o uczczenie jak się należało swego mecenasa, tam już nie litował expensy, i z pewną dumą oraz wewnętrzném zadowoleniem gotów był do ostatka wypróżnić spizarnie i piwnice. Nieszczęśliwa Petronella latała jak podsmalona od świtu do nocy, po wszystkich kątach domu. Piekła, smażyła, przyprawiała bez liku różne przysmaczki, opylała kobierce, wietrzyła bety, oszywała firanki i kotary, modląc się i fukając na przemiany. Roaza chętnieby jęj pomagała w tych pracach, ale od owęj przygody z bursztynową koronką, nie chciała z nią Petronella mieć sprawy, choć przyznawała, że, jak na poganę, miała dość zręczności do wszystkiego.—Chorażyc, wygnany ze swego alkierzyka z całym swym arsenałem, i zmuszony założyć kwatere w Lamusie, gdzie mnóstwo gościło szczerów, burczał pod nosem bezustannie, ale się głośno odezwać nie śmiał, bo jako szło tu o Wojewodę, z jego pomocą nie było już zartu. Jeden tylko ks. Anzelm, obojętny na te zachody, a w chęci widzenia Gąsiewskiego, dawnego swego penitenta, znosił bez przykrości

małe niewygody przenosin do niby to altanki w przyległym owocowym ogrodzie. Ulokowaliśmy się tam z nim jakby Anachoreci w gęsto zarosłej drzewami samocie. Dla mnie jednak ta klatka miała powaby, bo do niej codzień na duchowną naukę przychodziła Roaza.

Nic bardziej — mówię z doświadczenia — nie spaja dwóch serc czułych, jak wspólne zagłębianie się w rozważaniach wiary Chrystusowej. To niewyczerpane źródło wszystkiego, co jest doskonale dobrém, wielkiem i piękném, ten wszechwładny duch miłości, łączący Boga z ludźmi i ludzi między sobą, ten cud odkupienia rodzaju ludzkiego przez Syna Bożego z jedynej pobudki ukochania nieszczęśliwych pozbawionych dziedzictwa niebieskiego; wszystko to zdolne jest rozrzewnić i skruszyć serca najtwardsze; jakżeby więc nie roztopiło i nie zlało w jedno, dwóch serc nowych, czułych, otwierających się słodkim uczuciom człowieczeństwa, jak dwa bliźnięce kwiaty rozmykają swe kielichy dobroczynnym promieniom wiosennego słońca? Taki był los nasz z Roazą. Wodząc ją po niebieskich wzgórzach świętej naszej wiary, zbliżając ją i siebie do źródła wszelkiej miłości, mógłżem ję i siebie nie zapalić tym świętym pożarem? Czystą była nasza miłość, jak iskra z której się zatliła, ale równie jak ta, niewygasła, wieczna.

Z łatwością pojmowała Roaza przedziwność prawd i przepisów nauki CHRYSTUSA; ale kiedym, schodząc do stosunków ziemskich między ludźmi, tłómaczył ję (nie bez wstępu wyznam) różnice stanów, prawa i obowiąz-

ki urodzenia, nie rozumiała mię wcale, oburzała się nawet, a wzrok jój, zwykle łagodny, zaiskrzył się nieco, w zbytku zdumienia i zgrozy. — Jakże (mówiła) więc i Chrzesz, który mam przyjąć, nie porówna mię z tobą! — Przed Bogiem zaiste, lube dziecię ale nie przed światem (odpowiadałem, wzdychając boleśnie).—

— A cóż znaczy ten świat, skoro Bóg między nami nie uczyni różnicy? Zlebym cię znała Jordanie, gdybym mniemać mogła, że ty podzielasz tak mylne wyobrażenia twych rodaków o różnicy stanów. Co do mnie, choćym była rodzoną *Talibalda* (\*) córką, albo też siostrą samego *Krewe-Krewejty* (\*\*) uznawałabym w tobie drogiego mi brata. — To mówiąc płakała tak rzewnie, że nie mógł dalej zbijać tych jój błędów, alem płakał także, tuląc ją do serca, i z miłości ku niej odstępując mych zasad o nierówności stanów. Rzecz była wreszcie niepodobna, aby prosta, nieoświecona dziewczyna, przeniknęła się do razu prawdami nauki tak głębokiej, jaką jest *Heraldyka*.

Krażące wieści o niepomyślnej wyprawie przeciwko Szwedom, i przybycie Gąsiewskiego w te strony, czyniły mię niespokojnym: przewidywałem grożącą mi potrzebę opuszczenia rodzicielskiego domu, a zatem rozłączenia się z Roazą, może i nazawsze. Gdyby nie ta trwoga, cieszyłbym się z okoliczności otwierającej

(\*) *Thalibald de Bewerin* najslawniejszy wódz letteński w XIII w.

(\*\*) *Krewe Krewejte*. Najwyższy kapłan u pogańskiej Litwy, Lotwy i Rusi.

mi drogę do wojennej sławy. Zygmunt czuł się już dość pokrzepionym na zdrowiu, by znowu swe usługi ofiarować ojczyźnie. Patał on chęcią pomszczenia się na wrogach, za tyle klęsk naniesionych inflantskiej ziemi, obmycia we krwi ich plamy, którą upor i ambicja Lwa Sapiehy a niedoświadczenie jego syna zadały polskiej broni. Kiedym go więc odwiedził, znalazłem także dom cały w ruchu, ale to były przygotowania do wyprawy wojennej, nie zaś jak u nas do godów. Arabski ów rumak zdobyty pod Chocimem, dzielny jeszcze, choć już nie tak młody, lśnił się pod bogatym rzędem od złota i turkusów; stalowa zbroja oczyszczona ze rdzy bojowej, odbijała na swój błyszczącej powierzchni każdy promień światła. Miecz hartowny Wilhelma Platerra wisiał na nowym pendencie. Na szyszaku powiewała świeża kita; wszystkie słowem wojenne rynsztunki jaśniały w całym blasku, jakby ślubne ubiory prawego kochanka Bellony. Giermek i koniuszy krzatali się w zbrojowni i stajni; zaciąg młodych bojarzy, wystawiony kosztem Zygmunta, ćwiczył się w wojskowych obrótach na dziedzińcu pod komendą starego Borzywoja, niegdyś towarzysza pancernej chorągwi w pułku Chodkiewicza; a sędziwa matka rycerza, haftowała w krosienkach szarfę dla ukochanego syna. Wchodząc do komnaty, znalazłem ją przy téj robocie. Zdjęta szanowna matrona okulary, i witając mię uprzejmie, rzekła: — Spodziewam się, młody mój sąsiedzie, że tą razą, Waszmość będziesz towarzyszył na wojnie Zy-



gmusiuwi. Już ci się wąsik wysypuje a nie powącha-  
 łeś jeszcze prochu. Czas moje dziecko otrząsnąć się z do-  
 mowego pyłu, czas wypłacić ojczyściej ziemi dług oby-  
 watela. Kmiotek oblewa ją znojem, szlachcic krwią ją  
 skropić powinien, zawdzięczając, że wziął na niej ży-  
 cie, że ona przechowuje w swém łonie kości jego nad-  
 dziadów.—

Te słowa wychodzące z ust sędziwej niewiasty, z ust  
 matki gotującej się do rozdziału z synem, jedyną swęj  
 starości pociechą i podporą, przeniknęły mię żywszém  
 uczuciem mojego obowiązku, aniżeli wojenne przybo-  
 ry i zapał rycerski Zygmunta. W niej bowiem miłość  
 ojczyzny w całej swęj jaśniała potędze; obywatelska  
 cnota w całej się okazała czystości. Jęj dla kraju  
 ofiara tak była wielką, tak bezinteresowną, że raz  
 pierwszy uczuł powinność dania w mém sercu pierw-  
 szeństwa miłości kraju, przed wszelką inną miłością.  
 Z uczuciem tedy całując rękę czcigodnej matrony, za-  
 pewniłem ją o méj chęci podzielania trudów i niebez-  
 pieczeństw jęj zacnego syna, na polu chwały. Zygmunt  
 wziął na siebie skłonienie rodziców moich do przyzwo-  
 lenia, abym pierwszą moję wojenną wyprawę odbył  
 przy jego boku. Przybycie Gąsiewskiego z wojskiem  
 do Infant, nie zostawiało żadnej o skutku tych zamia-  
 rów wątpliwości.

Pozegnawszy sąsiadów pospieszyłem do méj łodzi.  
 Uważając wznoszącą się od zachodu chmurę, Zygmunt  
 chciał mię zatrzymać, przewidując burzę, alem się

uparł w nadziei, że się dostanę przed ulewą do domu. Spokojne wody Siewierza wyglądały jak niezmierna szklanna masa, odbijająca lazurową przepaść niebieskiego sklepienia w przezroczystym swém łonie. Przelatujące nad głową moją rybitwy ukazywały się złudzonemu oku pływające w głębinach jeziora, a każde poruszenie wiosła, wydrążało w toniach otwory, w które woda rzucała igrając tysiące błyskotnych bąbelków. Brzegi ze swojemi krajobrazy malowały się podwójnie, jakby w czystych niezmiernych zwierciadłach; od zachodnio-północnej tylko strony czerniały lekko zmarszczone fale, i ten pas barwy posępnej rozszerzał się nieznacznie, rozciągając jakby grobowy całun na jasną, kryształową szatę uciszonego Siewierza.

Pograżony w dumań, niedbale pędziłem łódź moją ku domowej stronie. Coraz silniejsze podmuchy przebiegały po szklistej przestrzeni, łamiąc ją w bystre przelotne zmarszczki. Jam tego nie zważał, rad, iż rozognione me czoło upałem dziennym i ogniem wzbudzonych uczuć, ochładzało się nieco w tym świeżym powietrzu. Wtém nagłe zawycie wiatru, bujne, zrazu rzadkie krople deszczu, lekki mrok i raptowne zawahanie się czołna, wywiodły mię z mych dumań. Spojrzałem w górę, szare obłoki, przedgońcy burzy, postępowały szybko ku Zenitowi, a w ślad za niemi straszna chmura, rozwijała swe modre zwoje, hucząc i jakby wyzywając do walki inne żywioły. Spojrzę przed sobą, brzeg jeszcze na cztery lub pięć

stai (\*) odemnie, a nawałnica już nad głową. Przed chwilą gładkie i spokojne wody, garbią się teraz i wytłumają straszliwie; coraz wyższe i silniejsze fale tłuką słabą mą łódkę, deszcz nawałny z gwałtownym wiatrem, zalewa mi oczy, a pokryte gęstemi obłoki niebo skąpo użycza światła. Steruję na oślep, ale niepodrywając wrzącym jak w kotle bałwanom, opuszczam wiosła, starając się jedynie utrzymać równowagę i wyrzucać wodę z łódki, aby się ta nie przewróciła, albowi też zalana strumieniami deszczu i fali, nie zatonęła. Śmierć stanęła mi przed oczy, otwierając przepaści jeziora, w które mię zagrzebać miała. Żal mi było lat młodych, żal rodziców i przyjaciela, żal wzywającej mię ku swej obronie ojczyzny, żal nadewszystko Roazy. Poleciałem się Bogu, żegnałem wszystkie te lube sercu mojemu przedmioty, a tym czasem łódka moja wstecz pędzona szturmem i młynkiem się raz po raz kręcąc, odbierać mi zdawała się wszelką nadzieję ratunku. W tej okropnej chwili między życiem a śmiercią, w tém rozpaczliwém oczekiwaniu ostatniego rozbitcia, postrzegam coś bielejącego na rozhukanych wałach. Przecieram oczy, wpatruję się z całej mocy — o, dziwo! postać biała pędzi po jeziorze prosto ku mnie. Czółna nie widać; czerni się tylko pod jęj nogami jakby wążutka ciemna strefka oblana wrzącą falą... Postać zgina się ustawnie, już wyrzucając z pod nóg swo-

(\*) Dawna miara długości. *Staje* powinno mieć, podług Czackiego, 220 kroków.

ich wodę, już wiosłem się sterując, już dając mi znak chustką. Wychodzę z otępienia, porywam wiosło, walczę potężnie, bo z isierką nadziei w sercu. Myślę sobie, że to nasz rybak w białym kitlu, gardząc własnem życiem, śpieszy mi na ratunek; błogosławię go w duszy — aż, bliżej podpływając, poznaje — kobietę! — Wszchemocne Nieba! — Myłaż mię oczy moje? — O, niechby omyliły! — — Lecz nie — nie myła — to ona — to Roaza! — Ledwie nie upadł w wodę z przerażenia. Ale bohaterka dziewczyna nie dała mi czasu. Już jej łódka obok mojej. Lotem ptaka już ona przy mnie. W pierwszym uniesieniu czułem niejaką radość, że zginiemy razem, ale ta chwila samolubstwa była krótką. Żądza zachowania, droższego mi nad własne, jej życia, podniosła me siły do nadzwyczajności. Daremnie wywierała burza całą swą wściekłość, napróżno rozdąsany Siewierz piętrzył wkoło nas groźne swe hałwany. Miłość panuje nad światem; posłuszne jej są żywioły. Dwa czyste serca wznoszące razem modły do Władcy przyrodzenia nie zginą. Roaza mimo delikatną na pozór budowę ciała, rozwijała w potrzebie siłę; pochodzącą szczególnie z energii pięknej duszy i ze zręczności, którą nadaje członkom codzienna wprawa do prac ręcznych i ćwiczeń gymnastycznych. Jej tedy pomoc w kierowaniu łodzią wśród burzy, okazała się nader skuteczną. Przeciwny wiatr nie dozwalał nam wprawdzie dążyć ku brzegowi, aleśmy potrafili nie podać mu boku naszej łodzi. Tym sposobem utrzymaliśmy ją

ciągle na powierzchni fali. Dodać muszę, że przyjaciółka moja przybyła właśnie w chwili, gdy gwałtowność szturmu podnosiła się do najwyższego stopnia, i gdy już dwojga rąk było za mało do ratunku.

Blisko godziny passowaliśmy się z tą szumną flagą: Nareście jakby jasna wstęga oświeciła kres horyzontu od strony zachodnio-północnej; ulewa przeszła w deszcz gęsty, drobny jak przez sito; huragan zamienił się w dęcie silnego, lecz równego wiatru. Rosła w sercach naszych nadzieja, coraz mniej mieliśmy pracy w wylewaniu wody z czołna. Nakoniec błysnęło zniżone ku zachodowi słońce, ostatek chmur zsunął się w kłębach na wschód, deszcz ustał, łódź ślizgała się dumnie po zgnębionej fali, i ręce nasze chwilami opuszczając wiosła spotykały się, słodko się sciskając. Głos nasz niehamowany już impetem szturmu, prznosił nawzajem do uszu przerywane i sercem tylko rozumiane słowa. Pytałem Roazy, jak mogła się odważyć na burzę w tak lichy naweczce? (był to bowiem rodzaj czołenka zwanego w języku prostaków *Dubica*, korytko mające po obu bokach poziomo przytwierdzoną deszczkę przez całą swą długość, statek najniebezpieczniejszy i używany tylko do pływania po miałkiej wodzie).

— Widziałam cię w niebezpieczeństwie — odrzekła — nie znalazłam innej łodzi, puściłam się więc w tej, chcąc cię ratować lub zginąć z tobą. —

— Albożbyś nie mogła żyć bezemnie? (zapytałem miotany radością i trwoga). —

— Dziwno mi, żeś o tém nie wiedział. Rada jestem burzy, która cię przekonała o mém przywiązaniu. Roaza kochać inaczej nie umie.—

Com jej na to powiedział, nie mógłbym dziś powtórzyć. Mowa namiętnej miłości ma sobie właściwe wyrazy, których skreślić niepodobna. Zdoła-li muzyk wydać dźwiękiem jakiego bądź instrumentu, cudowne głosy natury, wśród walki wzburzonych żywiołów? Wreszcie obrazy pamiątek ognistej młodości, przechowane w krzepnącém sercu starca, blademi już się odbijają kolory, jak promienie pałającego słońca od zimnej xiężycy twarzy.

Kiedyśmy nakoniec po niewymównych trudach zawinęli do zatoki pod naszym dworem, ujrzelśmy zgromadzonych na brzegu rodziców moich z domownikami i czeladzią, uradowanych z naszego ocalenia. Matka moja płakała tylko całując mnie i Roazę na przemian, i w uniesieniu wdzięczności córką ją swą nazywała. Od tej chwili czulój jeszcze pokochałem rodzicielkę moję. Ojciec uspokojony nie chciał okazać zbyt wielkiej radości, snać by nie ubliżyć swój powadze, ale ukradkiem otarłszy oczy rękawem, rzekł do żony: — No, dość tych szlochów moja panno, dziękujmy Bogu, że uratował tego malca, i tę wietrznicę (klapiąc Roazę zlekka po jej świeżych jagodach), ale niéma się czego tak bardzo rozczulać. Wielkaż to rzecz, że ich trochę fala pohustała i dęszcz nieco skapał! Dla nas mężczyzn to fraszki, ale ta dziewczka warta pochwały: serce


ma odważne zakaty. Samby mój rybak Łukasz pokreślił głową, zanimby się w *Dubicy* puścił na rozigrany Siewierz. *Impavida puella Charissime*, dodał obracając się do księdza. — Missjonarz spojrział na mnie i na Roazę przenikliwym wzrokiem, i przesuując paciórki u rożanica swego rzekł: — Dzięki Zbawicielowi, że na tém się skończyło. Pójdźmyż do kaplicy oddać cześć Bogu za uratowanie tych dzieci. I dodał grożąc palcem Roazie: — Ledwieś mi bez chrztu na tamten świat nie poszła! Ale nie mam ci tego za złe, boś twe życie uiośła na ratunek bliźniego. —

Dziewica spuściła oczy spłoniwszy się nieco, a missjonarz mruknął potrząsając głową: — Trzeba ich widzę rozdzielić. —

Te słowa przeniknęły boleśnie aż do głębi mojego serca, sprawując w niem skutek oleju wlanego nieostróżnie w płomień: zamiar rozłączenia mię na wieki z tą, której winien byłem wprzód całą słodycz życia, a teraz samo już to nawet życie, poczytałem za bezbożny. Ksiądz stanął mi w oczach, jak tyran usiłujący targać nieludzką ręką związek najczulszy i najniewinniejszy dwóch istot stworzonych jedna dla drugiej. Władza rodzicielska przybierała postać despotyzmu, i raz pierwszy w życiu, siła namiętności podnosiła się przeciwko sile zasad zaszczeponych od dzieciństwa w mém sercu. Niema bowiem potężniejszej władzy moralnej w człeku, nad pierwszą jego miłość. Jest to jedyne może uczucie, które się wzmaga w miarę zaważających mu

na drodze, i wtenczas właśnie może się uważać prawdziwym, kiedy się wywalnia z tych więzów, któreby wystarczyły do pohańcowania każdej innej namiętności. Rzekłem więc sobie w duszy: Roaza będzie moja, choćby świat cały powstał przeciwko temu: chyba że zginę w tej wojnie... a wtenczas znajdziemy się tam, gdzie wszyscy ludzie będą sobie równymi.

Kiedym uwiadomił Roazę o potrzebie opuszczenia jej na czas niedługi, aby walczyć w obronie ojczyzny, pobladło białe dziewczę, lecz po chwili rzekło z głębokim westchnieniem: — Idź, gdzie cię święta wzywa powinność. Potrafię słodzić sobie straszliwy ten rozdział myśla, że albo wrócisz do mnie, albo że jeślibyś, broń Boże, miał zginąć, ja wślad za tobą pójdę tam... na wschód — do Nieba. —





## V.

**W** kilka dni przybył do nas szatny Wojewody Gąsiewskiego z garderobą, donosząc, że pana swego zostawił w Braństawi, zkąd, dla złych dróg, miał odbyć resztę podróży konno z małym orszakiem. Natychmiast ojciec mój uwiadomił o tém Zygmunta, a gdy ten przyjechał, rozesłane zostały listy z zaprosinami do znakomitszych obywateli. Nazajutrz w pięknej komitywie złożonej z kilkunastu osób, wyruszył mój rodzic, na paradnym swoim stępaku, na spotkanie Jasnie Wielmożnego gościa. Pan Jowita z kuchnią i kredensem poprzedzał nas do karczmy sapieżyńskiej, o mil cztery, gdzie miał być popas i gdzieśmy się powinni byli zjechać z Wojewodą.

Stanąwszy w oznaczoném miejscu znaleźliśmy wszystko w niezłym porządku. Żydowstwo z karczmy wy-

pędzone, ściany zawieszono kobiercami, podłoga posypana białym piaskiem i tatarskim zielem, stół czysto nakryty i suto zastawiony zimnym mięsiwem, przysmaczkami, oraz gąsiorami wina i miodu. W stodole urządzono żłoby i drabiny po obu stronach dla koni, a w środku stół z tarcic na kozłach dźwigał pół-gęski, półcie, stosy sérów, bochenków chleba i potężne stągwie karczemnego piwa dla służby. Chorążyc krzątał się a burczał, widać było jednak, że się cieszył w duchu ze swej powagi, osobliwie, gdy Pan Cześnik obejrzawszy przygotowania, wszystko pochwalił.

W pół godziny nadjechał Wojewoda z synem, w towarzystwie Oficera francuzkiego w służbie polskiej, nazwiskiem *La Montagne*, z kilku oraz dworzanami, i eskortą swęj przyboczną strażą, pod komendą Rotmistrza Snarskiego. Reszta orszaku i dworu wojewodzińskiego została przy wojsku, które ciągnęło tym czasem pod dowództwem Regimentarza Łaskiego z Litwy ku Dyneburgowi.

Z wielkiem zadowoleniem ujrzał się stary Gąsiewski spotykany przez dawnego swojego sługę. Przywitanie ich pełne było uprzejmości z jednej, a weneracji z drugiej strony. W kolei uściskał serdecznie Wojewoda Zygmunta Platera, jako dawnego towarzysza broni, a gdy reszta szlachty złożyła mu swe uszanowanie, ojciec mój przedstawił mię *Excellentissimo*, mówiąc:

— Niech mi wolno będzie submitować do nóg pańskich tego oto jedynego syna mojego, i zostawić mu

*in haereditatem* zaszczyt skarżenia sobie łask nieoszacowanych *magni in Republica sideris* benefaktora mego; aby *cum obedientia et fidelitate* służąc, tam *in aula quam in tentorio*, domowi Jego, wypłacił remanent *gratitudinis meae* JW. Panu za tyle dobrodziejstw należący się.—

Skłoniłem się Wojewodzie do nóg, ten mię łaskawie przyjął, i synowi swemu polecił, mówiąc do mego ojca: — My z Wasią, kochany Cześniku, jesteśmy już *aetate declinata*. W synach więc naszych *spes altera patriae*. Spodziewam się, że jak jeden tak drugi, staną się, każdy w swojej sferze, krajowi użyteczni, sobie zaś wzajem będą życzliwi... Ale chcę żebyś się poznał z Panem *La Montagne* walecznym oficerem Króla Jmci francuzkiego, a który postanowił ofiarować naszej Rzeczypospolitej rycerskie swe usługi.

Ojciec mój chłodno się ukłonił Francuzowi, ten zaś dworsko mu się zarekomendował, snąc przywykły cenić ludzi, szczególnież podług smaku potraw ich stołu. Owoż spostrzegł i ocenił wzrokiem znawcy, sute półmiski i spore gąsiorzy, któremi stół w karczmie był zastawiony, a obracając się do Gąsiewskiego rzekł:

— Ten Pan *Dapifer* (\*) zdaje mi się być zacnym człowiekiem i mieć zupełne pojęcie o ważności swego urzędu. O tém się przeświadczam z fizjonomji... — Jego stołu (przerwał mu śmiejąc się Wojewoda) mam

---

(\*) Cześnik.

cię *Monsieur La Montagne* za wielkiego fizjognomistę pod tym względem. Ale Pan Cześnik jest zacnym człowiekiem w całej obszerności tego wyrazu.—

Tym czasem, ojciec mój odebrawszy od P. Jowity raport, że przekąska była już w należytej gotowości, prosił Wojewodę, aby się raczył po trudach podróży posilić czém Bóg dał na prędcę. Ochoczo przyjął *Illustrissimus* to wezwanie, a gdy zasiadł przeznaczone dla siebie miejsce, wszyscy goście otoczyli stół, szykując się podług starszeństwa lat i tytułów. *La Montagne* cudzoziemiec usiadł przy boku Wojewody, i wnet dał dowód równie niepospolitego apetytu jako i zręczności w sztuce krajczowskiej. Chorążyc szepnął mi jednak do ucha, że Francuz pomimo swój prezumpcji nie zbyt tęgi krajczy, albowiem rozbierając cyrankę, zaczął od skrzydełka nie zaś od udka, jakby należało, *secundum artem*, mając do czynienia z ptakiem wodnym.

Sprzątnąwszy kilka potraw i łyknąwszy wina, wpadł *La Montagne* w lepszy jeszcze humor, jadł i gadał razem, jakby mu kaski w gębie wcale nie zawadzały.

— *Ventrebleu!* — mówił — ta część Polski ma, widzę, swoje zalety. Jaka obfitość zwierzyny! — Jakie dobre wino! — Co za przedziwne obyczaje mieszkańców, wnosząc z nich gościnności! — Przyznam się, że całkiem inne miałem o tym kraju wyobrażenie.

— Rzecz dziwna zaiste — przerwał mu Wojewoda — iż niemal wszyscy cudzoziemcy przybywają do nas ze złem o kraju naszym wyobrażeniem. Byłem, lat temu

30, w Krakowie, czasu przyjazdu Legata papieżkiego Kardynała Gaetano, i zaprzyjaźniłem się z synowcem jego, Siniorem Antonio Gaetano Kamerjerem Ojca Ś. Młody ten rzymski gaszek nie mógł się nadziwić rzeczom, które u nas widział. Wprawdzie było się też czemu podziwiać. Od granicy szląskiej aż do Krakowa otaczał Legację przepych nadzwyczajny. Orszak na przykład Piotra Myszkowskiego składał się ze 40 jezdców, a wszyscy w aksamicie ze srebrem i ze srebrnymi skrzydłami na barkach. A coż, gdy Kardynał pominąwszy Łobzów zbliżał się do stolicy. Jak mu zaczęli zajężdzać drogę rozmaite hufce konne panów koronnych, a za nimi kupcy różnych narodów, każdy w ojczystym swoim ubiorze: Włosi porozdziawiali gęby, biorąc każdego dworzanina za magnata, każdego rzemieślnika za kawalera.— *O, che paese di cocagna* (wykrzykiwał mój Pan Gaetano w admiracji). Wyobraź sobie *mio caro signore*, żem ja do wasjechał ze strachem, jakby do kraju półdzikiego, a znajduję tu rzymską *mehercle* cywilizację! co zaś do gościnności, téj moglibyśmy się u was nauczyć. Przed kilku laty jeden z twoich ziomków cytował mi dawne wasze przysłowie, iż gdyby nie było Rzymu, tedyby Kraków był Rzymem. Śmiałem się wtenczas w duchu z takiej preumpcji, ale teraz, po tém wszystkiém, co tu widziałem, zgadzam się, iż to przysłowie jest sprawiedliwe. Jednej tylko rzeczy nie pojmuję (mówił Włoch dalej), jak wy Polacy tak wiele jeść możecie! Całe nasze poselstwo przechorowało już od zbytku jadła na tu-

tejszych ucztach, a żaden z nas jednak nie zjadł i połowy tego, co się tu uważa za zwyczajny posiłek.

— Bo też te Włoszyska (rzekł *La Montagne*) sama prawie żyją trawą, za pozwoleniem Illustrissimi, jak bydłeta. Ich nie warto traktować czém dobrém. Talerz makaronu, kawałek parmezanu i garść zielska na sałatę, ot Włoch i syt.

— Przepraszam Pana Kapitana (wtrącił młody Gąsiewski), ale mnie się zdarzało we Włoszech trafiać na lepsze i sutsze obiady, aniżeli te, któreś Pan tu opisał.

— Toś był szczęśliwy Panie Wojewodzicu (odrzekł Francuz), chociażbym się założył, iż Włosi, co tak suto Pana ugaszczali, musieli mieć w żyłach cokolwiek krwi francuzkiej, przynajmniej po kądzieli.

— Mnie się dało słyszeć (odezwał się przybyły z nami obywatel P. Januszewicz), że we Włoszech są najlepsze kapłony.

— Cienko śpiewają włoskie kapłony— odpowiedział mu *La Montagne*, wierzaj Pan, nie zdatne do jedzenia. Co za różnica ten oto inflantski kapłón, którego pierś tuczną mam honor prezentować JW. Wojewodzie.—

Wojewoda odmówił, jako już destatecznie zaspokoiksiwszy swój apetyt.

— A jeśli tak — ciągnął dalej Francuz — więc ja ten kasek skonsummuje, jako wierny sługa pański. Taki bo też powiadano mi w Polsce zwyczaj. Słudzy tu żyją z pańskich talerzy. Wyborny kapłón, trochę

tylko za suchy... Ale i mój gąsiorek wysechł jak uważam — *Monsieur le Chinois*, Szanowny Panie Mandarynie (zawołał na Chorątyca) dolej mi, za pozwoleniem *Illustrissimi* i gospodarza, z łaski swojej, wina.—

Pan Jowita zaczerwienił i zmarszczywszy brwi, odpowiedział Francuzowi:— Nie jestem *Mosju*, nie nazywam się *Szynua* ani *Mandaryn*, bom z łaski Boga nie Zamorczyk, ale prawy Polak. Mam zwisko *Dobiesza*, a tytuł *Chorątyc mozyrski*, i zanoszę do JW. Wojewody miłościwego mojego Pana i Dobrodzieja załobę na tego jegomości *de la*, czy jak on się tam zowie, o ubliżenie szlacheckiemu memu honorowi; suplikując oran aby mi *Illustrissimus Dux* pozwolił rozprawić się z tym nieobyczajnym *aggressorem* po naszymu.—

Gdyby nie obecność Wojewody, drogoby Francuz swój żart przyplacił. Ojciec mój poczuł się obrażony, w osobie swego krewnego i domownika, reszta gości w osobie szlachcica; szmer powstał głucho, lica się iskrzyły, a karabele oswały się wstrząśnione u boku biesiadników.

Sam Gąsiewski zdawał się być dotknięty, ale wgląd na cudzoziemca, który się oddał pod szczególną jego protekcję i chęć pokoju, kazały mu wejść w pośrednictwo między załującym i obżalowanym. Zaczął więc od zgromienia *La Montagne* za jego niegrzeczność i zapytał, co mu dać mogło powód do nazwania Polaka Chińczykiem?

Francuz ekuzował się jak mógł, allegując podgo.

loną nadwyzczajnie głowę Chorążycy, która go czyniła podobnym do chińskiego Mandaryna, i usiłując przekonać, że Mandaryn znaczy po chińsku szlachcic.

— Ależ ja nie chcę być królem nawet chińskim, odpowiedział mu P. Jowita. Ja mego rodu nie zamienię na żadnego Mandaryna, ani nawet *Markiza*, masz o tém wiedzieć, panie francuzki Mandarynie.—

Tu Wojewoda dał znak Chorążycowi, aby się miarkował, i prosił wszystkich Gościwych Panów i braci, aby zapomnieli swęj urazy i wybaczyli cudzoziemcowi błąd, popełniony zwłaszcza *in poculi*, bez złęj intencji. W ogólności (dodał) miejmy za prawidło nie mieszć do osobistych dysput między osobami, honoru narodów, do których te należą. Każdy naród, nawet nam nieprzyjazny, zasługuje na wzgląd i respekt, gdy o nim mowa zachodzi w ogólném wzięciu, a coź dopiero naród nam sprzymierzony.

Ojciec mój chcąc uniknąć sprawienia benefaktorowi swemu by najmniejszej przykrości, połknął swą urazę, i użył najlepszego środka do pogodzenia stron, podnosząc pełny kielich'za zdrowie *Illustrissimi Excellen-tissimi Domini JW. Wojewody*. Wszyscy wykrzyknęli *Vivat!* i spory puhar poszedł koleją wypróżniony duszkiem. *Illustrissimus* podziękował i zagał razem zdrowie gospodarza, a P. *La Montagne*, chcąc naprawić swe uchybienie, wychylił kielich za zdrowie całej kompanji przez co i Chorążycowi niejako uczynił deprekację. Tymczasem konie się podpasły, służba się posiliła na-



leżycie w stodole, Wojewoda dosiadł swego pochodnego wierzchowca, i cała kawalkada podochocona, wesoło ruszyła w podróż.

Jechaliśmy wolno. Staruszek Gąsiewski przedrzedzał z godzinę na swoim stępaku, jakby w krześle. *La Montagne* szczebiotał po francuzku z Wojewodzicem; mnie ojciec wysłał z pół drogi przodem, z oznajmieniem o zbliżaniu się poważnego gościa; Chorążyc w tylnej straży dążył z kredensowym taborem.

Zastałem matkę moję zakłopotaną przygotowaniami do tak ważnego w domu naszym wypadku. Nie mogła ze zwyczajną sobie żywością krzątać się, w każdy kątek zaglądać, bo się wystroiła świątecznie na przyjęcie Pana Wojewody. Grodeturowy rębion i czepiec oszyty korunką, nie dozwalały jej swobodnego ruchu; strzedz się też musiała splamienia jednej ze swych paradnych sukien, należącej niegdyś do ślubnej wyprawy. Petronella także się wystroiła, ale miała postać czupradła, tém bardziej iż latającej od budynku do budynku, od spizarni do kuchni, wiatr rozchwiał przytrefione włosy, i rostrzepał jaskrawe wstążki, a na żółto gorącym kartonowym szusście, porobiły się floresy z sady, mąki, oliwy i różnych smażonych soków. Obok niej Roaza w białej czystej sukience Katechumeny (\*) wyglądała jak świeżo uszczkniona lilja przy zwiędłym słoneczniku.— Domek nasz przybrał postać uroczystą.

(\*) Tak dawniej nazywano Pogan, spotykających się do przyjęcia wiary Chrześcijańskiej.

Wszystkie sprzęty, wypolerowane starannie woskiem, błyszcząły jakby nowe. Na portretach, lica bohaterów przeszłości, umyte i oczyszczone, ożywiać się zdawały radością oglądania jednego z mętnych synów ojczyzny; podłogi symetrycznie posypane tatarskiem zielem; ganek świecący od białego piasku, a dziedziniec (raz pierwszy od swego założenia) uprzątlniony z kłód, tarcic, drewek i innych rupieci, umieciony był nawet w całej swój rozciągłości; drożka zaś od bramy do ganku pokryta grubą warstwą złotego piasku. Pajuk stojący u wrót na warcie, wzbraniał plebejuszom wjazdu na dziedziniec aż do przybycia wysokiego gościa, a domowi puszkarze, zakrystjan kaplicy i strzelec jegomościm stali z łontami przy nabitych moździerzykach, mających salutować Wojewodę.

Najpiękniejszą wszakże ozdobą domu naszego było grono zgromadzonych już tam, *in gratiam* przybycia Gasiewskiego, najzaczniejszych obywateli naszej prowincji. Byli to Panowie: Berk, młody Gedeon Borch, de Wischling-Sieberg, Jodko, Stanisław Szadurski, Kasper Karmicki, Sokołowski, Sołtan, Korn, Melchior Ryk, Wejsenhoff, de Walden i wielu innych, których mi dziś już spamiętać trudno. Złotogłowe i atlasowe żupany, kubraki sajetowe, czamary axamitne z petlicami, z taśmami od złota i srebra, djamentowe spinki i pierścienie, lite pasy, karabele drogiemi sadzone kamieniami, wszystko to rzucało na skromne domu naszego ściany blask niezwykły.

Śród tego świetnego grona odznaczał się ksiądz Anzeim swoją ascetyczną postacią i czarną zakonną suknią, na którą wdział płaszcz święteczny z czarnego kamlotu, taftową zaś malutką piuską pokrył obnażony z włosów wierzch sędziwej głowy. Ale pomimo skromności odzieży i postawy, zdawał się panować w tém kole przeznacznej szlachty. Każdy się doń zbliżał z uszanowaniem, każdy słuchał słów jego z uwagą. Charakter kapłański, zakon do którego należał, powołanie Missjonarza i wiek podeszły, zjednywały dłań w sercach tych pobożnych obywateli cześć prawdziwie synowską. On zaś przyjmował te hołdy z taką skromnością, a razem z taką znajomością zwyczajów świata, iż każdy czuł się pochlebiony, że mógł obcować z tak świątobliwym i świątym mężem. Znał on każdego z tych panów familijne związki, stosunki z dworem lub z pierwszymi w kraju osobami, położenie i obszerność dóbr i t. d. Każdemu więc umiał coś przyjemnego powiedzieć, przypomnieć, lub o coś interesującego zapytać. Pierwszy raz widziałem Ojca Anzeima dworakiem. Ale on był nim w szlachetnym znaczeniu tego nazwania. Dworszczyzna jego miała coś nader poważnego, coś ujmującego, ale nie poziomego wcale. Gdy mówił komu komplement, wyrazy były pełne godności, nie traciły najmniej podchlebstwem, chociaż słodyczą trafiały do serca. Z prawdziwą dumą poglądałem na ten tryumf mojego nauczyciela. Ach, czemuż (myślałem sobie) i ten człowiek, tak wyższy od innych, nie może się wyzuć ze wszystkich prze-

sądów! Czemu i on dla marnych światowych względów opiera się szczęściu swoich dzieci w Bogu! Gdyby nie ta słabość, uznałbym go za najdoskonalszego z ludzi.

Roaza, chociaż z daleka przezedrzwiała bocznego al-kierza, przypatrywała się zgromadzeniu, nie uszło jej bystrzej uwagi wrażenie, jakie Missjonarz czynił na tych świeckich panach. Kiedym więc znalazł chwilę zbliżenia się do niej od nikogo niepostrzeżony, rzekła — Gdyby religja mych ojców panowała jeszcze, jak nigdyś w tym kraju, ojciec Anzelm byłby bez wątpienia naszym Krewe-Krewejtą. W tym człekul jest coś objawiającego bliższe obcowanie z duchami nieśmiertelnymi. Patrz na jego pokorną postawę, na tę czarną szatę bez żadnej ozdoby, prócz kokosowego różańca u pasa i mosiężnego krucyfixu na piersiach; patrz znowu, na ten tłum błyszczący od złota, srebra i drogich kamieni; na te postawy harde, okazałe. Czemuż ubogi ten zakonnik pierwszym jest jednak w ich rzędzie? — Bo mu Niebo dało świątobliwość i mądrość. Pewna jestem, że go nie zgasi sam wasz wielki Gąsiewski. — Coż mi z tego (odrzekłem z westchnieniem) kiedy ten kapłan tyle jest razem okrutny, iż chce mię od ciebie oderwać na zawsze.

— Masz go więc chyba za BOGA! (odparła Roaza) Bóg jeden może nas rozdzielić na zawsze, bo jest wszechmocnym i wiecznym; ludzie, a zatém i ksiądz Anzelm, choćby najmocniej usiłowali, nie zdołają tego bez nas samych uczynić. Amy.. — nie rozdzielim się nigdy — dokoń-

czyłem z zapałem, przyciskając rękę dziewczcy do bijącego gwałtownie mojego serca....

Wtém zagrzmiały moździerz;—okrzyki: —*Jedzie! już przyjechał!*— rozległy się po całym domu, wszyscy runęli na spotkanie Wojewody. Ja tylko i w mojem objęciu Roaza zostaliśmy w osamotnionym na chwilę domu. Zajęci sobą, nie obchodził nas ten zgiełk, to widowisko, a przecie z tyłu ludzi wzruszonych rozmaitemi uczuciami, my tylko zachowaliśmy w sercu pamiętkę dnia tego na zawsze.

Dzień następujący po przybyciu Gąsiewskiego do naszego domu, był dniem prawdziwie uroczystym. Uświęcił go obrzęd chrztu Roazy. Piękny to był i rozrzucający razem widok. Postać skromna młodej Katechumeny w białej jak śnieg szacie, na którą spływały jej długie rozplecione włosy; wzrok natchniony ojca Anzelma sprawującego świąty i tak miły sercu jego obrządek; twarz sędziwa i postawa rycerska Gąsiewskiego, stojącego do chrztu w pierwszej parze z panią Platerową matką Zygmunta; assistencja świetna tylu zacnych mężów, tłum wiejskiego ludu oblegający kaplicę, w której jaśniejący obraz Matki Bożkiej Częstochowskiej rzucał potoki światła na całe zgromadzenie, wszystko to miało w sobie coś wielkiego, tkliwego i podnoszącego duszę do téj dziedziny szczęśliwej, do której ś. chrztu sakrament otwierał wejście nowej chrześcijance. Zaledwie strumień odradzającego źródła spłynął z ręki kapłana na jej głowę, poszła przed ołtarz,

i przyjęła ciało i krew CHRYSTUSA, jako dopełnienie wiecznego z nim się połączenia, a cały ten tłum różnorodny, upadł na kolana, i zginając ku ziemi czoła, złął się w jedno — iż tak rzekę — ciało, jednemu wspólnemu poddane Panu. Cóż znaczą wszystkie pompy świata, porównane z powagą obrzędów religii chrześcijańskiej, kiedy zwłaszcza towarzyszą im, jak w owęj chwili, głęboka, prosta wiara i szczerą pokora. Miarą wielkości Chrześcijanina jest uniesienie się jego przed Stwórcą.

Po skończonem nabożeństwie wyszli wszyscy ze świątyni, ksiądz tylko, Roaza i ja przebyliśmy tam jeszcze czas niejakiś na modlitwie. Oddalił się nakoniec ojciec Anzelm, skinąwszy na mnie; ale zaledwieśmy uszli kilkadziesiąt kroków, usłyszałem krzyk Roazy, i zwróciwszy się pędem, ujrzałem ją zemdloną u progu kaplicy. Lud wiejski płci obojęd tłoczył się około niej; z trudnością oddaliłem natrętną cizbę, a mając pod ręką wodę święconą, użyłem jęj skutecznie do ocucenia niebogięj. Podniosłszy ją, wprowadziłem do habińcowej ławki; tam ona oglądając się z przerażeniem, rzekła słabym głosem:— Gdzie on jest?.. gdzie się podział?...— Kto taki? Kogoś widziała?— pytam ze zdumieniem i trwogą.— Widziałam — odpowie drżąca — mojego prześladowcę! — mieszkańca mojęj osady, straszliwego *Wurszajtas!*— (\*)

---

(\*) *Wurszajtas*, u pogańskiej Łotwy, Ofiarnik niższego stopnia i razem starszyzna.

— Jakby się on tu mógł znajdować?! — mylisz się Roazo, widziałaś kogoś doń podobnego?

— Nie myślę się, Jordanie! Twarz tej poczwary nie ma podobnej sobie, i tak się w mej pamięci wyryła, że poznałabym go na jeden rzut oka z tysięcy ludzi. Odziany był siermięgą jak tutejszy włościanin, alem go poznała pod tém przebraniem. Nie darmo się nę-dznik ten odważył przyjść aż tutaj. Jest w tém ważny zamiar. Musiał mię wyszpiegować i coś straszego przeciwko mnie knuje.—

Wybiegłem z kaplicy i zająłem się przeglądem chłopów zgromadzonych na podwórku, rozesałem kilku konnych w różnych kierunkach, ale wszystko napróżno: nikogo nie znaleziono, coby miał podobieństwo do człeka, którego mi opisała Roaza.

Skutkiem przerażenia sprawionego widokiem owego straszliwego *Wursztyła*, Roaza przechorowała dzień cały, i nie mogła być obecną wesołej uczcie, na której w rzędzie wiwatów, i za jej zdrowie, jako chrzestnej córki Gąsiewskiego, spełniono kielich. Pan *La Montagne* obyczajem swego kraju zaśpiewał u stołu przy wetach, na cześć nowo-ochrzczonej, piosenkę, w której wyrażał skargę bogini lasów Dyanny na bożka Marsa, za odebranie najpiękniejszej Nimfy z jej orszaku. Miała to być allegorja zastosowana do Roazy i do Wojewody, który stał się chrzestnym jej ojcem.

Po obiedzie pani Platerowa zbierała składkę dla swjej chrzestnej córki. Gąsiewscy, ojciec i syn, sypnęli

hojnie, Panowie Inflantscy nie chcieli też pozostać za niemi w tyle; spora więc taca przepelniła się prawie monetą. *La Montagne* rzekł, dobywając lekkiej sakiewki: — Człek mojego rzemiosła więcej zwykle miewa przy sobie żelaza niż złota; ale ten daje najwięcej kto daje wszystko co posiada. Otoż i ja ofiaruję mego jedynaka luidora dla téj ślicznej róży przesadzonej z pogańskiego kwietnika do naszego parteru. Spodziewam się po piérwszej bitwie znaleźć w trzosie jakiego Szwe-da czém napełnić tę biedną sakiewkę — ładną wprawdzie, lecz pustą, jak paryzka moja kochanka, od której mam ją w upominku. — Skrzywiła się poważna kwestarka na te ostatnie wyrazy Francuza, i szepnęła do syna, który jój pomagał w dźwiganiu obciążonej tacy: — Zygmsiu, strzeż mi się waść zaprzyjaźnić z tym cudzoziemcem; to szalapat jakiś, mógłby cię zgorszyć moje dziecię. —

Po skończonej kweście udała się pani Platerowa z ks. Anzelmem do pokoju, w którym leżała osłabiona Roaza, chcąc ją pokrzepić widokiem tak niespodzianego dla niój bogactwa. W rzeczy samój dziewica w wielkie wpadła zdumienie, słysząc, że te wszystkie złote i srebrne pieniądze do niój należeć miały. Z wdzięcznością ucałowawszy rękę staruszki, obróciła się do ojca Anzelma, mówiąc: — Od urodzenia mego nieposiadałam jednego grosza, nieznam dotąd wartości pieniędzy, i użyłbym ich nie umiała. Ale wiem, iż ten kruszec w dobroczynném ręku wiele sprawić może dobrego, wie-



lu biednych wyratować z nędzy, wielu głodnym dostarczyć chleba. Tobie więc, mój ojcze, oddaję skarb ten cały; rozdziel go między ubogich, aby się modlili za ciebie, i za moich dobroczyńców.— Oboje, ksiądz i matrona, patrzyli na Roazę z czułym podziwieniem.— Ale ty, moje dziecię, jesteś także ubogą — rzekł do niej kapłan.— Nie jestem nią, mój ojcze! W tym szanownym domu na niczem mi nigdy nie zabraknie — odpowiedziała przyciskając rękę matki mojej do swjej piersi.— O, dzięki wam, dzięki dobroczynne państwo, żeście mi dali sposobność sprawienia radości memu duchownemu ojcu, który jak uważałam najszczęśliwszym jest wtenczas, kiedy może rozdawać pieniądze ubogim.— Nie mogąc zwyciężyć uporu dziewicy, wziął Missjonarz cały zbiór z kwesty, mówiąc: — Dobrze więc, moje dziecię! Zgadzam się być twoim podskarbis. Użyję tych pieniędzy, przy pomocy Boga, z twoim i z ubogich pożytkiem.— Pani Platerowa pochwaliwszy i pobłogosławiwszy Roazę, wróciła do kompanji, i opowiedziała rzadką bezinteresowność, i szczodroblivość nowęj chrześcijanki. Zdumiała wszystkich tak wysoka w prostęj wieśniaczej cnota. Wojewoda Gąsiewski oświadczył, że na siebie bierze wyposażenie tak szlachetnie myślącej chrześnej swojej córki, a *La Montagne* wykrzyknął: — Piękna i cnotliwa, ale trochę warjatka! Oddałbym jęj me serce, lecz kassy mojej nie dałbym jęj do szafunku, hobyśmy oboje poszli nakoniec z torbą.—

Dzień ten uroczysty skończył się wesoło. Wojewo-

da udał się wcześniej do spoczynku, przeprosiwszy Inflantskich Panów, że im dotrzymać dłużej nie może ochoty — Bo (mówił) zdrowie już mi nie służy jak dawniej. Muszę się ściślej rachować z moimi siłami, aby mnie ich w walnej potrzebie nie zabrakło; — łatwo zaś przewidywać mogę, że mi król Gustaw da wiele do czynienia. Z tym Panem sprawa nie łatwa. Doznał tego niedawno pan Stanisław (\*). Nie czas długo bankietować, dopóki najlepsze Inflantskie zamki w ręku Szweda. Mamci ja z Waszmościami Mościwi panowie i bracia do pomówienia o tych rzeczach, ale już spóźniona pora. Odłożmy więc takie ważne *negotia in crastinum diem*, jak mówi Cycero. Życzę Waszmościom dobrej nocy. — Ojciec mój odprowadził naprzód Wojewodę do jego komnaty, a później resztę gości do miejsca ich noclegu, przepraszając za niewygody i ciasnotę; ale ci nie wytworni, zahartowani od młodości mężowie, pogardzali miękkością, a szczerą chęć gospodarza przyjmowali za najlepsze ugoszczenie. Ulokowali się tedy, w większej liczbie, wśród wesołego gwaru, wśród dowcipnych dykteryjek, na wonnym sianie w obszernej stodole, jedni wyżej, drudzy niżej, pokotem, na pięknych kościanych podłogach, pod atłasowemi i adamaszkowemi kołdrami. Ta mieszanina, to połączenie przepychu i prostoty, twarze tych mężów poważne i wesołe razem, stały wizerunek narodowego charakteru krajowców.

---

(\*) Sapięha.



## VI.

Nazajutrz o świcie, podczas kiedy wszyscy jeszcze spali, udaliśmy się, ja i Roaza, do pasieki, gdzieśmy usiedli na podniesieniu z darnia pod starym dębem, któremu ona w pierwszych dniach swojego u nas mieszkania, cześć oddawała boską. Dziś, nawróconej do prawdziwej wiary, dąb ten już nie był bożyszczem, czuła atoli doń pewny rodzaj pociągu, jakieś nałogowe upodobanie. Siedzenie z darnia było niedawno ołtarzem wzniesionym jej rękami na cześć dawnych bogów; pamięć ta zapewne czyniła dla niej miłym samotne to ustronie, bo zaszczerpione w sercu od dzieciństwa wyobrażenia, trudno się dają zatrzeć w niem do szczętu.

—Przywiodłam cię tu, kochany Jordanie, aby ci opowiedzieć wczorajszego mojego przestraszu przyczyn-

nę. Nikt nas tu nie podsłucha, nikt prócz ciebie nie dowie się o téj tajemnicy. Słuchajże. Ten Wurszajtas, który mi się wczora przed progiem kaplicy jak straszliwe widmo ukazał, jest to ofiarnik i razem starszyzna naszój osady. Człek srogi, chytry, i co gorsza namiętnie był we mnie rozkochany.—

Porwałem się ze zgrozą i wykrzyknąłem: — Co? Ten prosty chłop, ten poganin śmiałyby podnieść oczy na ciebie!!—

—Zapominasz Jordanie, zem i ja dotąd takąż chłopką, a niedawno byłam poganką. Niedawno chłop ten (jak go nazywasz) czynił mi zaszczyt ubiegając się o moję rękę, i byłby ją otrzymał, gdyby nie wstręt, który z dzieciństwa czułam od niego. Ta okoliczność nabawiała rodziców moich wielkim kłopotem, bo jeśli z jednéj strony nie chcieli zmuszać mnie do nienawistnego związku, z drugiejj obawiać się musieli zemsty potężnego Wurszajtas. Ojciec mój piastuje także urząd starszyny w osadzie, ale do niego, jako do sędziego, należą tylko sprawy domowe, (jak wy nazywacie cywilne), tamten zaś, jako razem duchowna osoba, zastępuje *Krewę*, czyli kapłana, a ztąd wpływ mając religijny na umysłach, potężniejszej niż piérwszy używa władzy. Na szczęście wiek, a szczególnie cnoty mojego rodzića, powszechne mu zjednały poważenie i miłość. Jego kochają, tamtego się boją; miłość jednak ku piérwszemu tak jest silną, że równoważy z bojaźnią ku drugiemu. Pomimo tego rodzice moi ostrożnie się mieć

musieli względem tego człeka, i nie szacując go, ani pragnąc z nim związku, wyraźnie tego okazać mu nie śmieli. Zwlekali więc ostateczną odpowiedź, wystawiając mu, że jeszcze za młoda, radzili aby był cierpliwy, a tymczasem starał się o pozyskanie mego serca, i zdawało się, że sprzykrzywszy sobie nadaremne nadszukiwania, zaniechał swego zamysłu. Rodzice moi pewni już byli nawet, że myśleć o mnie przestał, ale ja uważałam, iż pomimo udanej obojętności, człek ten często poglądał na mnie dawnymi zaiskrzonymi oczyma. W święto wiosny, naznaczał on mnie do przewodniczenia dziewicom, spotykającym boginię, (czyli wschód słońca na nowiu księżyca kwietniowego); z moich rąk potem brał ofiarny kubek piwa, i przez cały ciąg obrzędu musiałam zawsze być obok niego. W *Die-wa dienas* (dzień boży), czyli w święto umarłych, piekłam z jego rozkazu ofiarne placki z symbolicznymi na nich znakami. Czynił to widocznie w celu przypodobania się mnie i zobowiązania rodziców moich, a przeto unikałam najstaranniej spotkania się z nim sam na sam. Dnia jednego poszłam z kilku towarzyszkami do lasu za zbłąkaną naszą owcą. Rozbiegłyśmy się w różne strony, a jam się głębiej zapuściła w gęstwinię, znalazłszy ślad bydłęcia. Wtém spotyka mię ten nieznośny Wurszajt, i uradowany ze zdarzenia, prosi bym się zatrzymała, jako ma coś ważnego mi do powiedzenia. Przestraszona uciekłam, on mię zaś ścigał, już miotając przekleństwa, już błagając abym go

słuchała. Lekkość mojego biegu byłaby mię w otwartém polu wnet oswobodziła od prześladowcy, ale w gęstym lesie nie mogłam się mu ubiedz tak, żeby mię całkiem stracił z oczu. Tak pędząc, jak spłoszona łani, wpadłam na jedyną ścieżkę, którą wyjść można z granic otoczonego niedostępnyemi bagniskami naszego ostrowia. Chyżej już po tym wązkim chodniku biedz mogłam: Wurszajtas coraz dalej za mną zostawał, aż ujrzałam się na brzegu *gnilego ruczaju*, na którym rzucona wązka kładka czyniła przeprawę niezbyt bezpieczną. Nie wahałam się jednak przejść po niej, i za ledwim się ujrzała na drugim brzegu strumyka, strąciłam ją do wody. Tym sposobem odjęłam prześladowcy możność ścigania mię dalej, lecz razem i sobie możność powrotu, o czém w rozpaczy mojej ani pomyślałam. Widząc się nareszcie bezpieczną, zaczęłam rozmyślać o mém smutném położeniu, a wtém nowa mię nabiegła trwoga. Usłyszałam trąbienie, głosy męzkie i coraz bliższe wołania w nieznanym mi języku, a gdy nie wiem w którą rzucić się stronę, postrzegam nagle w niewielkiej odległości potężnego psa wprost ku mnie biegnącego z okropnym skomleniem. Ucieczka była niepodobną. Uchwyciłam się jedynego środka, wdrapałam się na drzewo. Reszta przygody jest ci wiadomą.—

—Dzięki Opatrzności! (wykrzyknąłem), że cię tak dziwnými drogami przywiodła do poznania prawdziwej wiary, mnie zaś do poznania i pokochania ciebie! ale

powiedz Roazo, czemuś, pomimo wstrętu od tego niegodziwca, i znając już jego szkaradne względem ciebie zamiary, chciała jednakowoż wrócić do twój osady, gdziebyś niezawodnie stać się musiała jego zdobyczą?—

—Chciałam wrócić do mój wioski, bo każdemu, osobliwie cichym mieszkańcom pustyni, miłą jest rodzina. Chciałam wrócić, bo mi tęskno było do ukochanych rodziców, do lubych towarzyszek mój młodości. Miałam zaś sposób oswobodzenia się od mego prześladowcy, poświęcając się służbie bogów, jak Wajdelotka czyli kapłanka. Wzniostałabym ołtarz bogini ognia świętego, zwanój *Motie praurime*, i wykonałabym ślub wiecznej czystości, a temu samby się Wurszajtas oprzeć nie mógł. To było niezachwiane moje postanowienie, i spełniłabym je bez wątpienia, gdybyś ty Jordanie, nie wstrzymał mój ucieczki, obudziwszy w mém sercu uczucie, którego nie znała, a które silniejszym się okazało nad wszystkie względy. Zachowałam wprawdzie przywiązanie do rodziców i rodzinnej zagrody, ale kochając ciebie nad wszystko w świecie, nie wrócę do nich, chyba z tobą, i jeśli by się to stać mogło bez narażenia ich na utracenie swobody. —

Ścisnąłem Roazę, i zapytałem potém, czy prócz onego Wurszajta żaden inny młodzian nie starał się o pozyskanie jój serca?

—Był zaiste (odpowiedziała) jeden młody poczci-

wy chłopak, imieniem Grybul, wzdychający do mnie w skrytości. Ubóstwo jego czyniło go nieśmiałym. Wreszcie lękał się może ściągnąć na siebie zemstę złośliwego Wurszajta, który jest razem *Sals-puszlatajs*, to jest wróżbitem. Owoż Wurszajtas oszeptawszy sól wrzucił ją do kubka piwa, a z szumu, który powstawał przepowiadał różne rzeczy; między innemi prorokował mnie, iż powinnam się dostać w zamęcie osobie od bogów ulubionój, i należącej do rzędu sług ich ołtarzy; ktoby zaś inny ubiegał się o mą rękę, umrze śmiercią gwałtowną. Biedny Grybul słuchał téj strasznej przepowiedni z wiarą prostaka, i bojąc się zapewne narażać na śmierć, nie oświadczył mi nigdy wyraźnie swych chęci, chociaż łatwo mi było odgadnąć, że mię przenosił nad wszystkie inne dziewczyny swój wioski.

—A tyś go nie kochała wcale?— pytałem znowu trochę niespokojny.

—Mówiłam ci już tyle razy, że prócz ciebie nie kochałam i kochać nie będę nikogo. Nie zasmucaj mnie więc powątpiewaniem o méj szczerości. Uważam, iż u was szczerość rzadkim być musi dobrych nawet ludzi przymiotem; u nas wyrzeka się jój tylko zły człowiek. Powiem ci zatem, że możebym i pokochała wzajemnie Grybula, jeśliby on do innych swych zalet łączył odwagę, którą my kobiety szczególnie lubimy w mężczyźnie. Gdyby więc nie dbając na pogroźki wróżbita, śmiało dobijał się méj ręki, któż wie, aza-



liby nie pozyskał mojego serca. Ale może też niesłusznie go obwiniam o niemęzkosć. Wrodzona skromność charakteru tego młodzieńca, czyniła go może w tym razie nieśmiałym.

—Nie wymawiaj go Roazo, (odpartem), wolę pierwszy twój sąd o nim, i szczęśliwy jestem, że ten chłopak nie umiał się tobie podobać.

—Nie pojmuję ciebie Jordanie. Frasujesz się tém, co nie było dla tego, iż byćby mogło. Taki rodzaj niepokoju był mi dotąd nieznanym. Są to niezawodnie owoce tej mądrości, której tak skwapliwie szukasz w stosach twoich ksiąg; ja zaś myślę, że prawdziwa mądrość w jednej tylko zawiera się księdze, a tą jest, nauka Chrystusa. Dawno już wyznać tobie chciałam, że jednej rzeczy nie pojmuję w dzisiejszych moich jednowiercach chrześcijanach, a ta jest, iż mając tę Bożką księgę, ten zbiór najdoskonalszych przepisów postępowania w każdym razie, od których ścisłego zachowania zależy szczęśliwość nasza na tym i na drugim świecie, szukają jeszcze jakiegoś oświecenia w księgach napełnionych prawidłami wynalazku ludzkiego rozumu; a przecie Bóg powiedział, iż mądrość ludzka jest głupstwem. Mogę ci to pokazać w Ewangelji.... Ale odeszłam od tego, o czém tu radzić mamy, a ty mi przebac, mój miły, że śmiałam tobie, mistrzowi memu, czynić reflexje. Ja niczego nie pragnę, tylko widzieć ciebie spokojnym.

—Najspokojniejszy jestem co do Grybula, ale nie

tak się ma względem Wurszajta. Człek to, jak powiadasz, złośliwy, namiętny i przy tém chytry. Takiego strzedz się należy, a jakże się go ustrzeżesz, gdy ja się ztąd oddalę? Miał zuchwałość przyjść aż tu sam jeden. Któż mu zabroni powtórzyć to w liczniejszym towarzystwie, skoro upatrzy pomysłą dla siebie porę? Uwolnij mię więc, kochanko, od przysięgi, którą na mnie wymogłaś, pozwól abym odkrył wszystko, przed ojcem i przed Wojewodą. Niedostępny wasz ostrow wnet będzie zdobyty, bo idea matecznika nie stanie już na zawadzie staremu myśliwcowi. Wurszajtas zapłaci głową za swoje zbrodnie przeciwko tobie, twój zaś ojciec osiągnie stopień naczelnika całej osady....

—A mieszkańcy pozbawieni zostaną swobody i wiary swych przodków! Nie prawdaż?

—Biorę na siebie wyjednanie u Gąsiewskiego, że te im zabezpieczone zostaną.

—Mylisz się, mój przyjacielu! Ty nie masz dostatecznych do uproszenia téj łaski u niego zasług, on zaś do jój wyświadczenia dostatecznych nie ma powodów. Wszystko, cobyśmy za pośrednictwem X. Anzelma i ojca twego od Wojewody otrzymać mogli, byłoby, zdaje mi się, oswobodzenie od poddaństwa i służby gruntowej mojej tylko rodziny.

—Alboż i to nie byłoby już wielkiem dobrem?

—Dla mnie zaiste największém, ale nie pod warunkiem dójścia doń przez zdradę. Miałabym dla wła-

snego szczęścia, ściągnąć nieszczęście na moich ziomków, na tych ludzi, między którymi urodziłam się i wzrosłam, z których tak wielu dawało mi dowody przychylności, z którymi łączą mnie związki dalszego lub bliższego krewiństwa, i których nakoniec Zbawiciel nasz miłować mi rozkazał jak bliźnich, a zatem jak siebie samą?

—Ależ to, jak nazywasz, ujarzmienie, posłuży ku większej tych ludzi pomyślności.

—Zapewnij mię naprzód o tém. Możesz-li to uczynić? Słuchaj Jrdanie, jam prosta, nie uczona dziewczyna i dla tego myślę i mówię po prostu. Mało znam ludzi, ale to, com widziała w mej nie oświeconej ojczyźnie, i co widzę na waszym obyczajnym świecie, nie pozwala mi polegać bezpiecznie na ich sprawiedliwości. A gdybys mię chciał strofować o błędną w tej mierze nieufność, przekonałabym cię łatwo zwracając twą uwagę na los tych Łotyszów, którzy byli niegdyś właścicielami tej ziemi, a dzisiaj są niewolnikami nowych jej panów.

—Xiądz Anzelm powiedziałby tobie, że nawrócenie tych ludzi do prawdziwego Boga i udzielenie im opieki stałych praw krajowych; wynagrodziło im postradanie własności ziemi, ulegającej rozlicznym zmianom.—

—Możeby mi to powiedział ks. Anzelm; ale słyszę w sercu mojem głos inny, mówiący najwyraźniej: *Nie podawaj twych braci w niewolę. Zostaw*

ich i twe losy w rękę Najwyższego. Bóg wie kiedy kogo ma powołać do swęj świętej wiary. Jak przyjdzie ta godzina, On ich nawróci, a ty się nie kuś kierować ramieniem Jego. Nie waz się mieszać widoków osobistych do spraw Jego Wszecmocności. Módl się tylko, błagając miłosierdzia Jego dla nich i dla siebie. Nie osłaniaj zdradę płaszczykiem Religji, ani płac niewdzięcznością za miłość, choćbyś widziała śmierć stojącą przed sobą. Oto, Jordanie, co mówi do mnie głos wewnętrzny, głos zapewne Boski, bo silniejszy nad wszystkie głosy! Wiedźże, iż postanowienie moje jest niecofuieném! Nie uwalniam cię od twęj przysięgi. Ufam ci, że jęj dotrzymasz; a jeslibyś, broń Boże, złamał ją, nie ufałabym ci już w niczém, i nie oglądałbys mię nigdy na tęj ziemi. Biedny przyjacielu, zasmucam ciebie, zakłócam twoję spokojność; nazwiesz mię upartą, dziwaczką.

—Nazwać cię muszę Aniołem, boś nim jest w istocie. Lepszą jest, wyższą ode mnie. Jam szukał w głowie męj sposobów zaradzenia biédzie, ty się radziłaś jedynie szlachetnego twojego serca, i znalazłaś w niém uczucia, które przeniknęły do głębi mojego. Nie złamię mojęj przysięgi. Niech się dzieje wola Boża. Ale niczego nie opuszczę, co tylko bez wyjawienia twęj tajemnicy, posłużyć może do zastrzeżenia cię od niebezpieczeństwa.

—Pewnam tego, mój miły; nie frasuj się jednak zbytęcznie. Wurszajtas jakkolwiek zapalczywy i prze-

biegły, nie znajdzie środka zbliżenia się zbrojnie do dworu tak warownego, jak ten.—

—Na tém się skończyła nasza rozmowa, wśród której weszło słońce i przeświecać zaczęło przez otaczające nas drzewa. Usłyszałem kroki i strwożony opuściłem Roazę, śpiesząc przeciwko nadchodzącemu; lecz zaledwień zdołał ubiedz kilkanaście kroków, spotykam się nos w nos z panem La Montagne.

W nadziei, że on nie spostrzegł Roazy, usiłuję go zwrócić ostrzeżeniem, że to pasieka, i że nasze pszczoły obcych ludzi nie cierpią; ale wprawne oko gacha-Francuza sięgło już było dalej i bystrzej, niżelim się spodziewał. Odpowiedział mi tedy z małym urąganiem:

—Czy doprawdy? A to jakieś pocziwe pszczoły, co odganiają natrętów,<sup>3</sup> darząc swym nektarem szczęśliwych tylko kochanków. Jak wrócę do mego kraju, musisz mi, młody przyjacielu, darować ulek tych osobliwszych pszczołek. Postawię go w ogródku mojej ulubionej, aby tam, prócz niej i mnie, każdego na potęgę kłóły. Człek się całe życie uczy. To więc Pan tu miodek łasowałeś? A dla gościa ani kropli? To zbyt samolubnie.

Poznałem się na drwinkach i odpowiedziałem z niechęcią: — Nie załujemy miodu ani żadnego posiłku dla gości naszych, ale każda rzecz ma swój czas i miejsce. Radzi jesteśmy częstować, ale nie lubimy, kiedy gość szpéra po naszych składach, szukając tego, czegoby mógł bez fatygi grzecznie zażądać.

—Oj nie wiem, (odparł z tąt drwiącą miną Francuz), czybyś w tym razie nie uwatął żądania mego aż nazbyt nie dyskretném. Słuchajcie, ale się nie gniewaj, bo to nie warto; słuchaj, panie Jordanie, (mówił cichszym głosem), oto gdybym ja naprzykład żądał kropelki miodu z téj rozkosznej czareczki, w którą przed chwilą maczałeś twe usta, szczęśliwy człowieku, chcę mówić, ucałowania tych szkarłatnych usteczek, sączących dla ciebie słodsza nad hyblejską patokę?....

Te słowa oblały maie zimnym potem, ale tuż zaraz zapaliły miuchałowanym gniewem. Zgrzytając więc zębami, przyduszonym głosem rzekł do szydercy:

—Mosiapanie, po raz drugi już nadużywasz naszej gościnności, płacąc nam ją szyderstwem. Lecz tą razą gorzej jeszcze niż pierwszą, kiedyś drwił z mojego krewnego, nazywając go Chińczykiem. Tam żartowałeś z odzieży, a tu już nastawasz na honor, na poczciwość. To woła o pomstę, Mości Panie! to żąda krwi, kawalerze!

—Co ty pleciesz, młodzieniaszku, o nastawianiu na twoją poczciwość, na twój honor? Schadzka z ładną dziewczyną jest rzecz tak naturalna, tak w dobrém towarzystwie tolerowana, że choćbyś się do stu razem buziaczków umizgał, nie naraziłbyś przez to na szwank twój honoru.

—Może to tak się u was dzieje, u nas zaś wcale

inaczéj. U nas ktoby tak postępował, wskazywanoby go palcami jak rozpustnika bez czei i honora. Więc albo waćpan zaraz odwołaj plugawe swoje wnioski, i daj mi słowo, że ich nigdy i przed nikim nie powtórzysz, albo bij się tu ze mną i tego momentu na ostre, mospanie, dopóki z nas jeden nie padnie trupem.—

— Czego nie uczynię z dobrej chęci, (odpowiedział z godnością Lamontagne), do tego mię żadna nie zmusi groźba. Ranoś wprawdzie wstał dziś, mój paniczku, ale trzeba ci było wstać jeszcze raniéj, by ustraszyć pojedynkiem tego, który zna w Paryżu *pré aux Clercs* tak dobrze, jak ty tu swoją pasiekę, i który na onéj sławnej łące dał się poznać panom: Gassé, Brissac, Pons, Gondi, Lavardin, Rochebaron i innym najpiérszym szpadom naszego wieku!—

— Jeśli tak, (rzekłem ścisnąwszy go silnie za rękę), zaczekaj tu na mnie chwilkę, biegnę po moją szablę.—

— Zreflektuj się uparty młokosie! Nie chcesz? Burszajze. Trzeba, już uważam, dać ci nauzkę, a Bóg mi świadkiem, nie chciałem. Ale co widzę!... to nasza dezterterka z orszaku Dyanny. Wczoraj chciałem na klęczkach modlić się do niéj, jak do świętej z kalendarza, a dziś muszę się bić o nią, coś jakby o naszą *Marion de Larme*.—

Te słowa podwoiły we mnie wściekłość. Bez pamięci wleciałem do mojej altanki, porwałem karabelę, i dażyłem na powrót do placu bitwy, gdym się spotkał

przed domem z moim ojcem, który kazał mi niezwłocznie pójść do stodoły, zobaczyć czy się nie przebudzili goście, i zdać mu zaraz o tém raport. Przeklinając w duchu tę zwłokę, spełniłem pośpiesznie ojcowski rozkaz, i odebrawszy odeń dalsze polecenia, wymknąłem się poza płoty co tchu do pasieki.

Jeżeli kto będzie kiedykolwiek czytał te moje pamiętki, niech wyobrazi sobie gniew i zgrozę, jakie mię ogarnęły na widok, co mię czekał w miejscu przeznaczoném przezemnie do stoczenia z przeciwnikiem moim śmiertelnego boju. Dla skrócenia drogi biegłem przez część pasieki, zarosłą gęstemi krzewinami malin. Zbliżając się słyszę głos Roazy przeplatany głosem Francuza w żywej rozmowie. Wypadam z krzaków i widzę mojego wroga ściskającego rękę Roazy z zapalem najwyższego uwielbienia, na licach zaś dziewicy słodki uśmiech wewnętrznej przyjemności!!! Rozjuszony tym niepojętym dla mnie okropnym widokiem, dobyłem szabli i bezpamiętnie rzuciłem się, jak zbójca, na nieprzygotowanego do obrony nieprzyjaciela, bo on tyłem do mnie obrócony nie postrzegł mego zamachu. Byłbym mu więc niechybnie rozplątał głowę, gdyby się Roaza nie rzuciła ku mnie i nie wstrzymała morderczej mej ręki. Chciałem ją odtrącić od siebie, ale tak mię silnie uchwyciła za szyję, że mi niepodobna było władać orężem. Krzyczałem więc tylko zapamiętałe:— Puść mię wiarołomna, nie uratujesz tego nędznika, on musi zginąć z mej ręki! Ty zaś, niegodny ry-



cerzu, wstydz się być winien tve zbawienie niewieście! —

— Nie wstydzę się tego; lecz ty, młody zapaleńcze, wstydz się raczej twój płochej zazdrości, a bardziej żes mógł podejrzycwać tę, której byleś powinien ufac bez granic...—

— Puść go pani! Widzę, że się już cokolwiek opamiętał. Oto już upuścił swój pałasz. Dobrze; ja teraz wezmę go w moje ręce.—

To mówiac ujął mię w swe herkulesowe ramiona, i przycisnąwszy do swój piersi, dwa mi potężne pocałunki na obu policzkach wycisnął, mówiac: — Zgoda, chłopcze! przebaczam ci twój głupi zamach na me życie, a ty mi przebacz głupie moje drwinki. Między nami kwita. A teraz padnij temu aniołowi do nóg, i błagaj pardonu za twoje przeciw niemu przestępstwo.—

Stałem w osłupieniu, nie mogąc zebrać myśli i należycie pojąć i pogodzić tego wszystkiego com widział i słyshał. Lamontagne objaśnił mi wszystko temi słowy:

— Wahasz się jeszcze, i temu się nie dziwię, wiedząc, iż młodziak zakochany, w paroxyzmie zazdrości, uporczywy cierpi zawrót głowy! Muszę ci więc wszystko jak łopata włożyć do mozgownicy. Słuchajże: ledwieś odszedł, zacna ta panna przysła do mnie z wyrazem takiej godności w twarzy i postawie, że mię zniewoliła od razu słuchać jój z uwagą i nawet z uszanowaniem. Słowa jój pełne prostoty, prawdy i czuło-

ści, więzły w mój duszy i dziwne w niej sprawiały poruszenia. Poznałem niecnosć mego postępkę; pojąłem raz pierwszy świętosć czystej miłosć, zacnosć niewieściego serca, godnosć ludzkiej natury, niezawisła od przesądów i zwyczajów świata; raz pierwszy szczerą cześć oddałem tej płci, którą dotąd uważałem za najpiękniejsze cacko natury, ale nic więcej. Żaden mię kaznodzieja, żaden spowiednik tak nie skruszył, jak to niewinne, nie uczone nie doświadczone dziećię! A kiedy sobie przywodzę na pamięć jej słowa, nic w nich nie znajduję ani głębokiego, ani kwiecistego. Cała wymowa jej płynęła widać z tych czarownych ślepek, miły zaś dźwięk głosu przenikał do serca, jak medjołański sztylet. Oczarowała mię zupełnie, bo przeciwko moym zasadom znalazłem się gotowym do przeproszenia ciebie, (sam nie pojmuję w sobie tej zmiany). Nie dość tego, postanowiłem, przedstawić sobie, niedysputować tobie jej serca, pomimo, że mi się tak podobała, jak żadna jeszcze w życiu, i że w każdym innym zdarzeniu, wybaczyć przyjacielu, taki jak ty rywał, wcaleby mi nie zastraszał. Mogłbym pokazać w Paryżu damy wysokiego paragonu, nie brzydsze od panny Roazy, które mię przeniosły nad chłopców zgrabniejszych i dowcipniejszych od ciebie panie Jordanie! Ale już tu jakaś inkluza! Dałem słowo szanować waszą miłosć, i bądź co bądź, dotrzymam. Pani masz tedy we mnie wielbiciela nieinteressowanego; ty zaś, młody człecze, jeśli chcesz, uważaj mię za prawdzi-

wego swego przyjaciela; pstro jeszcze ci w głowie, ale masz serce, a takich ja lubię. Padnijte jój do nóg, mówię ci raz jeszcze, a potem ruszajmy każdy w swoją stronę, bo już stary mój generał otrząść się musiał z pierza.—

Zawstydzony, skruszony, uszczęśliwiony, chciałem się rzucić do nóg Roazy, ale nie dopuściła mi tego, i szybko odeszła, te tylko wyrzekłszy słowa, z całą słodyczą swego charakteru:

— Boga przepros, przed Nim się ukorzę Jordanie, boś obraził majestat Jego, porywając się na życie człowieka. Ja zaś złożę dzięki temuż Ojcu niebieskiemu, że mię dobrze natchnął do przejednania tego zacnego wojownika, którego znalazłam lepszym w gruncie, aniżeli wnosić mogła z powierzchownego jego układu.

— Niezbyt pochlebnie, (mruknął Lamontagne). Ale muszę jój przebaczyć, jako biédnej wieśniaczce, która nie miała jeszcze zręczności wykształcenia należyte smaku. Djabelnie wymyślna, gdy się moja powierzchowność podobać jój nie mogła. Możem zaprędko dać słowo, ale kiedy już dałem, niema rady — umizgać się do niej nie będę. Inaczéj pewnoby m zdołał otworzyć jój oczy na moją układność, której sama nawet księżna Conti oddawała słuszność.—

Ja znowu z méj strony rozmyślałem w duchu o tym przypadku, który nam natracił niespodzianego i niepożądanego wcale powiernika; ale ponieważ już wystawiliśmy się nieostróżnie na odkrycie, lepiéj że się

przygoda takim skończyła sposobem. Otwarty choć trzpiotowaty charakter Francuza, kazał mi polegać na jego honorowém słowie.

Wróciłem obok niego do domu i w czas, bo już mój ojciec, nie widząc mię, a mając coś mi do rozkazanania, stukał potężnie laską w ziemię i szukać mię kazał. Spotkaliśmy na ścieżce ogrodowej zasapaną Petronellę, która mnie jak szpilki szukała. Lamontagne, spojrzawszy na starą sekutnicę, nie mógł się wstrzymać od śmiechu i rzekł: — Nie chciałbym się zakładać, iż ta nadobna Sybilla nie zwiedziła téj nocy balowej sali swojego kmotra. Facjata jój przypomina mi naszą pannę de Gournay, którą Kardynał (Richelieu) proteguje, rad że się może uśmieć z jój dziwacznej osoby, i z dziwaczniejszych jeszcze płodów jój pióra. Desmarets i ja napisaliśmy na nią wiersze dowcipne, ale nieco tłuste, i mieliśmy potem dość kłopotu z Eminencją. Na szczęście Desmarets potrzebny był Kardynałowi do napisania *Miramy*, tragedji najnudniejszej w świecie. Gdyby nie to, mógłbym siedział dotąd w kozie. Ale to mię nie poprawiło, bo później z Hrabią Moret i z kilku innymi facetusami napisaliśmy do teje de Gournay list od króla Angielskiego Jakóba, prosząc, aby mu przysłała swoje biografję i swój portret. Dalejże ona opisywać cały swój żywot, podczas gdy jakiś malarczyk odmalował jój wywiędłą papuzią fizys; i wystaw sobie, wszystko to poszło akuratnie do Londynu. Stary pedant Jakób nie posiadał się, mówią, że

złości, tupał nogami, i przyzwawszy Królewica Karola i Księcia Bukinghama, mówił im: — Patrz *Baby Charles*, patrz *Steenie*, com ja otrzymał z Paryża; *Anilis fabulae* z konterfektem czarownicy! *Insana, sanè, femella!* Dobrze powiedział Petronius (choć mu to nie zawsze się zdarzało) — *Istae striges sunt mulieres plus sciae, et, quod sursum est, deorsum faciunt.* — Byłóż potém hałasu u Kardynała, ale na ten raz pozornie tylko, bo stary lis Richelieu rad był w duchu z téj awantury, mogąc się do syta naśmiać z Jakóba, którego nie cierpi. —

Petronella naturalnie nic z tego nie rozumiała, ale jój się nie podobał śmiech szydery Francuza; mruzczała tedy pod nosem: — Bardzo tu potrzebny ten Niemiec Zamorczyk. Jeżeli Hetman chciał nadwornego błazna, mógł go znaleźć w kraju i za tańsze pieniądze. —

Tym czasem weszliśmy do domu, a P. Lamontagne wyexkuzował mię przed ojcem, składając winę na swoje ciekawość oglądania pasieki, o której wiele słyshał już w Litwie. Staruszek się udobruchał, bo pszczenictwo było jego passją, i wprowadził gościa do paradnej komnaty, gdzie się już byli wszyscy zeszli, oczekując na wyjście Wojewody, który był jeszcze na konferencji z ks. Anzełmem w swoim alkierzu.

Wnet gadatliwy Francuz zajął kompanję opowiadaniem własnych przygod, tudzież różnych zabawnych anegdot o dworze paryzkim i o Kardynale Richelieu.

— Szczęśliwy prawdziwie jestem, (mówił), że się wyniosł z Francji... Panów to zadziwia? Nie pojmujecie jak człek może się dobrowolnie skazać na wygnanie ze swęj ojczyzny, i z tego cieszyć się jeszcze. Ależ bo nie możecie sobie wyobrazić, co się teraz w moim kraju dzieje. Królem naszym rządzi Kardynał, a Kardynałem Kapucyn! Niechże mi kto wytrzyma pod taką dyscypliną! Zabronili nam gadać i pojedynkować. Bez tych zaś dwóch rzeczy, mniemam, iż żaden dobrze urodzony człowiek nie może exystować. Wyrwieź się komu słówko przeciw jego Emifencji, marsz do Bastylli; skrzyżowało dwóch szpady, ruszaj na szubienicę, a już to wielka łaska, kiedy pod miecz katarski.

— A to rzecz niesłychana, wykrzyknął P. Dewalden, wieszac uczciwych ludzi za to, że się honorowie na szable wyzwą! Te plechy, uważam, chcieliby, żeby szlachta biła się pięściami jak pijane chłopstwo w karczmie.

— W takim kraju nie dosiedziałbym długo, (domówił P. Korn, poprawiając pasa).

— A toż do czego znów podobna, (rzekł P. Borch), więzić obywatela za lada słówko wyrzeczone przeciwko Kardynałowi, jakby to była obraza *Sacrae Regiae Majestatis*! Alboż nie bywało i u nas Kardynałów? Prymas Karnkowski naprzykład. Ja go nie pamiętam, ale słyszał od ojca mego, iż to był tak głęboki polityk i z tak potężnym wpływem Minister, jak żaden;

a przecież nie prześladował nikogo za lada słowo zaozgonie przeciw niemu rzucone. Prawda, że nasz Król nie dał się mu wodzić za nos, chociaż częste z sobą miewali sprzeczki.

— Jużciż prawdę mówiąc, (odezwał się P. Zyberg), niema czego chwalić pojedynków, szczególnie za lada fraszkę. Rozumny prawodawca musi je potępiać, tém bardziej, że i Kościół Ś. rodzaju tego honorowej satysfakcji wyraźnie zabrania. Ale skazywać na szubienicę pojedynkujących, zdaje mi się rzeczą jeszcze niesprawiedliwszą, niż zupełne excessu tego pobłażanie.

— Czy to prawda, (zapytał P. Szadurski), że Kardynał biegły jest w sztuce wojennej, i że sam dowodzi wojskami?

— Istotna prawda, (odpowiedział Lamontagne), i niema co mówić, wódz z niego niepospolity. Oto teraz właśnie jego Eminencja szturmuję Roszelle. Byłem tam przy samym początku oblężenia, i widziałem Kardynała, rekognoskującego fortyfikacje miasta, tak odważnie, jak którykolwiek z najstarszych naszych wojowników. Toż jego szczęście, że nie tchórz, bo u nas odważny tylko człowiek może się wznieść wysoko. Kto chce rządzić Francuzami, powinien mieć djabła w ciele i drwić z armatniej kuli jakby to była gałeczka z chleba...

— W samiej rzeczy, (przerwał P. Sokołowski), gdyby Richelieu nie miał charakteru kapłańskiego, mnie małym, że w nim djabeł siedzi. Bądź co bądź, je-

dnak nie chciałbym bić się pod takim naczelnikiem, bo pastorał nie buława, a brewiarz nie ładownica.

— Zależy to od ręki, (rzekł P. Sołtan). Czasem i wrzecziono dokaże cudów, jak się stało we Francji za Karola VII., kiedy Anglicy zwyciężywszy wojsko królewskie, uciec musieli przed prostą dziewczyną.

— Ależ bo ta dziewczyna była święta i z woli Bożej robiła cuda, (zarzucił P. Karnicki).

— A jam słyszał, że ją spalono na stosie, jak czarownicę, (zrobił uwagę P. Ryck).

— Święta czy czarownica, (rzekł Lamontagne), winszuję sobie, że nie był wonczas na świecie i nie musiał wojować pod jej chorągwią. Za kobiety walczyć gotowym, ale pod ich wodzą nigdy. Toż samo rozumiem i o księżach. Niechże wojują zdrowi książk Kardynał i pani d'Aiguillon, ja wolę iść z wami, zacni panowie, na Szweda.

— A to jeszcze nie najgorszy Francuz, (szepnął P. Jodko do P. Berka).

— Gdyby się kuso nie nosił i za stołem nie śpiewał, lubiłbym go bardzo, (odszepnął Berk Jodkowi).

Wtém wszedł Krzysztof Gąsiewski,

— Ojciec mój przeprasza Panów Dobrodziejów, (rzekł), że go urzędowe expedycje długo dziś zaprzętały, ale już skończył i wnet nadejdzie... Przerwałem, uważam, zajmującą rozmowę. P. Lamontagne posiada szczególny dar opowiadania. Musiał rozprawiać o wojennych swoich wyprawach.



— Przepraszam pana Wojewodzica, (odpowiedział Kapitan); ja tylko w czasie pokoju lubię rozprawiać o wojnie, w ciągu zaś kampanji, mam zwyczaj rozpa-  
miętywać nie krwawe moje czyny. Opowiadałem wła-  
śnie tym zacnym panom o dworze paryzkim i o Kar-  
dynale.

— Nie zatrzymuję pana na tak pięknej drodze i rad  
jestem powiększyć liczbę jego słuchaczy.

— Gotów jestem służyć, ale już tylko jedną chyba  
anegdotą, bo przed śniadaniem coś mi nie tak gładko  
idzie.

— Na wyjeździe z Paryża świadkiem byłem wy-  
borniej u dworu krotofili z łaski trefnisia królewskiego  
Marais. Trzeba wiedzieć, że Pan Najjaśniejszy ma fa-  
worytów w rzędzie niższych swoich officialistów, ale ten  
rodzaj ludzi źle najczęściej korzysta z wysokich wzglę-  
dów. Dwaj tedy muzykusy z kapeli nadwornej tak się  
rozpuścili, takie zaczęli płać figle, że Monarcha, nie  
mogąc znieść dłużej tej swawoli, ukarał ich odbiera-  
jąc im połowę jurgieltu. Oni na poradę do błazna:—  
Ratuj panie Marais, dla Boga, wyjednaj nam pardon.—  
Marais pomyśliwszy rzekł im:— Chocicie nic dobre-  
go, ale jak wam nie dopomogę, zaczniecie kraść i z graj-  
ków staniecie się skoczkami na linie w Montfaucon,  
(a Montfaucon, jak wiadomo, miejsce, gdzie wieszają  
złoczyńców). Bądźcie tedy gotowi na moje skinienie,  
a ja wam powiem co uczynić macie.— Tegoż dnia było  
u Króla małe wieczorne zgromadzenie, (jak my nazy-

wamy *petit coucher*). Król, jak najczęściej bywało, nudził się i poziewał, dworzanie na próżno suszyli sobie głowy, żeby go zabawić: aż jedną razą drzwi się otwierają i Marais, przybrany w swoje insygnja, wchodzi prowadząc za sobą dwóch swoich klientów w szczególniejszym stroju. Jeden bowiem miał na sobie kurtkę bez szarawarów, a drugi szarawary bez kurtki. Tak odziani zaczynają przed Królem tańcować, przegrywając na bandurkach. Możecie Panowie wyobrazić sobie zadziwienie towarzystwa i *ambaras* dam.

— A toż co ma znaczyć? hultaju! — ofuknął się Król na Marais; a błazen mu na to:— Są to Miłośnicy panie ludzie, którzy postradali połowę swego jurgieltu, a zatem po połowie tylko odziewać się muszą.— Monarcha w śmiech, winowajcy otrzymali pardon i pełną jafę.—

Nadejście Wojewody przytłumiło śmiech wszczęty w zgromadzeniu anegdotą Francuza.

— Dzień dobry, mnie wielce Mościwi Panowie i Bracia — rzekł starzec — miła mi ta *hilaritas*, którą na waszych twarzach spostrzegam. W dzisiejszych okolicznościach nie złe jest rzeźwić umysł wesołością, inaczeyby troski mogły nas całkiem okulbaczyć. Stan Inflant dość jest opłakany. Najlepsze Zamki w ręku nieprzyjaciela. Dyneburg trzyma się wprawdzie, ale zagrożony. Wielkich trzeba poświęceń, wielkiej jedności zdań i serc obywateli, by oczyścić kraj z tej zakały.—

Wszyscy obecni jednogłośnie się odezwali, że gotowi są nałożyć majątkiem i głową dla zbawienia kraju.

— Tegom się spodziewał po tak zacnych mężach, (mówił dalej Gąsiewski), a bez waszej pomocy trudnaby mi była sprawa z Gustawem. Słabych sił moich rozdzierać niebezpieczna. Wam tedy mnie wielce Mościwi Panowie i Bracia, poruczyć muszę wyrwanie z rąk nieprzyjacielskich, zamków: lucyńskiego, rzerzyckiego i marjenhauzkiego, oraz opatrzenie i obronę Wolkenberga, nad jeziorem Rosném, a dagdzieńskiego zameczku nad rzeczką Dagdzicą. Naprzód tedy wypada aby za przewodnictwem waszmościów szlachta inflantska zebrała się w jeden komput i miała na czele doświadczonego wojownika.—

Tu mały szmer powstał w zgromadzeniu: widać było na kilku twarzach malującą się niespokojność, czyli bardziej żądę dowodzenia tym zastępem, bo grono to liczyło nie jednego zasłużonego krajowi rycerza; szczególnie Kasper Karnicki mógł sobie słuszne do tego zaszczytu rościć prawo, także i Zygmunt Plater, choć młodszy wiekiem, ale równy pierwszemu zasługą. Spozstrzegł to Wojewoda, i nie mniej biegły w polityce, jak w sztuce wojennej, skutecznego użył sposobu do pogodzenia umysłów i dogodzenia każdemu z tych, o których mu szło najbardziej. Rzécze tedy:

— Szanując dobre ~~chaci~~ wasze bez excepcji, a ceniąc szczególne talenta tych, co mieli już dawniej zrećzność nabycia doświadczenia *in arte belli*, pragnę ko-

rzystać z tych i owych na większy wspólnej ojczyzny pożytek. W takim widoku nie ubliżę sędzę nikomu, bo śmiało zaręczyć mogę, że mną w tym razie żadna nie rządzi prywata, równie tegom jest pewny, że każdy z waszmościów, mnie wielce Mościwi Panowie i Bracia, poświęci *pro publico bono* osobiste nawet względy, jeśliby te przeciwko nominacji mojej znaleźć się tu *insperate* miały.—

Głuche milczenie i natężona uwaga były odpowiedzią na te słowa Wojewody.

— Z milczenia waszego pozwólcie mi wziąć otuchę, że *qui tacet consentire videtur*; nie mam się więc czego dłużej ociągać z nominacją. I tak Rotmistrzem komputu szlachty inflantskiej mianuję pana Jana Hermana Hylzena.—

Wszyscy spojrzeli na siebie, okazując z twarzy, iż chociaż się téj nominacji nie spodziéwali, nie była im jednak przeciwną.

— P. Hylzen wprawdzie tu nie obecny, (mówił dalej Gąsiewski), ale przybędzie na pierwsze moje wezwanie, a tymczasem każdy z waszmościów raczy zbierać ochotników. Kto zaś własnym sumptem jaki zaciąg wystawi, szczególną będzie miał zasługę. Zlebym znał gorliwość waszą, gdybym wątpił, iż *in causa tam sacra* nie będziecie litowali mienia ani trudu; najpiękniejsze przeto dla kraju successa z chwalebego zapłału waszego rokuje. Jak tylko zaś *Deo favente* wyrwane zostaną zamki z rąk Szweda, Waszmość Mci

Panie Gedeonie Borch obejmiesz gubernę zamku rzezyckiego, Jmć pan Karnicki zamek lucyński pod swój weźmie zarząd, a Jmć panu Uszackiemu dostanie się marjenhauzki. Co się tyczy Wolkenberga, spokojnym o ten zameczek, dopóki w nim waszmość Mci panie Szadurski dowodzisz. W jakimże stanie WMć pana cekhauz?

— Mam JW. Panie, na wałach dwa funtowe falkonety i jedną pięciu funtową szmigownicę, oraz dwadzieścia bandelotów krzosowych. Jest i moździerzyk w kłodzie, ale potrzebuje reperacji.

— Niezbyt to potężna Artylerja, (rzekł Gąsiewski), ale dobrze kierowana wystarczy do odparcia napadu, zwłaszcza, iż przystęp do murów nie jest łatwy; i okrutnieby napastnik zasapać się musiał wprzód, nimby się wdrapał na szczyt Wolkenberga... Bierzmy się więc do roboty mili panowie i bracia. Ja śpieszyć muszę ku Dyneburgowi i zapraszam się do waszmości Mści panie Zyberg w gościnę.

— Wielką mi JW. Pan zrobisz miłość, nawiedzając me progi, ale trzeba byś wprzód wypędził Horna z Lixny, który tam blisko już od roku bonuje.

— Postaramy się o to, i możesz być pewny, że z tym panem nie użyję ceremonji. Ciebie, panie Zygmuncie, biorę z sobą, bo nasze ramiona dobrze jakoś przylegają do siebie w szeregu. Nieraz mię twoja szabla zasłoniła od ciosu.

— A któż mię tą szablą nauczył władać, jeśli nie

ty, waleczny nasz wodzu? Moje względem ciebie zasługi są niczém w porównaniu, com tobie winien. Z radością ujrzę się znowu przy twym boku.—

Wtém przystąpił mój ojciec, i ściskając Wojewodę za kolano, rzekł doń: — A o mnie, najstarszym swym słudze, *Illustrissimus Dux* zapomniał.

— Waści, Mci panie Cześniku, mianuję Gubernatorem Aulji, i poruczam oraz organizację zaciągu moich Łotyszów w téj potrzebie. Syn waścin, jak się nawaćha prochu i wysłuży sobie awans, będzie, spodziewam się, dowodził kiedyś tym hufcem narodowców; a tym czasem Krzysztof go bierze do swego boku.—

Uradowany starzec pobiegł do kredensu, i wnet wrócił z Chorążycem i pacholikami, obciążonemi gąsiorami wina. Nalawszy puhar, zagaił zdrowie Wojewody, a tymczasem zastawiono sutą przekąskę.

La Montagne dawno już i niecierpliwie oczekiwał takiego zamknięcia sessji. Gorliwie tedy wziął się do misy i do dzbana, a wśród przełykania haustów i kęsów, rzekł do mnie po cichu: — Niéma nic tak suchego i nudnego w świecie, jak konferencje, ale Polacy umieją swoim nadać ruch i życie. A cały sekret stosowne podnaszanie sił żywotnych dobrą pieczenią i rozgrzewanie imaginacji starym miodem, a jeszcze lepiej winem.

W ciągu śniadania zapytał ks. Anzelm Wojewodę, zali Iwan Mileszko, Kasztelan smoleński, jeszcze się nie przeniósł do wieczności.

— Żyje stary patryarcha ziemi mozyrskiej, (odpowiedział Gasiński), ale już zapewne do reszty zdziecinał, bo liczy sobie lat 90 z górą. Nawiedziłem go *anno 1610* w czasie mego pochodu pod Białą. Był on już wtenczas *ni fallor octogenarius*, ale czerstwy jak rydz. Prawda, że myśleniem i nauką głowy nie utrudził, ani żadnym zbytkiem zdrowia nie nadwałił. Ale i nie taki on *simplex Dei amicus*, za jakiego uchodził w Senacie. Z niego wielki frant; udawał prostaka, aby snadniej wypalić swoje *verba veritatis*, na Sejmie, w obec samego Króla Jegomości. Dla tegoż w wielkiej jest, estymie u szlachty swego Województwa. Znalazłem u niego dostatek i niewytworną, ale przyzwoitą gościnność; była wprawdzie na stole i *kuśka z hrybkami* i *kaczeczka z perczykom*, ale były i lepsze potrawy i dobre napoje. Kiedym mu przypomniał jego admonicje na Sejmie, rzekł z uśmiechem: — Alboż nie wiesz panie Starosto przysławia, *wleciawszy między wrony?*... Otoż i mnie waszmoście oduraczyliście złym przykładem. Zacząłem na starość potakiwać trochę nowym zwyczajom. Człek bo miłuje swych ziomków, radby ich najlepiej ugaszczać, a staroświeckie potrawy dzisiejszym panom braciom nie do smaku; chcąc nie chcąc trzeba było wziąć kuchtę Lacha i sprowadzić z za morza niemieckie przyprawy. Ale to *raritas* u mnie, i wasze panie Starosto nie dumaj, że ja sobie tego zbytku, Boże odpuść, codzień pozwalam.— Poznałem, że stary dworował sobie ze mnie, ale nie podobna było nań

się gniewać, tak był obok tego pełen dla mnie uwagi. Co też mi przytém naprawił zabawnych rzeczy o Warszawie, o intrygach u dworu. Bóg wie jak on to wszystko wywietrzył. Nikomu nie przepuścił, mnie samemu łatkę przypiął, ale to tak misternie, pod tak sztuczną zasłoną dobroduszości, że choć się rumienił, śmiać się jednak serdecznie musiałem. Oj to frant nie lafa ten Mileszko, Mości Księżu. Kto go bliżej nie poznał, nie może o nim należycie sądzić.

— Jam go widział w Wilnie, (rzekł ks. Anzelm) u Rektora naszego Kollegium, i zgadzam się na zdanie *Illustrissimi* o tym smoleńskim Dyogenesie. Było to właśnie w czasie uroczystości postawienia w ołtarzu ciała ś. Kazimierza. Zjazd Panów był nadzwyczajnie liczny. Książę Kanclerz Sapieha, benefactor naszego zakonu, przewodniczył tym solennościom, a Kollegium nasze co dnia zaszczycało się nawiedziniami znakomych gości. W rzędzie senatorów bywał u nas i pan Iwan Mileszko. Niektórzy z panów dygnitarzy pozwalali sobie dworować po trosze ze starego Rusina. Między innymi pan Hieronim Chodkiewicz, (z którym jak wiadomo *Illustrissimi*, książę Janusz Radziwiłł wiodł ów sławny spór o rękę księżniczki Słuckiej) ciągle zaczepiał Kasztelana smoleńskiego. Najbardziej mu podawała materji do żarcików staroświecka odzież pana Mileszki, z niewytwornego sukna. Zapytał go więc czy to sukno nie było domowej fabryki z krosien Jmć pani Mścisławskiej, małżonki Kasztelana?—Mylisz się wasze,



mój Senatorku, odpowiedział starzec, jam sobie tę soroczkę uszył z kupnego sukna tutaj w Wilnie, w czasie tego Trybunału, co to—— nie pamiętam kogo, (bo złą mam pamięć), zasądził na zapłatę Januszowi Radziwiłowi 100,000 kop groszy zareki, za jakiś duracki proceder. Czy nie pamiętasz wasze panie Harasimie, czyja to była plemiennica owa panna Zofja Olelkowiczówna, którą Radziwiłł poszukiwał procederem na mocy pismiennego dohoworu, jakby u nas w Mozyrsku prawował się kto o młyn czy jaz na rzeczce. Otoż, mam mówić, licbo mnie przyniosło do Wilna w sam czas téj sprawy. Byłóż tam i *de jure* i *de hajde*. *Popał ja w sumatochu!* Codzień na ulicach czuby, a jak zwyczajnie, gdzie drwa rąbią, tam po łbie dostać można trzaskę, i mnie też niewinnemu uliczne burdy oderwały połę; musiałem tedy, (choć z płaczem), kupić sobie niemieckiego falendyszu u Lejzera pod ratuszem.—Zarumienił się potężnie P. Chodkiewicz, ksiądz Rektor zręcznie zwrócił rozmowę na inny przedmiot, a Milezkę nikt już potém nie zaczepiał.

Zaprawione temi dykteryjkami śniadanie, odbyło się najweselój. Jeżeli polityka Gąsiewskiego potrafiła dogodzić każdemu z panów inflantskich, kielich dopełnił ich zadowolenienia. Poszły tedy po śniadaniu znowu *wiwaty*, a gdy spełniono ostatni *kochajmy się!* Panowie obywatele, pożegnawszy Wojewodę i gospodarstwo, rozjechali się, udając się na powrót do swych domów.

Po wyjeździe inflantskich gości wszczęła się poufała

między Wojewodą, X. Anzelmem i ojcem moim, o krajowych sprawach rozmowa. Gąsiewski czuł żal do Hetmana W., Lwa Sapiehy, iż ten w roku zeszłym nie chciał mu powierzyć dowództwa nad wojskiem przeciwko Gustawowi wysłaném, chociaż Król Zygmunt wyraźnie tego żądał. X. Anzelm bronił Hetmana, i tak przyszło między niemi do żywej dość dysputy.

—Wybacz mi, *Reverende Pater*, (przymówił Wojewoda); trzymasz stronę Sapiehy, boś Jezuita.

—Racysz mi *Illustrissimus* nawzajem przebaczyć, (odparł Missjonarz), że jako nie poczuwający się do parcjalności, protestować przeciw wnioskowi pańskiemu odważam się. Xiążę Sapieha wielkim jest wprawdzie zakonu naszego protektorem i dobrodziejem; tego ja nie tylko nie zapieram, ale z chęcią owszem przyznaję, a jako członek Towarzystwa, przed Bogiem i ludźmi głośno go za to wielbię. Ten atoli sentyment wdzięczności nie zaślepia mię w sądzeniu o jego sprawach, a najbardziej w tych, co się ściągają do Waszej Miłości. Nie mamże bowiem powodów wielbienia także Twojej *Illustrissime Domine* szczodroblivości i protekcji dla naszego zakonu?

—Niechże i tak będzie. Mijam więc, że mnie od regimentarstwa usunął; ale po co mu, starcowi, złamanemu wiekiem, dobijać się było niebezpiecznego zaszczytu stawienia czoła przeciwko takiemu, jak Gustaw, nieprzyjacielowi? Nie powinienże był raczej, w chęci dobra publicznego, ustąpić dowództwa zdol-

niejszemu odeń Hetmanowi polnemu Radziwiłłowi? Nie chciało mu się wypuścić z rodu swojego chwały, jaką sobie z téj kampanji obiecywał.

—Nie Sapieha, lecz Król Jegomość, usunął księcia Krzysztofa od dowództwa w téj wyprawie, a Pan tak mądry jak nasz Zygmunt, musiał mieć w tym razie ważne racje.

—Skutek dowiódł, zdaje mi się, nieważności owszem tych racji.

—Król Jegomość powierzył wojsko Lwu Sapieżu, a bitwę przegrał Stanisław. Kto wie, czyby się nie stało przeciwnie, gdyby Hetman osobiście w téj potrzebie dowodził.

—Więc zawsze winien Hetman. Napróżno Mości xiężu używasz tych dyalektycznych subtelnosci. Krop go jak chcesz hizopem, nie oczyścisz.

—Jedna wina Sapięhy, że nie Waszą Miłość, ale swego syna wyznaczył wodzēm pod sobą. Byłaby ona zaiste nie odpuszczoną, gdyby, jak go *Illustrissimus* posądzasz, uczynił to przez ambicję, dla osobistych widoków. Ale ja w tém widzę tylko ślepotę miłości rodzicielskiej; słabość wprawdzie, ale godną publicznego, bo tę nieograniczoną miłość, sam Bóg zaszczerpił w sercu człowieka. Krew nie woda, mówi dawne przysłowie, a ponieważ młodemu księciu Stanisławowi nie brak ani odwagi, ani nauki, co mu wszyscy przyznają, cóż za dziw, że w oczach ojca te piękne synowskie

przymioty większemi się zdawały nad swą istotną wartość?...

—Odważa i nauka wodza nie wiele mu nadadzą bez doświadczenia, a miłość rodzicielska nie powinna być ślepa, szczególnie, gdy los kraju waży się na szali.

—Największa prawda. Ale któż się może pochwalić, że się nigdy nie omylił. Ten zaś prawdziwie chwalebny, który się w błędzie postrzega i naprawić go usiłuje. Alboż nie uczynił tego książę Lew Sapielha? Alboż nie pomiął tą razą miłego swego syna, poruczając wodze zbrojnej narodowej siły w ręce doświadczony takiego męża, który jego i ojczyzny nadziei nie zawiedzie?

— Pewnyżes tego Książę Anzelmie, iż Hetman to uczynił *ipsa voluntate* ze szczególnego dla mnie szacunku?

—Najpewniejszym *Illustrissime!* Nasz x. Olszewski, zaszczycający się osobliwszém księcia Jmci zaufaniem, wyraźnie o tém wzmiankuje w liście swym do Superjora Missji naszej dynaburskiej.—

Gąsiewski pokręcił węża z widoczném zadowoleniem, i częstując xiędza tabaczką, rzekł:— Juźciż ja, wiész sam o tém *Rde Pater*, nie ubliżyłem wielkim cnotom i zasługom księżęcia Lwa Sapielhy. Jest to *vir justus et tenax propositi*. Przyznaję nawet, że błąd swój naprawił, nie przeto, iż mnie wojsko poruczył, jakęś to waszmość zbyt łaskawie na moją stronę osądził,

ale że niedostatek pieniędzy w skarbie na koszta tój wojny, zastąpił z własnej swój szkatuły. Bez tój ofiary na nicby się nie przydał powszechny zapał w narodzie, na nic moja i walecznych towarzyszków moich, do walki ze Szwedem ochota.

—Niechże Bogu będą dzięki, wykrzyknął mój ojciec, że JW. Pan darował swą urazę Hetmanowi Wielkiemu; bo nad was dwóch, nie ma nasz kraj silniejszych filarów. Dobrac to krew Sapiehów!

—Dziękuję Waści, mój Cześniku, za dobre ku mnie serce, ale zbyt wiele czynisz mi zaszczytu. Ja ze Lwem Sapiehą w porównanie iść nie mogę; mów o Hetmanie polnym Radziwille, to rzecz inna; ten zasługuje być zwanym filarem ojczyzny. Ale, dodał z uśmiechem, ojciec Anzelm nie łatwo się na to zgodzi. On nie wielki Radziwiłłowski przyjaciel.

—Przeciwnikiem tylko jestem błędów ich wiary, (odpowiedział missjonarz). Bolesnie mi widzieć ten dom, niegdyś prawowierny, dziś zanurzony w herezji, ale szanuję Radziwiłłów, jako wiernych ojczyzny synów, i mam nadzieję w Bogu, że wrócą na łono matki naszej Kościoła, jak to już uczynił książę Mikołaj Sierotka.—

W ciągu tój dyskusji Krzysztof Gąsiewski stał na boku, nie biorąc w niej udziału przez uszanowanie dla ojca, a Pan La Montagne, takż milczący jej świadek, szepnął do pierwszego: — Jezuita nosi głowę nie dla kształtu; teraz się już nie dziwię, że u Wojewody ma

kredyt. Onby z biedy mógł być kapelanem naszego Kardynała. Ten Zakon pójdzie wysoko, przepowiadam Panu.—

To powiedziawszy przystąpił do mojego ojca i rzekł mu:— Panie Cześniku, pałam chęcią uczcić wszystkie filary waszej ojczyzny, zaczynając od JW. Pana Wojewody, wodza mojego, a nie umiałbym lepiej, jak pijąc za ich najdłuższe lata, pełném sercem z pełnego kielicha:

—A w saméj rzeczy, dobrze to Wać pan mówisz,— odpowiedział mój ojciec, i posłał mnie po wino. Wojewoda się rozśmiał, mówiąc:— Dalibóg nie myślałem dzisiaj pić z panem La Montagne za zdrowie Hetmana Sapiehy.



## VII.

**P**rzyszło mi nakoniec opuścić dom rodzicielski. Chwila to była ważna, ale połączony z nią wyjazd Gąsiewskiego, odjął cokolwiek z jój uroczystości, i nie dozwolił ojcu memu dopełnić całkowicie obrzędu pożegnania swego jedynaka. Musiał się staruszek ograniczyć na prostém błogosławieństwie i krótkich przestroгах, żałując bardzo, że obecność *Illustrissimi* nie pozwalała mu wypiętnować, (podług dawnego zwyczaju) zbawiennych tych przestroг spadkowym batogiem na mejj skórce: ja znowu wcale się nie gniewałem za opuszczenie tej ceremonji. Pomijam dalsze szczegóły rozstania się mego z tém wszystkiém, co mię najmocniej do życia przywiązywało. Kto się znajdował kiedy w mojem położeniu, wyobrazi sobie łatwo udre-

czenia méj duszy, a kto tych nigdy nie doznał, wątpię, ażeby mógł pojąć z opisanja.

Z małym zapasem pieniędzy, ale opatrzony w dobrą broń, ryszunki, i relikwije śś. Pańskich, oblany łzami, uświęcony błogosławieństwami, udysponowany na koniec na przypadek śmierci przez X. Anzelma, upadłszy po raz ostatni do nóg rodzicom i kapłanowi, uściskawszy oraz wszystkich domowników i niższą nawet czeladkę, ruszyłem na tęgim koniu, w asystencji pokojowca mego, Stefanka, w szeregu przybocznej straży pana Wojewody. Cicha żałość Roazy mnie tylko była widoczną: wprawdzie łzy sączyły się obficie po jej bladej twarzy, lecz tém się ona nie odróżniała od innych, bo wszyscy płakali mniej więcej aż do Petronelli. Nie było człeka w domu, któryby w dowodzie swego ku mnie przywiązania, nie zrobił jakiego pobożnego *votum*. Jeden ofiarował się pościć na moję intencję kilka poniedziałków, drugi odprawić nowennę do mego patrona, ta ślubowała pielgrzymkę do cudownego obrazu, tamta Spowiedź i Komunię ś. w dzień wielkiego odpustu. Szczere te oznaki miłości serc prostych, ujęły wiele goryczy uczuciom moim w tój bolesnej chwili.

Ciągnęliśmy ku Dyneburgowi. O trzy mile od Aulji stanęliśmy dla wytchnienia nad Dźwiną, w miejscu, w którym ta rzeka w piękne się bardzo wygina zakręty. Cały brzeg lewy, stromy, zarosły sosnowym borem, na prawym zaś rozciąga się równina, prze-



rznięta dwoma strumieniami, i okolona od zachodu i północy malowniczymi różnego kształtu i różnej wysokości pagórkami, pokrytymi tu i ówdzie liściowym lasem. Po pierwszym zakręcie, rzeka, oblawszy dwie wysepki, załamuje się nagle i w łuk się zakręca, podmywając stromy brzeg lewy, a z prawego tworząc obszerną ławę, najeżoną odłamami granitu i wapiennej skały. Miejsce to niebezpieczne dla żeglugi, zwane jest przez białoruskich flisów *Krasnoluką*, to jest *piękną zatoką*. W samej rzeczy miejsce to godnym jest swego nazwiska. Wojewoda uderzony został widokiem tylu piękności natury w tém ustroniu, i rzekł:— Gdybym nie kupił u P. Ciwuna Ilgońskiego *Aulii-mójzy*, tentowałbym o nabycie tej *Krasnej-luki*, i założyłbym tu na równinie portowe miasteczko; na tym zaś panującym pagórku postawiłbym zamek. Pańska byłaby to rezydencja, a miasto stałoby się mogło handlowém, jako na połowie drogi między Witebskiem i Rygą (\*). Tym czasem nic tam nie znaleźliśmy, prócz drewnianej stariej karczmy i kilku mizernych rybackich chałup.

Puściwszy się w dalszy pochód przez górzystą i lesną okolicę, brzegiem téjże rzeki, ścignęliśmy na

---

(\*) Miał ta Gąsiewskiego przywiedziona została do skutku w lat 100 później przez ś. p. Konstantego Ludwika Platę, dsiedzica Krasławia, który właśnie w tém miejscu założył miasto, wznosił ogromny Kościół, na Katedrę go inflantską przeznaczając, (co do skutku nie przyszło), i zbudował piękny pałac, na tym zapewne wzgórk, gdzie Wojewoda chciał mieć zamek.

noc do starego Dyneburga. Tam spotkali Wojewodę: pp. Rotmistrz Dziewiałowski, dowodzący tamecznym garnizonem, i Konstantynowicz, naczelnik oddziału Kozaków. Po odebraniu od nich raportów, postanowił Wojewoda ściągnąć wojska w tym punkcie, dla łatwiejszego postąpienia lasami ku Lixnie, gdzie szwedzki generał Horn ze trzema regimentami mocne miał stanowisko, i ztamtąd nowemu Dyneburgowi zagrażał, będąc odeń w odległości tylko dwóch mil. Wysłani tedy zostali nazajutrz z listami od Wojewody: pan Drobysz, Podczaszy wendeński, do Hetmana Sapiehy, a dworzanin Popłoński, do Regimentarza Łaskiego. Tym czasem na rozkaz wodza robiono przygotowania do przeprowadzenia wojska, nadciągającego z Litwy przez Dźwinę, pod starym Zamkiem. Wójewoda zwiedzał nowy Dyneburg, oglądał położenie różnych miejsc, z którychby korzystać było można, już w potrzebie odparcia nieprzyjacielskiego napadu, już do wciągnięcia go w zasadzkę. Ten ostatni sposób pokonywania przeciwnika, był, powiedzić można, Gąsiewskiego upodobany. Aczkolwiek walecznego ducha, nie opuszczał biegly ten wódz zdarzenia, podającego sposobność oszukania wroga, i zawsze, zdawało się, miał nań w zapasie jakie nowe i niespodziane *stratagema*. Niech mu to przebaczy potomność, niech z tego jego systematu wojowania nie wnioskuje o jego osobistym charakterze, a niech pochopność tę jego do stawienia przeciwnikowi zasadzek, przypisze raczej tej okolicz-

ności, iż Gąsiewskiemu przypadało zawsze mieć do czynienia z silniejszym co do liczby nieprzyjacielem, i że w takim położeniu nie mógł inaczej z korzyścią dotrzymywać pola, jak zastępując sztuką niedostatek materialnej siły. Dla tego to wziął sobie za godło wiersz ten Marona: — *Dolus an virtus, quis in hoste requirat.*

W ciągu tych przygotowań do bojowych kroków, zostawałem przy boku młodego Gąsiewskiego, ucząc się potrzebnych żołnierzowi zasad wojennej sztuki i nawykając do twardego obozowego życia. Dla człowieka dręczonego tęsknotą, niespokojnego o los kochanki, niewygody i ciągły trud ciała wielką stają się do wytrzymania tych cierpień duszy pomocą. Miałem przytém pociechę pisania do mej przyjaciółki, i otrzymania od niej listu. Wielkich musieliśmy w tej korespondencji użyć ostrożności, ale nie ma w świecie przebieglejszych istot, nad dwoje kochanków, spotykających silne w miłości swój przeszkody.

Pierwszy list Roazy tém miłszy był dla mnie, iż niespodziany, bom nie wiedział jak i kiedy ona pisać się nauczyła. Takem go mocno wraził sobie w pamięć, że dziś jeszcze prawie co do słowa wypisać tu mogę:

— »Zdziwisz się niepomatu, kochany Jordanie, odbierając to pismo; złękiesz się nawet może zrazu, myśląc, że cudzej doń użyła ręki. Własną przecie moją

skreśliłam te słowa. Spytasz jakim cudem stać się to mogło? odkryję ci więc tajemnicę. Od roku już przewidywałam, że się nam rozdzielić przyjdzie, i że wielką ci wtedy sprawię pociechę, pisując do ciebie. Postanowiłam zatem nauczyć się pisać, a chcąc ci razem zrobić radość niespodzianą, wzięłam się potajemnie do téj nauki, i za pomocą kilku twoich dawnych wzorów, dokazałam swego. Pisanie moje, jakkolwiek jeszcze ladace, dostateczne jest przecie do wyrażenia mych myśli, i to mię czyni niewypowiedzianie szczęśliwą. Mogę z tobą rozmawiać, jakbyś stał przedemną, choć nas góry i lasy rozdzielają. O! błogosławiony człęk, który wynalazł pismo, a raczej błogosławiony Bóg, który ludziom podał ten przedziwny środek. Ale, ty chcesz co najprędzej wiedzieć o wszystkim, co się u nas dzieje. Pociesz się więc; wszyscy z łaski Zbawiciela zdrowi, o wesołości nie ma pytania. Wszystko w domu zwyczajnym idzie porządkiem, tylko, że coś ciszej, ociążaliej, jak przedtém. Kaplica częściej nawiedzana. Modlimy się goręcej, a ks. Anzelm powtarza nam czasem stare przysłowie: *kiedy trwoga, wtedy do Boga*—Dzieląc mój czas między modlitwą i pracą, wzięłam powoli górę nad smutkiem i tęsknicą, które mię w pierwszych dniach mocno były ogarnęły. Myślę zawsze o tobie, ale bez téj boleści, która mi zrazu ścisnęła serce. Słodzę twą nieobecność nadzieją, że ty się wstawisz na wojnie, że pamięć twoja zostanie w twoim narodzie, jak niegdyś u przodków moich słyneły imiona tylu męż-

nych i cnotliwych *Murgów* (\*), chociaż już tylko ich cienie przesuwały się niekiedy po nad ziemią, i te myśli tak mię krzepią, tak duszę moję podnoszą, że, (dziwić się temu będziesz), nie chciałabym żebyś był przy mnie, w domu, bezczynny, podczas- gdy bracia twoi walczą w obronie kraju. To przynajmniej pewna, że cię kocham teraz jeszcze mocniej, chociaż nie rozumiałam przedtém, ażeby miłość moja mogła się powiększyć. Mieśliśmy tu, mój Jordanie, wielkie strapienie. Poczciwa nasza ekonomowa umarła, zostawując biédnemu swemu mężowi czworo malutkich dzieci, chłopczyka i trzy dziewczynki. Los tych sierot obchodzi bardzo oboje państwo, ale im nie dość chleba i odzieży; trzeba kogoś coby ich pielęgnował, uczył ich wcześniej bojaźni Bóżej, przygotował ich serduszka do przyjęcia nasienia dobrego, a strzeżenia się złego. Otoż widząc, że wszyscy w domu zajęci, a biédny wdowiec niéma sposobu najęcia dobrej piastunki, przyjęłam na siebie, za zezwoleniem jójmości, matki twojej, i za zgodą ojca sierot, obowiązek ten, dość wprawdzie trudny, ale niewypowiedzianie przyjemny. Jakbo też drobiazg ten do mnie się przywiązał! Bylem się pokazała, już te robaczki w koło mnie, a jak się uczepią do szyi, do rąk, do kolan, to się ich ani pozbyć. Wyobraź sobie, uparły się dzieci nazywać mię mamą, i nie mogę ich od tego oduczyc. A to słowo ma coś w sobie tak miłego, tak za

(\*) Wojownicy pogańskiéj Litwy i Łotwy, polegli z chwałą za ojczyznę.

duszę chwytą, że nie mam siły serjo im tego zaprzeczać, niechże sobie niebożątka zostają jeszcze czas jakiś w lubym błędzie, że nie straciły matki. Gdybyś mógł widzieć jak one teraz wyglądają! Nie te zdaje się dziatki. Z brudnych, krzykliwych, nieposłusznych zrobiły się takie schludne, ciche, potulne, że aż miło. Co dnia sama ich myję, czeszę i ubieram; a potem jak już wszystkie buzie i rączki czyste, wszystkie główki gładkie, połyskujące się, a kędziorki, gdyby moteczki jedwabiu, na pleccka spływają, rzekłbyś, cztery aniołki, tylko im skrzydełek nie dostaje. Z chłopczykiem najwięcej mam biedy, bo choć najmłodszy, pędza starsze siostry, i mnie się czasem opiera. Sama dla nich szyję sukienki, sama im wiąże pończoszki. Nie uwierzysz, mój przyjacielu, ile to mi przynosi zabawy, i jakom się wprawiła do tych robotek. Ojciec nie posiada się z radości, ale prosi mię, bym z jego dzieci nie zrobiła paniąt, coby się później tylko stroić chciały, a pracować wstydziły. Petronella utrzymuje go w tej obawie, ale ja myślę, że można człówkowi być pracowitym i ochędożnym razem. Wreszcie może oni mają słuszność. Muszę się w tém poradzić z ojciem Anzelmem. Mam jeszcze jedną nieszczęśliwą istotę w mojej opiece. Jest to żona gajowego, paralizem ruszona, Agnieszka. Nawiedzam ją codzien, najczęściej z ks. Anzelmem, a kiedy on mi nie może towarzyszyć, biorę z sobą zakrystjana albo strzelca jegomościnego, pamiętając, żeś mi rozkazał, abym nie przechadzała się sama jedna za do-

mem. Prócz tego nie odstępuje mię nigdy wierny nasz brys, gotów zawsze bronić mię swemi zębami. Na powrót odprowadza mię stara, znajoma tobie, Cyganka, która teraz przemieszkiwa u Agnieszki i pielęgnuje ją w chorobie. Rada jestem z tego, bo Małachna nie tylko zna różne lekarskie własności ziół, ale nad to umie zabawić chorą, prawiać jej różne powieści i dykteryjki. Dziwna to w samiej rzeczy kobieta. Mimo podeszłego wieku tak jest jeszcze silna i żwawa, że nic dla niej nie znaczy pójść o mil kilka piechotą, przynieść dwa spore wiadra wody i narąbać drew do pieca. Stałego jednak obowiązku nigdzie przyjąć nie chce. Służy, póki się jej podoba; odchodzi, wraca, podług własnej woli. Kiedy komu co przyobieca, dotrzyma pewnie, a kiedy czego uczynić nie chce, pieniędzmi nawet nic u niej wskórać nie można. Ciebie bardzo kocha, boś się (mówi) urodził na jej rękach, bo piastowała cię w kolebce i była zawsze dla niej pełen dobroci. Martwi ją tylko, że, podług jej wróżby, musisz zostać xiędzem; ona zaś nie lubi xięży; ale wprzód, mówi, będziesz żonatym. Są to brednie, w gusła wierzyć nie wolno, a jednak boję się, że wiasty, tak ona ma coś dziwnego w oczach. Kiedy jej powiedziała, że chciałabym ci przesłać pismo, z doniesieniem o zdrowiu państwa, podjęła się ochoczo pójść aż do Dyneburga. Nie zdumiała mię ta odwaga, ta kobieta ufa swjej, jak mówi, nadprzyrodzonej sztuce. Czeladź nasza i włóścianie mają Małachnę za wróżkę, ale X. Anzelm uważa ją tylko

za trochę pomieszana, i wnosi, że właśnie ten stan jej rozumu czyni ją tak odważną, a kto gardzi niebezpieczeństwem, często zeń wychodzi cały. Tego i ja jestem zdania, chociaż nie postrzegłam nic w niej takiego, coby mię przekonać mogło, że nie jest przy zdrowym rozumie. Pytałam ją, czy jest Chrześcjaną? Na to odpowiedziała mi, że wierzy w prawego Boga, chociaż religii swojej nie zmieniła. Nie posuwałam dalej rozmowy, bom spotkała w jej wzroku wyraz jakby szyderski. Ale tegoż momentu zaczęła mię głaskać i chwalić, jakby dla zatarcia wrażenia, które na mnie sprawiły jej słowa. Onegdaj, kiedym nawiedzała Agnieszkę, Małachna, siedząc w kącie u kądzieli, nuciła piosenkę, której słowa ściągnęły moje uwagę. Oto co ona śpiewała:

Na swobodzie w lesie żyła,  
 Z kwiatów czystą rosę piła  
 Turkaweczka młoda;  
 A kruk czarny za nią lata,  
 Kruk się czarny do niej swata;  
 Oj szkoda jej, szkoda!  
 A Zezulka śpiewa: kuku!  
 Co ty myślisz? głupi kuku!  
 Patrz, turkawka młoda  
 Odleciała z gniazda matki,  
 Wpadła do siatki, do klatki;  
 Oj szkoda jej, szkoda!

Nie zdawałoby się, Jordanie, że Cyganka opiewała moje przygodę; ale zkądby się dowiedziała? Jam



jěj nigdy *tam* nie widziała. Rzecz oczéwista, że ta piosenka ślepym trafem przypadła do wiadomego zdarzenia. Patrzałam na nią uważnie, gdy śpiewała, ale nie postrzegłam w jej twarzy żadnej odmiany. Przędła spokojnie nie zwracając ku mnie oka, i po tój piosence kilka jeszcze innych różnej treści przenóciła z tą samą obojętnością. Agnieszka mówi, że Małachna nigdy nie przedzie w milczeniu, lecz albo coś opowiada, albo nóci. Przez tę więc dziwną kobietę odbierzesz to moje niesłychanie długie pismo. Odpowiedz mi na nie choć króciutko, bo ty nie masz tyle, ile ja wolnego czasu. O wojnie możesz nie pisać, dowiem się o tём zkađ inąd. Chciałabym tylko wiedzieć, czyś zdrów, czy spokojny? Czy rad jesteś z osób, z któremi przebywasz? Czy łaskawi na ciebie twoi protektorowie? Czy dochowuje ci przyjaźni Francuz? Otoż prosiłam cię o kilka słów, a zadałam tyle pytań, iż będziesz musiał, biédny Jordanie, duży kawał papieru zapisać odpowiedziami. Dobrze Jegomość, twój ojciec, powiada, że zaspokoić ciekawóść kobiety, jest to napełnić wodą przetak. Tą razą jednak daruj ciekawóści, bo ta wypływa nie z wietrznej głowy, ale z kochającego serca twojej Roazy.”—

List ten maluje najwiérniej charakter Roazy. Pisała go po dwuletnim w domu naszym pobycie, a jeżeli on nie dowodzi wielkiego rozwinięcia jej władz umysłowych, okazuje przecie, iż serce jej dobre z przyrodzenia, nie tylko nie zepsuło się nowém wychowa-

niem, lecz, iż owszem wpływ zbawienny prawej wiary, zasilony dobrymi przykładami, dopełnił jego ukształcenia, zwracając popędy czułości niewieściej do przedmiotów właściwych przeznaczeniu płci téj na ziemi. Tę najważniejszą zaletę swoją winną była Roaza x. Anzelmowi i matce mojej. Więcej może nawet ostatniej, niżeli pierwszemu. Miłość bliźniego kapłana, objawiała się widoczniej w żarliwości jego o zbawienie dusz ludzkich (ludzkość i dobroczynność starał się on przez pokorę ile można ukrywać przed światem) podczas kiedy matka moja cała się wylewała na miłosierne uczynki. On nauczał niewiadomych, zagrzewał oziębłych, prostował kroki błądzących; ona karmiła głodnych, odziewała nagich, leczyła chorych, przytulała sieroty. Kapłan był dla Roazy niedościgłym wzorem świątobliwości, matka moja żywym przykładem miłości chrześcijańskiej.

Stara Małachna świadkiem była uniesienia, z jakim list Roazy czytałem. Podnosząc wzrok mój od papieru na nią, ujrzałem jej czarne przenikliwe oczy, wlepione we mnie z największą uwagą. Ale ona, zmieniając wnet ich wyraz, zapytała mię dobroduszenie :

— Muszą być dobre nowiny w tém piśmie, kiedy je panicz radośnie czytał.

— Zapewne! (odpowiedziałem). Wszyscy u nas w domu zdrowi, toż najlepsza dla mnie nowina.

— A więcej nic? —

— Nic, ale zkąd ci ta ciekawość Małachno? —

— Bo Rozalka (Roaza dostała na Chrzcie imię Rozalji) kazała mi oddać wam ten listek pod wielkim sekretem. To ja sobie pomyślałam, musi w tém być coś. —

— Panna Rozalja (wyrzekłem te słowa z przyciskiem) miała w tém słuszne powody. —

— Panna Rozalja! (powtórzyła Cyganka ze zdziwieniem). No, kiedy już ona została *Panna*, to mnie być trzeba *Panią*. —

— Małachno! (zawołałem z gniewem) jeżeliś przyszła, żeby mi się sprzeciwiać i pleść dziwactwa, to możesz sobie iść z Panem Bogiem. —

— Czego się Paniczu tak zapalacie? Ja przyszedłem z listem do was i czekam na list od was — do Rozalki... przepraszam, do Panny Rozalji. —

Ja się nie gniewam na ciebie moja Małachno, (rzekłem, postrzegłszy się w mym nieostróżnym impecie), tylko nie lubię, wiesz, kiedy się kto mnie sprzeciwia. Nazywaj sobie wreszcie Rozalję jak się podoba, byleś tylko jój wiernie oddała moję odpowiedź. —

— Czy także potajemnie? —

— Jak najtajemniej... Chociaż bądź pewna... nie ma w tém nic złego. Zaczekaj chwilę, zaraz ci dam pismo, —

Napisawszy moję odpowiedź, opieczetowałem ją najstaranniej i oddałem Małachnie, wciskając jój przytém w rękę talara dla większego zapewnienia z jój

strony sekretu. Ona, wpatrując się znowu we mnie uważnie, przyjęła pismo, pieniądz zaś rzuciła z niechęcią na stół, mówiąc:

— A toż znów co znaczy? Czy Panicz myśli, że ja dla tego talara podjęłam się na tyle trudu i niebezpieczeństwa! —

— Wybacz moja kochana! Dałbym ci więcej, ale upewniam cię, że mój worek bardzo lekki. —

— Także mię Panicz nie rozumie. Tak mię zna mało. Fe, wstydz się, panie Jordanie, krzywdzić tak starą twoją niankę! Wiedźże iż dla ciebie przez wodę i przez ogieńbym poszła, a dla kogo innego za pieniądze nawet nie poruszyłabym moich starych kości. Na co mnie pieniądze? Czy ja mam ich komu zostawić? Ach, nie ma już mojego Dżęgi! Powiesili go Lachy za mizerną kradzież na kiermaszu! A onby nie kradł, gdybym ja nie była chora, i bez żadnego sposobu; dla mnie to on się poświęcił nieboże, a oni go powiesili, jakby jakiego łotra. A córka mi później umarła przy piersiach, właśnie kiedyś ty przyszedł na świat mój gołąbku. Złe było z panią naszą Cześnikową, ciężki był połóg, pomagałam jęj, pielęgnowałam w chorobie, a potem piastowałam ciebie, i codziennie ukradkiem dawałam ci piersi, bo twoja matka skąpo miała pokarmu. Za to też wyglądałeś jak jabłuszko, i hodowałeś się wesół i dziarski jak zrzebczyk na łące. Jaż miałabym teraz od niego wychowańca brać pieniądze! Ty nie wiesz jak my, niewiasty, kochamy tych,

których karmiłyśmy piersiami. —

— Daruj mi, poczciwa Małachno, jeżeli cię obraził. Wdzięczny ci jestem za twe przywiązanie, i nigdy nie zapomnę czułych twoich koło mnie starań. —

— Otoż, ponieważ wiesz, jak mi jesteś drogim, zwierz się przede mną jednej rzeczy. —

— Jakięj? —

— Jak ty uważasz tę dziewczynę? —

— Jaką dziewczynę? —

— Rumieniec twój świadczy, iż wiesz o jakięj ja mówię. Widzę, że ona mocno cię obchodzi, ale chciałabym wiedzieć, jaki jest rodzaj twego z nią porozumienia. Bo już ciż nie byłabym Cyganką, gdybym nie odgadła, że te między wami potajemne listy, więcj coś w sobie zawierają, jak wiadomości o zdrowiu. Takie wiadomości nie potrzebują sekretu, o takich rzeczach pisywałbyś prosto do rodziców albo do księdza, a nie do Rozalji. Myślisz może, iż ja przez kobięcą ciekawość o to cię zapytuję? Bynajmniej. Trzeba mi koniecznie wiedzieć, a to dla ważnych przyczyn; jak uważasz tę dziewczynę? —

— Jak siostrę, upewniam cię, nie więcj. —

— Alboż to mało, że ją kochasz jak siostrę? To bardzo wiele paniczu. Gdyby ona była starą, jak ja, a szpetną, jak petronella, przystałabym na ten rodzaj miłości, ale dziewczka jak łania i głowa nie lada; to już niebezpieczna dla ciebie siostra. Powiedz szczerze, czy chcesz ją zwodzić? —

— A niech mię Bóg od tego uchwala! —

— To więc chciałbyś się z nią ożenić? —

— Co tobie się marzy. Wiesz sama czyby rodzice moi na to przyzwolili. —

— Wiem, że nie pozwolą. Ale ty ją pomimo tego kochasz. Słuchajże, i nie używaj żadnych wybiegów, bo to z Małachną rzecz daremna. Dawno jużem spostrzegła, że coś jest między tobą i tą Łotewką; dawno mi należało przeszkodzić temu niedorzecznemu między wami porozumieniu, alem nie wiedziała jak sobie w tém począć. Postępuję z tobą, jak głupia matka z rozpieszczoném dzieckiem. Nie śmiem oderwać ci od gęby nie zdrowe łakocie, żebyś się nie rozbeczał. Nie cierpię téj dziewczyny, a nie mam mocy wygnać ją na powrót do jej lasu w bojaźni by nie ściągnąć na siebie twojej nienawiści. —

— Zabiłbym ciebie, gdybyś to uczynić śmiała! — (wykrzyknąłem w zapamiętaniu).

— Tak, tak, toby być mogło. Taka zawsze bywa nagroda wierności. O! gdybyś zabił... Gorzejbyś może mnie ukarał. Nie zabiłbyś — ja ciebie znam lepiej — ale brzydziłbyś się mną, jak ropuchą, nienawidziałbyś mnie, jak szatana. Tego to się lękałam najbardziej, i dla tego choć mogłam ją zgubić, nie zgubiłam. Nie rozumiałam przytém, że ty ją polubiłeś tak serdecznie. —

— Co ci ta dobra, niewinna dziewczyna zrobiła, że ją nienawidzisz? —

— Co mi zrobiła? Opełtała ciebie. Oderwała twe serce od tych, których kochałeś. Alboż ty kochasz teraz kogokolwiek, prócz niej jednej? Albożbyś wszystkich i wszystkiego dla niej nie poświęcił? —

— Zkądże to wiesz? —

— Z długiego życia na świecie z ludźmi. Myśliszże, iż Małachna zawsze była taką starą, chudą, garbatą, jak dziś ją przed sobą widzisz? Ach mój sokole, byłam kiedyś młoda i ładna, jak twoja Rozalja, miałam kochanków nie gorszych od ciebie, Jordasiu, kochałam i sama. Wiem ja, wiem co to rozmiłowany mężczyzna. Ach już teraz pomięszają się moje projekta. A ja tobie wróżyłam piękne losy. Marzyłam, że jak się zasłużysz krajowi, a ożenisz się bogato, dostaniesz może dziedzictwem te włości, albo nabędziesz inne. Że zostawszy panem, przytulisz, przez miłość i pamięć dla Małachny, biedny ród Cyganów, jej braci, zasłonisz nieszczęśliwe plemię od prześladowania, a przez to samo poprawisz jego obyczaje. Czemuż to Cygan figle różne płata? Bo się mści za pogardę i krzywdy, które mu wyrządzają. Najłagodniejsze zwierze stanie się srogiem, kiedy go ustawnie prześladują, a przeciwnie najdziksze przyswoić można cierpliwością i litościwem z niem się obejściem. Ale nasze pany nie chcą, żeby kto prócz nich był wolny, był szczęśliwy, żył podług swego zwyczaju. Łotysz, Rusin, Litwin, Lach, gdzie się urodzili, tam przyrosli, rzekłbyś, do ziemi. Kiedy im tak dobrze, mnie nic do tego. Ale

Cygan nie zagrzeje miejsca, choćbyś go przywiązał; więc niech sobie koczuje; co to komu szkodzi. Jaskółki nie utrzymasz w klatce, a kury z grzędy w pole nie wypłoszysz. Cyganowi w chacie duszno, on może oddychać, tylko pod czystym niebem, a Łotysz rad być pod dachem między czterema ścianami, na ciepłym piecu, w dymie. Łotysz lubi ziemię kopać, Cygana nie nauczysz tego; ale on umie żyć z przemysłu, a jak mu godziwego wzbronisz, puści się na nieprawy, bo żyć taki człowiekowi trzeba. Otoż ja myślałam, że za twego panowania w tej okolicy będzie dobrze memu narodowi, a jak mu będzie dobrze, to i złe zeń ustąpi. Wszak i ja Cyganka, a nic przecie złego nie zrobiłam; a że mój biedny Dżęga zajrzał raz do cudzej kieszeni, któż temu winien, jeżeli nie ci, którzy nas prześladowali. Bośmy mieszkali dawniej na Litwie. Ja sobie chodząc leczyłam ludzi i bydło, uczyła prostotę niektórych gospodarskich sekretów, powróżyła czasem dziewczętom mężów, a chłopakom żonki. To się nie podobało jednemu tam księdzu, i kazał mię porwać i pławić jak czarownicę. Wyciągnęli mię z wody w pół martwą, a potem chorą i bez sposobu wygnali za Dżwinę. Od tej godziny nie cierpię księży, nawet naszego ojca Anzelma nie lubię; bo choć on biednych kobiet nie pławi i nie prześladowuje Cyganów, ale chce ciebie zrobić księdzem, a toby dla mnie jeszcze gorzej było, jak gdybyś się ożenił nie po mojej myśli.

— Nie susz sobie głowy naprózno Małachno. Kto



wie jak dla mnie skończy się ta wojna. Mogę zginąć, a wtedy i po twoich mądrych projektach.

— Nie zginiesz na wojnie. Mówię ci to śmiało, bom przecież pilnie wychowanka mego przeglądała przyszłość. Umrzesz swoją śmiercią po długim życiu, a wprzód się ożenisz. Ale źle, czy dobrze się ożenisz, tego nie odgadnę, i to mię robi niespokojną.

— Słuchaj Małachno! Ja ci jedną rzecz powiem: ale ją sobie dobrze wraz w pamięć. Pomimo całą moję dla ciebie wdzięczność, jeżeli się cokolwiek złego stanie Rozalji, będę się mścił nad tobą, i będę prześladował cały ród Cyganów do ostatniego.

— Moje ręce nic jój złego nie zrobią! — odpowiedziała odwracając twarz Cyganka, a wтім wszedł do mnie P. La Montagne.

— Znowu cię, rzekł po łacinie, (nie chcąc by go zrozumiała Cyganka), zdybałem sam na sam z kobietą, ale tą razą nie przyjdzie między nami do dysputy. Co ty masz do czynienia z tą komoszką Belzebuba, jeżeli się nie mylę, Cyganka?

— Cyganka, ale nie czarownica. Jest to moja dawna piastunka, przyniosła mi wiadomości z domu.

— Wyglądasz mi coś jakby wzruszony i pomieszany. Otrzymałżeś niepomysłną nowinę? Takie stare ba-by zwiastują zwykle nieszczęścia, jak ptaki złowrogie.

— Mylisz się, mój przyjacielu, otrzymałem jak najlepsze nowiny.

— A przecie starasz się ukrywać swoje niespokoj-

ność. Aha, domyślam się; musiałeś kazać sobie wróżyć Cygancę. Nie wierz tym bałamuctwom. Ja drwię z przepowiedni, ale to pewna, że mię bawią. Słuchaj matko, (mówił obracając się do Małachny) pokaż mi swoją umiejętność i wywróż mi co pięknego. Dam ci za to tynfa. Na twoje szczęście otrzymałem dzisiaj kwartałową gazę. Na, czytaj z méj dłoni, jak mi się też powiedzie w bitwach i w miłostkach? ale wiedz, że się jednej tylko rzeczy boję, — umrzeć z głodu. —

Cyganka, obejrawszy dłoń jego, odrzekła uroczystym tonem, wpatrując mu się w oczy: — Strzeż się by właśnie ta bojaźń nie stała się przyczyną twój zguby.

— Więc mam umrzeć z niestrawności? Toby mi nie dziwiło, i ten rodzaj śmierci mógłbym prawie sam sobie przepowiedzieć.

— Ja tobie, cudzoziemcze, przepowiadam inny. Umrzesz naczczu, pod mieczem katowskim.

— A niechże cię milion piorunów zatrzaśnie przekłeta czarownico! Toś już nadto łaskawa. Weź jednak swego tynfa i ruszaj do djabła.

— Za niepomyślne wróżby nie biorę zapłaty, nie dbam także i na przekłętwa. Obwiniaj twą ciekawość, która ci źle usłużyła. A co najrozumniejszego możesz teraz zrobić, jest to zapomnieć, lub niewierzyć, jeśli potrafisz, com ci przepowiedziała. — To wyrzekłszy wyszła. (\*)

---

(\*) Jeżeli to ten sam La Montagne, który w 1628, był Komendantem Brodnicy, wróżba Cyganki nieszczęśliwie na nim się ziściła.

La Montagne przeszedł się kilka razy po izbie zamysłony, mruczając pod nosem: — Niegodziwa baba ze swoją wróżbą! — Potém rzekł do mnie:

— Wiem-ci ja dobrze, że to głupstwo. Wreszcie, za tynfa nie można było kupić dobrej przepowiedni. Za talara wywróżyłaby mi baba marszałkowską buławę. Pomimo to jednak zły jestem na siebie, zem tę djablicę zaczepił, i wiesz co, że wróżba jój mogłaby się ziścić, gdyby mnie się zamarzyło wrócić do Francji. Miałbym tam pojedynek, jak dwa razy dwa cztery, a rzecz równie pewna, iż w takim razie Kardynał kazałby mi zdjąć z karku głowę — — — Pocziwie babsko, że mię o tém ostrzegło. Kto wie czy mi się wkrótce nie sprzykrzy w polskiej służbie. Mógłbym wielkie głupstwo zrobić wracając do ojczyzny. Teraz wiem co uczynię. Jak mi przyjdzie fantazja zmienić stanowisko, udam się do Cesarza Ferdynanda, albo też do Bawarczyka Maxymiljana. No proszę, ktoby to powiedział, że stara Cyganka podyktuje mi plan dalszej méj konduity.

— Strzeż się tylko La Montagne, (powiedziałem mu), abyś się nie pomylił, jak niegdyś nasz czarnożęznik Twardowski, który zaprzedał się djabłu pod

---

Oblężony bowiem w téj twierdzy i ściśniony przez Gustawa, trzymał się zrazu mężnie, ale gdy mu żywności zabrakło, stracił serce i w obliczu przybyłego mu na odsiecz Hetmana Konięcpolskiego kapitulował 4. 8bra. Lecz skoro stanął w obozie polskim, oddano go pod sąd wojenny, który skazał go, jako przekonanego o niedostatek wytrwałości, na karę śmierci.

warunkiem, że ten go nie wezmie w żadnym innym miejscu, jeno w Rzymie. Myślał tedy, że oszuka diabła. Aż przypadkiem, nie wychodząc z Polski, trafił do karczmy, nazywającej się Rzymem, i tam musiał się oddać biesowi, bez ratunku. Ale ja ci to tylko mówię dla śmiechu. Stara moja piastunka ma trochę umysł pomięszany. Proroctwa jej zatem są skutkiem chorąg imaginacji, a częstokroć i złośliwego dowcipu, zwyczajnego Cyganom.

— Jeżeli to miał być dowcip, przyznasz, mój Jordanie, że dostatecznie był ostry. Nie będzie jednak powiedziano, iż wróżba Cyganki zrobiła na umyśle kawalera Henryka de La Montagne wrażenie, jakiegoby jedna szklanka wina zmyć nie potrafiła. Dowiodę ci tego, (dodał nalawszy sobie spory kubek małmazji), wychylając ten naparstek za twoje zdrowie, a na pożałowanie mojej obszarpanej prorokini.—

Podczas kiedy ten nowego rodzaju filozof zapijał złowieszcze słowa Małachny, jam także rozmyślał niepokojny o méj z nią rozmowie, i że dziwnym zrządzeniem losu tajemnica moja wiadomą się stała cudzoziemcowi i Cygance, dwóm istotom, którychbym nigdy z mojej dobrej woli nie wybrał na powierników.

Wyrwał mię z tych rozmyślań giermek młodego Gąsiewskiego, przynosząc rozkaz gotowania się do pochodu. La Montagne ucieszył się tą wieścią, bo — jak mówił — ciekawy był widzieć Szwedów, a szczególnie Gustawa Adolfa, którego sława głośną już wtedy była

w Europie. Tak więc ważny wypadek pobudził go do wypicia jeszcze jednego kubka, i rzeczywiście wrażenie, sprawione w umyśle jego, wróżbą Cyganki, zatarło się, na ten raz przynajmniej, do ostatka. Udałem się do mojego naczelnika w zupełnej gotowości. Znalazłem u niego Zygmunta Platera.

— Panie Jordanie! rzekł do mnie Wojewodzie Krzysztof; pan pułkownik, Plater, mając od naszego woźdza poruczenie wyciągnąć z osobnym oddziałem wojska przeciw nieprzyjacielowi, życzy, abys odbył z nim tę wyprawę. Przystaję na to, nie chcąc waszmości tamować nabycia co najprędzej rycerskich w ojczyźnie zasług.—

Podziękowałem Wojewodzie za ten fawor, i niebawnie dosiadłem mego konia; pacholik zaś mój z mantelzakiem dążył za mną w tylną straż naszego oddziału. Opuszczaliśmy Dyneburg bez żalu; raz, że nic nudniejszego dla żołnierza, jak bezczynność na polu wojny, a powtóre, że okolica ta żadnego nie przedstawiała powabu. Niezmierzone te piaszczyste rozłogi, okolone posępными bory. Gród sam zdaje się być zatopiony w piaskach. Najmniejszy wietrzyk wznosi tumany kurzawy, a na tej obszerniej zamieci dwa tylko widoczne wystają punkta: wysoki obronny szaniec, usypany nad Dźwiną za Króla Stefana, i kościół drewniany missji księży Jezuitów.

Z radością postrzegłem pana La Montagne, przybywającego do naszego małego sztabu. Statecznie wesoły

jego humor czynił zeń przyjemnego towarzysza broni, miałem w nim, obok tego, przyjaciela, z którym mówić mogłem czasami o Roazie. Zygmuntowi nie śmiałbym, pomimo mojego doń przywiązania, odkryć stanu mojego serca, wiedząc, iż znalazłbym go na ten raz zbyt surowym sędzią.

Wojewoda Gąsiewski, chcąc skuteczniej natrzeć na korpus szwedzkiego generała Horna, rozkazał pułkownikowi Platerowi z chorągwią piechoty, przy której były dwa połowe działka, z kornetem lekkiej jazdy i z kozakami Konstantynowicza, manewrować na lewem skrzydle nieprzyjaciela tak, aby siły jego ile można rozdzielić i wciągnąć go w zasadzkę, którą Wojewoda gotował w lasach między Lixną i starym zamkiem. Wykonywając ten rozkaz, prowadził nas Zygmunt nocą z półtóry mili lasami, aż do brzegu rzeki Lixnienki, wpadającej pod Lixną do Dźwiny. O samym świcie dopiero wydobyliśmy się z piaszczystych borów, i ujrzelśmy uprawne pola i zielone smugi, śród zakrętów bystro płynącej wody. Nie było jednak czasu bawić się tym widokiem, bo nieprzyjacielskie placówki za rzeką, silniej zajęły naszą uwagę. Wnet Zygmunt dla złudzenia nieprzyjaciela udał, że ma zamiar przejść rzekę. Jazdę uszykował na krawędzi lasu, ukrywszy w nim piechotę i działa. Kozacy rozpierzchli się na porzeżach Lixnienki, szukając niby brodu. Nie przeszło godziny, ujrzelśmy mocny oddział szwedzkiego wojska, podступującego ku rzece w porządnym szyku. Rajtarja,

harując po nad brzegiem, przestrzeliwała się z naszymi młodocami bez wzajemnej szkody. Lekkie te gonitwy piękne stawiły widowisko, zwłaszcza memu oku, co się po raz pierwszy wpatrywało w żywy obraz wojny. Tym czasem Zygmunt, uszykowawszy jazdę w wązkiej a długiej szeregach ruszył na ich czele ku brzegowi, w widocznym postanowieniu przebyć wpław rzekę, i wstępnym bojem wyparować Szwedów z ich pozycji. Widząc to oficer, dowodzący nieprzyjacielskim zastępem, rozwinął swoje piechotę, w pewności, że łatwo zniweczy zuchwały ten przeciwnika zamysł. Dla większego zdziwienia Kozacy rzucili się niby do wody, a Szwedzi na ten widok bliżej jeszcze podstąpili ku brzegowi; dowódzca ich zakomenderował *ognia!* Rajtarja zaś uszykowała się opodal w przyzwoitej jak do silnego natarcia odległości. Ale w tejże chwili Kozacy zawinęli nazad, a z lasu otworzył się ogień armatny i karabinowy na nieprzyjacielski hufiec. Jazda nasza, zmieniając szyk, uleciała kierując się w górę rzeki, podczas, kiedy piechota, ukryta za drzewami, celnymi wystrzałami dokuczała knechtom. Dowódzca szwedzki, nie spodziewając się takiego obrótu, musiał się cofnąć, nie mógł tego jednak wykonać bez znacznej straty, albowiem piechota nasza, wyszedłszy z lasu i podstępując ku rzece szturmowym krokiem, ścigała rejterujących się Szwedów kulami. Działka nasze nie prędkiej też umilkły, aż się nieprzyjaciel ukrył za najpierwszemi, jakie napotkał w swym odwrócie, wzgórzami. Ca-

ły brzeg prawy zasłany był trupem. Przewidując, iż Szwedzi niebawnie w nowym szyku i z artylerją powrócą na plac, zwinął Zygmunt swoją piechotę i w tymże co i jazdę kierunku w górę Lixnienki uprowadził, udając zawsze, że szuka brodu, i że co najprędzej chce natrzeć zaczepnie. Nie pomylił się w swój rachubie. Szwedzi ukazali się znowu na wzgórzach i zatoczyli działa; sam generał Horn był na ich czele, ale jut w tym punkcie nie znaleźli przeciwnika, a dowódca Rajtarji dał wiedzieć, że Polacy o ćwierć mili wyżej zabierają się do przejścia rzeki. Ruszył więc Horn w tym kierunku, nie wiedząc jak wielką miał przeciwko sobie siłę, i wnosząc ze śmiałości przedsięwzięcia, że znaczna część wojska Gąsiewskiego była tu w działaniu. Położenie miejsca posłużyło nam do utrzymania go w tym błędzie przez dzień cały. Hufce nasze ukazywały się bezprzestannie w rozmaitych punktach, korzystając z gęstych zarośli, które ukrywały ich obróty; piechota podobnie formowała na krawędzi lasu front rozciągnęły, a przeto nie dozwalała ocenić rzeczywistej swój siły; Horn więc z tém większą postępować musiał ostrożnością, im mniej wątpił o biegłości Gąsiewskiego w sztuce wojennej.

La Montagne, widząc to wahanie się Szweda, rzekł do Zygmunta:

— Szczęście prawdziwie, pułkowniku, że mamy do czynienia z takim flegmatykiem. Gdyby na jego miejscu komenderował tu Szwedami mój ziomek, *Pons de*



*la Gardie*, nie daliby nam oni tak długo i tak pięknie manewrować, aleby od razu sami przebrnęli przez ten strumyk, i siedzieliby już nam na karku. Jeżeli stąd wyjdziemy cali, nie będę ja przynajmniej dziękował za to panu Wojewodzie.

— Dla żołnierza, (odpowiedział mu Zygmunt), miejsce najniebezpieczniejsze jest właśnie miejscem prawdziwie honorowém. Ja tedy szczerze obowiązany jestem Wojewodzie, że mi uczynił ten zaszczyt. Ale już wieczór; czas się sposobić do bławaku. Udaj się waszmóść pan do tylnej straży, i rozkaż rozniecić ogniska, tam w tej dolinie po za drzewami, i przez całą jej długość. Nie żałować drzewa. Pozapalać ogniów jak można najwięcej.

— Rozumiem, (rzekł ukłoniwszy się *La Montagne*); Szwedziska pomysła, że nas tu jest jak mrówia. A jednak trzeba być Szwedem, żeby tak się dać oszukiwać. Francuz nie byłby tak łatwowierny. Ja się znam cokolwiek na urządzaniu *illuminacji*. Będziesz kontent, panie pułkowniku! Dam poznać Hornowi, że ma sprawę z ludźmi bardzo oświeconymi.—

To powiedziawszy odjechał, a Zygmunt rzekł do mnie z uśmiechem: — Istny Francuz! Dobry żołnierz, ale języka powściągnąć nie zdoła. Ostrzegę wodza, aby go nigdy nie przypuszczał do rady wojennej.

Padł mrok, roznieciły się nasze ogniska, i oddać trzeba słusność panu *La Montagne*, że doskonale urządził tę *illuminację*. Szwedzi rozłożyli się także na dru-

gim brzegu, a z obu stron poczyniono przyzwoite ostróżności przeciw nocnemu napadowi. Artylerja szwedzka długo jeszcze strzelała do nas, celując w oświecone punkta, ale jej kule częścią przelatywały po nad nasze głowy, częścią też padały na te ogniska, przy których nikogo nie było. Straciliśmy w tym dniu do dziesiątka ludzi w zabitych i kilkunastu mieliśmy rannych. Pod Zygmuntem ubito konia.

Jużesmy się zaczęli krzątać około przygotowania sobie posiłku, gdy nasz pułkownik wydał nagle rozkaz zwinięcia taboru, i stawania każdemu w największej cichości pod swoje znaki. Jeżeli kto był zmartwiony tym rozkazem, to mój przyjaciel La Montagne. Zaczął był właśnie przysmażać na ogniu sztukę zwierzyny, którą się zapasił w Dyneburgu, gdy nielitościwy ordynans oderwał go od tego miłego zajęcia. Wysypawszy przez zęby krocie djabłów, bomb i piorunów, zerwał z ognia swoje niedosmażoną pardwę, i zawinawszy ją do chustki, pośpieszył do swego konia, mruczając: — No proszę, miałem nowym zupełnie sposobem przyrządzić tego nieznanego we Francji ptaka, a teraz muszę go w pół tylko dowarzonego, zdjąć z ognia. To, to są prawdziwe klęski, które wojna sprowadza na nasz rodzaj. Kto więc czy prędko dostanę znowu takiego *pardoua*, a miarkuję z jego składu, że musi być smaczny i delikatniejszy od naszego *Coq-de-bruyère*. —

W największej cichości opuściliśmy nasze stanowisko, dorzuciwszy wprzód drew do ognisk, aby się jak

można dłużej paliły, i ciągnęliśmy cugami, w małych dystancjach prowadzeni przez Zygmunta, który miał dodanego sobie od Wojewody przewodnika Łotysza, chłopa lixnieńskiego, znającego dokładnie wszystkie miejsca tej lesnej okolicy.

Dla mnie nocna ta wyprawa tysiące miała powabów. Marzenia dzieciennego wieku sprawdzały się niejako. Byłem rycerzem, poznałem już swist kul, przebyłem pierwszy paroxyzm marsowej gorączki i czułem w piersiach moich rozwinięty zapał pięknych czynów, żądę wyszczerbienia méj szabli na łbach wrogów. Niebezpieczeństwo rokosznie mię odurzało. Byłem jak pijany, choćem prócz wody nic nie pił. Zapomniałem o wszystkiém, nawet o Roazie. Rycerski zapał całego mię objął, i nie potrafiłbym opisać dziwnego stanu méj duszy w téj chwili. Z towarzyszy moich nikt bodaj nie podzielał zachwycenia mego, bo też, oprócz mnie i pacholika mego, oddział ten wojska naszego składał się ze starych żołnierzy, oswojonych ze wszystkiemi kolejami wojny, nieczułych na jój ponęty, pogardzających jój niebezpieczeństwami i niewygody. Mój zaś pacholik jeżeli doznał gorączki, była ona z rodzaju zimnej fębry, bo drżał nieborak od strachu i chłodu, a pusty żołądek napełniał mu głowę okropnemi myślami.

Po godzinnym marszu krętymi ścieżkami po lesie i dąbrowach, weszliśmy w lesisty parów, za którym był obszerny rozłóg, zarosły wrzosem. W głębi parowu

snuł się czysty strumyk, a brzegi jego okryte były bujną trawą.

— Tutaj, rzekł Zygmunt, (rozkazawszy komendzie stanąć), tutaj bezpiecznie możemy sobie wypocząć. Puścić konie w parowie na paszę, i rozniecić ogień. Armaty narychtować u wejścia parowu, na wzgórzach zaś, po obu stronach, porozstawiać czaty.—

Rozlokowaliśmy się podług rozporządzeń naszego dowodzcy, a przewodnik, pomówiwszy sekretnie z Zygmuntem, odjechał na swojej szkapce. Zręczny ten Łotysz podług danej sobie instrukcji puścił się drogą, wiodącą do Lixny. Przybywszy nad brzeg Lixnienki, został zatrzymany przez szwedzką awangardę, która się właśnie przez rzekę przeprawiała. Zapytany przez oficera, czy nie widział wojska polskiego, odpowiedział, że niewielki oddział tego wojska rozłożył się wśród lasu o dobre pół mili od dyneburgskiego traktu, podczas, kiedy on nie postrzeżenie gąszczem tamtędy przemyskał. Oficer odraportował o tém Hornowi, który wnet sam przybył do przedniej straży, a rozpytawszy jak najdokładniej chłopca, rozkazał przeprowić się co najśpieszniej całemu pułkowi piechoty i dwóm rotom Rajtarji. Wysłany Oficer z pocztem zbrojnym dla zrekonoskowania naszego biwaku nad rzeką, wrócił pędem, donosząc, że już tam nikogo nie było, i że wyraźnie na inne miejsce przemieść musieliśmy nasz nocleg. Wiadomość ta naprowadziła Horna na wniosek, że zbyt szczupłe siły nasze, nie dozwalały nam przedsięwziąć

coś stanowczego, i że spotykając tęższy opór, musieliśmy się rejterować. Wiedział przytém, iż w Dyneburgu polskiego wojska było niewiele, a niespodziewał się, że Gąsiewski, nadciągające z Litwy posiłki, przeprawi pod starym zamkiem przez Dźwinę. Postanowił tedy Horn, nie dając nam czasu do odpoczynku, napaść ze świeżem wojskiem na zmordowanych całodziennemi obrótami, i w pień nas wyciąć lub zabrać w niewolę. W tym celu kazał chłopowi prowadzić siebie do miejsca naszego noclegu, i przed świtem jeszcze puścił się forsownym krokiem w pochód.

O samym brzasku wyrwani byliśmy ze snu hasłem do boju, a przygotowanych do napadu, zaledwie pikietę dały znak o zbliżającym się nieprzyjacielu, już nas Zygmunt szykował po grzbiecie wzgórków, opasujących parów; połowa jazdy zsiadła z koni, by wzmocnić piechotę, druga połowa stanęła na rozłogu za wąwozem w miejscu bezpiecznem od kul szwedzkiej artylerji.

Nie w smak było Hornowi znaleźć nas w takiej pozycji, i wnet rozpoznał, żeśmy się mieli na ostrożności. Posunąwszy się w parów, przywitany został ogniem działowym z przodu, a karabinowym z boków. Zaniechał więc szturmowania przejścia, a postanowił oczyścić wprzód grzbiety ścian wąwozu, artylerji zaś swojej rozkazał zdemontować nasze armatki, co też ona wykonała przewagą liczby i kalibru swych dział. Wtenczas piechotę rozdzieliwszy na dwie części, przypuścił razem atak z obu boków na wzgórki, jazda zaś rzuciła się

czwałem w głąb parowu. Lecz niepodobna było Rajtarom, przebyć ten wąwoz, by rozwinąć się potem na płaszczynie. Uderzyli się bowiem o ściśnięte kopje naszych Usarzy, i o piki Kozaków, w samym środku parowu. Piechota nasza strzelała do nich ze wzgórków, chociaż naciskana przez tłumy Landsknechtów, postępujących zawzięcie naprzód, ustępować musiała krok za krok placu. Uporczywa ta walka trwała już od godziny; Szwedzi tracili ludzi, ale przemagającą liczbą brali nad nami górę. Co minuta położenie nasze stawało się niebezpieczniejszém. Zygmunt kierował prawem skrzydłem, La Montagne lewém, Snarski dowodził jazdą.

— Jeśli Wojewoda prędko nam nie przyjdzie na pomoc, zginiemy w tój zasadzce, którą on przygotował dla nieprzyjaciela,—szepnął do mnie Zygmunt, szykując rozproszonych swoich żołnierzy, i wiodąc ich znowu w opuszczoną pozycję. Ledwie słów tych domawiał, grzmotliwy okrzyk rozległ się po lesie. Trębacze Gąsiewskiego zagrali dobrze nam znajomą pobudkę, i wnet mężki głos samego wodza doleciał aż do nas, wołając: —Naprzód dzieci! Naprzód! Bij wroga! ratuj braci!— I ziemia zadrżała pod kopytem dziarskiej jazdy, i puszca się wstrzęsła od huku ognistej broni. Szwedzi podnieśli wrzask przestachu, z naszych zmieszanych szeregów wzbil się krzyk radosny ku niebu.

Działająca przeciw nam szwedzka rota, ujrzawszy się oskrzydloną, stanęła na wyniesionej małej płaszczy-

znie, i uszykowała się w czworobok. Był to ostatni środek, który dowodzącemu nią oficerowi podawała rozpacz. Ucieczka była nie podobną.

Zygmunt rad, że już mógł nakoniec natrzeć na nieprzyjaciela, zawołał, wznosząc krwawy miecz swój w górę: — Za mną bracia! za mną! Niech wódz zobaczy, żeśmy mężnie dotrzymali placu! —

To mówiąc, spuścił się z zarosłego drzewami pagórka, który przed chwilą był dla nas ostatnią już twierdzą, i powiodł garstkę swych wojowników na czworobok, wołając na Szwedów, aby się poddali; ale ci odpowiedzieli na to wezwanie ogniem z samopałów. Zygmunt zachwiał się, opuścił miecz ku ziemi, i byłby upadł, gdybym go, w pół objąwszy, nie utrzymał. — Wiara, naprzód! — zawołał raniony donośnym jeszcze głosem, i skinął przytém na porucznika Felkerzama, aby wiódł hufiec do ataku. Rzucili się rozjuszeni żołnierze nasi na kwadrat, najeżony pikami, a w téjże chwili i chorągiew Kopijników Gąsiewskiego uderzyła weń jak taranem z przeciwnéj strony. Złamany czworobok nie zostawił już Szwedom żadnego ratunku, prócz miłosierdzia zwycięzców, ale nie rychło zdołali polscy oficerowie uhamować zapęd żołnierzy, mszczących się na wrogach za postrzelenie ukochanego swego pułkownika. Nie wiele tedy na téj stronie parowu pojmano niewolnika.

Szczęśliwszy La Montagne, dowodzący na lewym grzbiecie wawozu, wyszedł cały. Trzymał się i on walecznie przeciwko przeważającej sile, ale już myślał tył

poddać, gdy przybycie odsieczy oszczędziło mu tój niesławy. Szwedzi, mając jeszcze jedno wyjście, nie czekali długo, i pierzchnęli na wyscigi z jenerałem swoim na czele. La Montagne w piérwszej chwili tój nagłej zmiany losu, stał jak w odurzeniu, nie wiedząc czy się puścić w pogoń, czy trzymać pozycję; Gąsiewskiemu zaś gąszcze przeszkadzały spostrzedz do razu ten popłoch nieprzyjaciela. Widział atoli niebezpieczeństwo, które groziło Zygmunтови na drugiej stronie parowu; tam się więc rzucił z piechotą, podczas, gdy jazda trzymała szwedzką Rajtarję w głębi wąwozu zapartą. Opamiętał się wreszcie La Montagne, i dawszy znać Snarskiemu, aby puścił Kozaków za uchodzącym nieprzyjacielem, sam rozwinął znowu swych strzelców po grzbiecie ściany wąwozu, i morderczy otworzył ogień na nieszczęśliwych Rajtarów, opasanych ze wszystkich stron w parowie.

— Składajcie broń pasibrzuchy! (wołał La Montagne z góry na Szwedów); proście o pardon i złażcie z koni! A nie, to was wystrzelam do ostatniego jak wróblów!—

Nieomieszkali Szwedzi usłuchać tój rady. Żałośnie mi głosy z całego gardła krzyknęli o pardon, i wszyscy, którzy uciec nie potrafili, poddali się w niewolę.

Ja tym czasem, klęcząc obok leżącego Zygmunta, tamowałem krew, płynącą strumieniem z przesytej kulą piersi jego. Gasnące oko rycerza z roskoszą zdawało się spoglądać na zwycięztwo, które okupił życiem.



Działał on wprawdzie podług rozkazów swojego wodza, ale rozwinął w swém działaniu tyle odwagi, tyle rzadkich wojskowych talentów, iż większa część tryumfu słuszenie się jemu należała; oddał mu też całą sprawiedliwość Gąsiewski. Zaledwie się bitwa skończyła, ujrzelśmy go z największą skwapliwością biegnącego do nas. Widziałem na męskiej jego twarzy żal głęboki, tłumiący wszelką radość z otrzymanego zwycięstwa, widziałem łzę w tém oku, które nigdy nad własną nie zapłakało niedolą. Lecz ani zabiegi lekarza, ani żal wodza, ani płacz powszechny rycerstwa, nie zdołały przedłużyć życia ranionemu śmiertelnie. Urywaniem słowa polecił Wojewodzie starą swoją matkę, ścisnieniem skrzepłej ręki pożegnał jego i mnie; przedostatnie słowo jego było — *kraj mój*, ostatnie — Bóg; i bohatérska dusza, ulatując w niebo, zostawiła nam martwe tylko zwłoki tego polskiego *Bajarda*, rycerza bez trwogi i skazy. *Sit illi terra levis!*

Stary Gąsiewski, zacisnąwszy zmarłemu powieki, rozkazał przynieść zdobyte na Szwedach sztandary, i pokrył niemi jego ciało. Rozkazawszy potem zebrać się naszemu oddziałowi, dziękował wojownikom wszelkiego stopnia za męzną wytrwałość w boju, i wydał rozkaz, ażebyśmy z ciałem walecznego naszego pułkownika, z rannymi, z jeńcami i łupami wojennymi, udali się do Dyneburga, naznaczywszy dowódcą naszym syna swego Krzysztofa. Sam zaś na czele swego korpusu, po krótkim wytchnieniu, i po pogrzebieniu ciał po

ległych żołnierzy, puścił się ku Lixnie, dla wyparowania zlamtąd reszty wojsk szwedzkich, składających dywizję generała Horna.

Wracający z pogoni Kozacy, przywieśli z sobą jeszcze kilkadziesiąt niewolnika. Hornowi udało się umknąć z małym poczem jeźdźców, i wpływ przebywają Lixnienkę, dopaść do swojego stanowiska. (\*)

Pochód nasz ku Dyneburgowi postać miał bardziej konduktu, niż tryumfalnego marszu. Widok zwłok Zygmunta, jęki rannych, blade twarze znatonych dwudniowym bojem i trudem wojowników, wszystko to pograżało mię w najsmutniejsze dumania. Tak drogo okupione zwycięztwo zdawało mi się w pierwszej chwili klęską. Blask wojennej sławy wyglądał mi, jak łono srogięgo pożaru, a krwią zbroczone laury spłoty się w jeden wieniec z grobowym cyprysem.

---

(\*) O tęg bitwie wzmiankuje Hylzen w swojej kronice (*Byflanty*) na str. 339 temi słowy:— 1626. Najedźdali Szwedzi powiat Dyneburgski, Gąsiewski Wojewoda smoleński, znakomity w dziełach rycerskich wojennik, fortelnie Szwedów przez namówionego chłopę, który się im za przewodnika nastęrczył, w gęstę u-wiodłasy puszczę na głowę zniósł. Poległ w tęg potęrcze Palkownik Zygmunt Plater, doświadczony dzielnością kawaler.

## VIII.

Po złożeniu zwłok Zygmunta, ze zwykłą czią woj-  
skową, tymczasowie w sklepie kościelnym, zkad, po-  
dług jego ostatniej woli, przeprowadzone być miały  
do grobów rodzinnych w dobrach Indrycy, Krzysztof  
Gąsiewski, spełniając dalsze instrukcje ojca swego i  
wodza, uformował mocny podjazd lekkiej jazdy z Us-  
sarji i Kozaków, na czele którego wyruszył po trakcie  
Rzeżyckim, dla przecięcia nieprzyjacielowi kommuni-  
kacji z opanowanemi przezeń zamkami od granicy Mo-  
skiewskiej. P. La Montagne towarzyszył nam w tej  
wyprawie.

Pierwszy dzień pochodu wielce nas utrudził; cią-  
gle bowiem głuchemi szliśmy lasami, już to brodząc  
w piaskach, już w błocie. Od jeziora *Wyszki* zwane-  
go, i przeprawiwszy się za rzekę *Dubną*, zaczyna się  
kraj mniej lesny, górzysty, mający więcej uprawnych  
gruntów i więcej cokolwiek ludności. Drogi i tu, jak

wszędzie, były bezecne; ale różnaitość widoków i rozleglejszy horyzont, zajmując uwagę i bawiać oko, przyjemnie mi czas skracaly. Puszcze i stepy utrudzają wędrownika najbardziej jednostajnością swojego widoku; osobliwie pierwsze. Na stepie przynajmniej wzrok może sobie bujać swobodnie, jak na morzu, po niezmiernej przestrzeni; w głuchym zaś lesie więziony jest do koła. Ta ponurość zewnętrznych przedmiotów, odbijając się w duszy naszej, zasępią umysł, sprowadza weń nudę, i człek się czuje podwójnie strudzonym. Osłabienie zaś ciała, połączone z osłabieniem ducha, najnieznośniejszym, a dla żołnierza najgorszym jest stanem. Szczęśliwy, kto w podobnym razie umie osłodzić sobie nudę pieśnią. Dobry śpiewak jest oraz dobroczyńcą swoich towarzyszy. Kozacki nasz oficer miał w swojej sotni kilku tęgich *piewców*, w usarskim znaku było także dwóch czy trzech Kujawiaków z donośnym dźwięcznym głosem. Często więc na przemian to brzmiała rzewliwa ukraińska dumka, to się wesoły ozwał mazurek. P. La Montagne, wielki miłośnik śpiewu, znalazł melodję ukraińskich pieśni tak piękną, iż z nich niektóre prznosił nad prowancie *Sirwenty*.

Drugiego dnia pochodu stanęliśmy nad pięknym dużym jeziorem, zowiącém się *Rossen* (\*). Malowna to

---

(\*) Jezioro to zowie się dziś *Rószon*. Dawne jego nazwisko *Rossen*, zachowane w nadaniach i innych starych dokumentach, pochodzi wyraźnie od słowa *Ross*, i okazuje (podług domniemania P. Narbutta, w *Dziejach starożytnych narodu litewskiego*, T. I. str. 175), że było uważane za święte.

okolica, której tylko brakuje ludności, by się stała ożywioną. Wyobrażałem sobie, jak to miejsce staćby się musiało pięknem, gdyby w około téj cudnie rozlanej massy wód przezroczystych, wznosiły się piękne dwory ze swojemi sady i kościoły z wybiegniemi do góry wieżycami.

Uszedłszy jeszcze blisko milę brzegiem wschodnim Rossena, i pominawszy Birzągołę, dowódzca nasz, mając podług swéj instrukcji, oczekiwać w tém miejscu wiadomości od rotmistrza Hylzena, kazał podjazdowi rozłożyć się w małej wioszczynie, zamieszkałej przez kilku rybaków. Stanowisko to nasze było jakby na pół-wyspie, bo między jeziorem Rossenem i drugiem znacznie mniejszem, połączonem z pierwszym wązkim przesmykiem, czyli ciaśniną wodną, przerzynającą szlak rzezycki. Na téj ciaśninie nie było mostu; lecz tylko nędzny promek. Aleśmy tu mieli wszystkie dla oddziału jazdy potrzebne wygody. Obficie na łąkach trawy, czystą wodę, a prócz tego dostatek ryb i zwierzyny. W licznych zatokach tych jezior gęste sitowia ukrywały mnóstwo wodnego ptastwa. Mogliśmy więc w wolnych godzinach używać myśliwskiej ochoty, pływając w rybackich łodziach i strzelając na wyciągi potężne krakwy (\*), tłuste cyranki, kurki wodne i kuliki różnej wielkości i kształtu. Strzelecka ta zdobycz szła potem na kuchnię pod rozporządzenie P. La Montagne,

---

(\*) Rodzaj dzikich kaczek znacznej wielkości.

który ochoczo krzątał się koło ładu i różni, a nauką swą i przykładem ukształcił wkrótce obozowego kuchnię na wysmienitego kuchmistrza. Za tę zaś swoją fatygę wynagradzał sobie u stołu, zając, z heroicznym prawdziwie apetytem, za dwóch przynajmniej.

Takeśmy spędzili trzy dni bez żadnej przygody. Czwartego, ku południu, właśnie gdy ludzie nasi zabierali się do obiadu, czaty kozackie, utrzymujące straż za ciałną, przepawiły się pośpiesznie, oznajmując o zbliżeniu się nieprzyjaciela po szlaku rzezyckim. Zatrąbiono *larum*, powstał zgiełk. Ten odbiegł kotła, ów garnka, inny z napchaną gębą siódłał swego konia. P. La Montagne, po raz drugi, klął Szwedów za niedopieczoną sztukę zwierzyny, a ja długo się nie mogłem dowołać mego hultaja Stefanka. Podał mi nareszcie konia, i sam z wielką biędą, przy pomocy swego kamrata, dosiadł swego; tak się ta zwyczajnie powolna jego szkapa teraz niewiedzieć czemu dąsała. Tym czasem hufiec się zbierał i szykował, a z przeciwnego brzegu ciałny, podstępował mocny podjazd szwedzkiej rajtarii dość niedbale, spuszczać się widać na wodną przegrodę, i bardziej w zamiarze rozpoznania naszego stanowiska, aniżeli ataku. Właściem przyskoczył do mojego pocztu, gdy mój pacholik, jak opętany, wpadł w szeregi takim pędem i z tak przeraźliwym wrzaskiem, że cały szyk zmieszał; mało tego, mijając mnie, konia mojego silnie w bok ugodził. Ognisty mój wierzchowiec, nie przywykły do takiego bodźca, spał się, wziął na

kieł i uniosł mię, pędząc za czwałującym co tchu ku ciałninie Stefankiem. W mgnieniu oka obaśmy wpadli z końmi w wodę. Szeregowcy moi, myśląc, że się to dzieje po komendzie, rzucili się za mną także w pław. Straciłem głowę, starając się już tylko utrzymać na siodle. Chłodna kąpiel umitygowała widać zapał naszych rumaków. Przebywszy ciałninę, dały się już kierować, ale wracać nie było sposobn, bo moi szeregowcy wślad za mną dosięgali brzegu, a Lamontagne widząc nasze położenie, dążył ku nam z nowym poczem przez wodę. Zdumieni tym niespodzianym widokiem Szwedzi, wahalі się niepewni, czy się z nami bić czy uciec; my zaś, nie dając im czasu do namysłu, i nie mogąc już inaczej, uderzyliśmy na nich po desperacku, i ten atak nieregularny, ale śmiały, sprawił w ich szeregach zamieszanie. Tym czasem cug za cugiem i husarze i kozaki przebywali w pław ciałninę, wzmacniając nasz hufiec, a Szwedzi, nie mogąc przyjsć do ładu, pierzchli po krótkim oporze do ostatniego, zostawiwszy na placu kilkunastu zabitych i rannych.

Wojewodzie Gąsiewski, zrazu przerażony niespodzianym wypadkiem, potem uradowany pomyslnym zuchwałości naszej skutkiem, wpadł w końcu w nowy kłopot, gdy mu przyszło odwoływać rycerstwo swoje z pogoni. Trwożyły go szczególnie ciemne bory, w które się zapuszczali i ścigani i ścigający; bo tam być mogła zasadzka. Udało mu się jednak, namordowawszy płuca trębaczy, zgromadzić i przeprowadzić na powrót

przez ciasninę cały podjazd, ze stratą tylko kilku ludzi i koni. Szwedzi stracili kilkadziesiąt żołnierzy w poległych i jeńcach; między ostatnimi był oficer, dowodzący oddziałem, którego wziął w niewolę Lamontagne, raniwszy go w prawą rękę i ubiwszy pod nim konia. Mój Stefanek, nowy Donkichot, jak był pierwszym do ataku, tak ostatni wrócił z gonitwy, i *notandum* pieszo, bo szkapa jego rozparła się heroicznie na polu chwały.

Krzysztof Gąsiewski, rozkazawszy wszystkim pocztom stanąć w porządku, surowymi przemówił głosem:

— Ile z jednej strony sobie i wam, panowie bracia, winszować mogę pomysłnego *eventu* niespodzianej z nieprzyjacielem styczki, ile mi jest miło oddać sprawiedliwość dobrej ochocie i waleczności, jakąście w tej okazali potrzebie, tyle z drugiej ubolewać przychodzi nad tém, iż zgwałcenie wojskowej karności zamściło na ten raz świetność naszego zwycięstwa. Jako naczelnik tego oddziału wojska, uchybiłbym méj powinności, puszczając płazem przestępstwo, które, pomimo chwalebnej odwagi rycerstwa, najgorsze mogłoby sprowadzić nań skutki. Zmuszony tedy jestem do nader przykrój dla mnie przystąpić czynności, chcę mówić, do odkrycia i ukarania winnego w daniu fałszywego do ataku hasła. Mości Panie Towarzyszu Jordanie! Wystąp waszmość przed front! — Za czym rozkazem rzuciłeś się waszmość ze swym pocztem pierwszy w pław przez wodę i uderzyłeś na nieprzyjaciela?



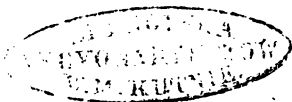
— Uczyniłem to przeciw mej własnej chęci i woli (odpowiedziałem). Pacholik mój, naskoczywszy mię z tyłu, ugodził pomijając, potężnie mojego konia, ten zaś mnie uniosł i wpadł ze mną w wodę, pomimo, że m usiłował wstrzymać go i zwrócić nazad. Nie wydałem żadnego hasła do ataku, wołałem tylko na unoszącego się przedemną pędem luzaka, aby się zatrzymał, nie mając inaczéj nadziei ubamowania mojego konia. Szeregowi wzięli to widać za hasło, bo się puścili za mną, a kiedym się opatrzył na przeciwnym brzegu, nie było już sposobu do odwrótu, i musiałem, *volens nolens*, natrzeć.—

'Zapytywani kolejno szeregowcy mojego pocztu, utwierdzili zgodnie rzetelność mej explikacji.

— Przywołać więc, (rzekł dowódca) luzaka, który był, jak się okazuje, sprawcą fałszywego poruszenia.—

Wystąpił przed front zdemontowany Stefanek, oszarpany, obłocony, z guzem na łbie i z kresą na policzku. Zapytany o przyczynę dziwnego swego zapędu, złożył winę na swojego konia; widać jednak było, iż nie śmiał odkryć, co istotnie pobudziło spokojną szkapę do takiego szaleństwa. Dopomógł mu jeden z jego kolegów ciurów, prosząc, aby mu wolno było objaśnić rzecz całą. Otrzymawszy to pozwolenie, odezwał się w te słowa:

— Bo, widzi pan pułkownik, kiedy zatrąbiono na trwogę, my wtenczas ze Stefanem mieliśmy właśnie, za pozwoleniem jegomości, zdjąć z ognia garnek z ka-



szą; a kasza była doskonała, ze słoninką pokrajaną w drobne kostki. Otoż, kiedy powiedzieć prawdę, żal nam się zrobiło oddać ją djabłu. Więc mówię do kolegi: jakby to zrobić, żeby nie przepadła? A on mi na to: — mam-ci ja worek, wpakujemy weń kaszę i weźmiemy ze sobą, co? — Dobrze mówisz, — odpowiedziałem, — i obwinąwszy garczek płachtą, włożyłem do miecha, a gdy Stefan przywiódł konie, przytroczyłem ten bagaż do jego siodła. Postrzegłem już za późno żeśmy głupio zrobili, bo garnek rozpalony zaczął wnet dopiekać szkapie i zaledwie biedaczysko na nią się wgramolił, wzięta bestja na kieł, i poniosła się jakby ją, za pozwoleniem pana pułkownika, bies opętał. I w samej rzeczy musiał on być w tej sprawie, inaczejbyśmy nie byli wpadli na taki głupi koncept. Ale chwala Bogu, djabeł na końcu się poszkapił, bo nie Szwedzi za kaszą, ale kasza popędziła za Szwedami. —

Dowódzca nie mógł się wstrzymać od śmiechu, za jego przykładem śmieli się oficerowie, a wnet i szeregowi naśladowali starszych; trudno też było nie śmiać z tak dziwnej przygody. Przestępcy, po upomnieniu, wyszli na sucho bez cielesnej, na ten raz, kary, a mój szczęśliwy, choć nie mądry Stefanek, dostał jednego ze zdobytych na nieprzyjacielu koni, i nadto jeszcze przydomek, *kasza za Szwedami*. (\*)

---

(\*) Do dziś dnia zowie się u nas kasza jęczmienna ze słonią, *kaszą za Szwedami*; widać tylko, że przez zepsucie zamieniono, ze smoką sensu, przyimek *za* na *ze*.

## IX.

Nazajutrz po bitwie, którą tak dziwnie sprowadziła *kasza*, przybył do nas od rotmistrza Hilzena podkomendny jego oficer Eisbach, wzywając naszego dowódcę, aby ze swym oddziałem pośpieszał do Rzeżycy, dla wzmocnienia jego komendy, złożonej z komputu inflanckiej szlachty, z którą się zabierał do wyparcia Szwedów z rzeżyckiego zamku. Tegoż dnia i ja też otrzymałem gońca z domu. Był to syn arendarza karczmny naszej, młody, zwinny żydek, który z przebiegłością narodowi swemu właściwą wyszedł stanowisko nasze i manowcami szczęśliwie do mnie trafił. Wprawdzie schwytali go nasi Kozacy, i nieborak dostał kilka nahałów przez plecy, nim zdołał wybełkotać moje nazwisko; poczem przyprówdzono go do mnie bez dalszych już na skórze jego indagacyi. Kiedyśmy zostali sami, Dawidek,

pocierając grzbieta i przeklinając po żydowsku Koza-  
ków, zdjął ostrożnie jarmólkę i wyprót zaszyty w niej  
list, na którym z niewymówną radością postrzegłem rękę  
Roazy. Ścisnąłem żyda w uniesieniu radości, chociaż  
się wypraszał od tego honoru, mając zbolełe plecy. Po-  
cieszył się jednak, otrzymawszy ode mnie całego talara.  
a Stefanek, jako stary znajomy, wziął go pod swoją  
protekcję, i bronić od wszelkiej napaści obiecał.

List Roazy zawierał co następuje :

„Wielka mię, kochamę Jordanie, dręczy niespokoj-  
„ność o ciebie i o list mój, który ci posłałam przez  
„starą Cyganekę do Dyneburga. Dwa tygodnie już upły-  
„wa, a Małachna nie wraca. Tymczasem szerzą się roz-  
„maite wieści o zaszyłych ze Szwedami bitwach. Ks. An-  
„zelm otrzymał od pana Wojewody wielce smutną wia-  
„domość o śmierci zacnego sąsiada naszego Zygmunta  
„Platera, poległego w boju, z poleceniem, aby osiero-  
„conej matce nieboszczyka doniósł o tém nieszczęściu.  
„Rzecz więc pewna, że była bitwa. Podług słów Wo-  
„jewody, Bóg dał wam zwycięztwo; ale czyś ty nale-  
„żał do téj potyczki, czy z niej wyszedłeś cały, o tém  
„pewności niema. Jeśli cię Bóg — jak mam nadzieję  
„w Jego miłosierdziu — zachował, jeśliś zdrów na ciele,  
„dusza twoja srodze boleć musi nad stratą przyjaciela.  
„Myśląc więc, że pisanie moje sprawi ci pociechę, i  
„chcąc oraz mieć pewną wiadomość o tobie, postano-  
„wiłam, bądź co bądź, wyprawić znowu z listem po-  
„słańca. Szło tylko o to: kogo? — Po długich namy-

„słach zdecydowałem się użyć znajomego ci Dawidka.  
 „Dostrzegłam, iż lud żydowski, pomimo że wygląda  
 „bojaźliwym, dla zysku chętniej naraża się na niebez-  
 „pieczeństwa, niżeli z naszych który. Jednej rzeczy tyl-  
 „ko nie zna: usługi bezinteresownej. Tak też i Dawi-  
 „dek: zrazu słuchać nie chciał, ale skoro tylko ujrzał  
 „dobrą nagrodę, zgodził się iść szukać ciebie, choćby  
 „śród nieprzyjaciół. Obiecał mi także przynieść wiado-  
 „mość o Małachnie. Mówiła mi Agnieszka, że temi dnia-  
 „mi byli u niej jacyś ludzie nieznajomi, zapytując azali  
 „nie wróciła Małachna? Jeden z nich wyglądał z twa-  
 „rzy na Cygana, a drugi na Łotysza, oba zaś mieli minę  
 „ludzi podejrzanych. Oznajmiłam o tém państwu: wy-  
 „stano ich szukać w puszczy, ale nigdzie nie znaleziono.  
 „Donoszę ci o téj okoliczności jedynie dla tego, żebys  
 „nie myślał iżem zapomniała jak mi trzeba być ostróż-  
 „ną. Ks. Anzelm nauczył mię niedawno pięknego psal-  
 „mu z psalterza Jana Kochanowskiego: *Kto się w opie-*  
 „*kę poda Panu swemu* i t. d. Ile się razy czuję upa-  
 „dającą na sercu, wnet psalm ten odmawiam, i dziwne-  
 „go zaraz doznawam uspokojenia. Radzę ci, kochany  
 „Jordanie, codziennie, z nabożeństwem w duchu, śpiew  
 „ten święty podnosić ku niebu, bo w nim coś jest na-  
 „pełniającego serce ufnością i pokojem. Co też to bo-  
 „wiem za szczęście wierzyć w Boga, ufać mu, i zga-  
 „dzać się we wszystkiem z wolą Jego przenajświętszą!  
 „Oczwisty mam tego dowód w naszej zacnej staruszce  
 „pani Platerowej. Od czasu jak została moją chrzestną

„matką, polubiła mię bardzo; ja zaś od chwili jak ona  
 „straciła syna, czuję w sobie litością, nad jęj nieszczę-  
 „ściem. zwiększone ku nięj przywiązanie. Częścięj więc  
 „niż dawnięj nawiedzam tę biedną panię. O niczēm  
 „prawie nie mówi, jedno o swoim synie, ale z ust jęj  
 „nigdy nie wyszło narzekanie, a tēm mnięj słowo jakie  
 „rospaczy. Żal jęj głębok i wylewa się w rozpamięty-  
 „waniach cnót nieboszczyka, w wyliczaniu dowodów jęgo  
 „synowskięj miłości, i w dziękczynieniach Bogu za szczę-  
 „ście, któreg o jęj tak długo przezeń udzielał, jako i  
 „za tę łaskę, że mu pozwolił chwalebne życie chwale-  
 „bną zakończyć śmiercią.—Jam zawsze (dodaje) życzy-  
 „ła Zygmuśiowi takiego zgonu, prośiłam tylko Boga,  
 „aby mię piérwięj zebrał z tego świata. Wola Jęgo  
 „rozporządziła inaczej i zapewne lepiej. Do nagród, ja-  
 „kie odbierają cnotliwi po śmierci, należą także łzy czu-  
 „łego żalu, wylane na ich mogile. A któż gorętszemi,  
 „serdecznieszemi łzami zdoła zapłakać po zmarłym,  
 „jeżeli nie matka po swym rodzonym, po swym jedy-  
 „naku? Kto szczerzej się za duszę jęgo pomodli? Kto  
 „ściślej ostatnią wolę jęgo wypełni, odgadując nawet  
 „życzenia, których zaskoczony śmiercią objawić nie  
 „miał czasu? A słodko być musi dla duszy, w krainach  
 „wieczności, widzieć spełnione ostatnie swe dobre chę-  
 „ci na ziemi, czuć się tam kochanym jeszcze, błogosła-  
 „wionym, słyszeć modły i wołanie do Boga za sobą.  
 „Tęj słodczy używa teraz mój najmilszy. Lecz ja-  
 „kież będzie moje uniesienie, kiedy skoniczywszy tu smu-

„tne me sieroctwo, złączę się z nim tam na wieki, i  
„gdy on mi powie: Dzięki, matko, za miłość, którąś  
„mi nie tylko za życia, lecz i po śmierci okazała; dzię-  
„ki za dobre uczynki pamiętce mej poświęcone; dzięki  
„za przyczynę świętych, za modlitwy ubogich, które  
„winienem twój ku mnie czułości. Tak jest, moja Ró-  
„ziu, niech będzie błogosławiony Bóg we wszystkich  
„swoich sprawach i sądach. Ciosy jego ręki, mówi ks.  
„Anzelm, przenikają naskrós serce, nie przeto jednak,  
„żeby kaleczyć i mordować, ale raczej żeby je rozszé-  
„rzyć i uczynić przystępniejszém wszelkiemu świętemu  
„natchnieniu. Miecz boleści, jak pług rolnika, kraje  
„w skiby serce chrześcijańskie, by je uprawić i by w niém  
„potém bujnięć się rozwijały i kwitły cnoty na pożytek  
„duszy nieśmiertelnej. — Tak pociesza siebie ta strapio-  
„na matka, i zaiste nie płonne to są źródła, z których  
„czerpa swoją pociechę. Czuję to głęboko, wierzę w te  
„święte prawdy, ale czuję oraz, że nie zdołałabym się  
„zdobyć na tyle męztwa, gdyby mi przyszło utracić cie-  
„bie mój Jordanie! Przeżyć ciebie! jest to myśl, która  
„się w głowie mej nie mieści. Nie ściągnęłabym (broń  
„mię od tego Boże!) ręki na własne życie, nie złorzeczy-  
„łabym Niebu, ale zdaje mi się, że dusza moja sama-  
„by się z ciała mimo mej woli, jak ptak z klatki, wy-  
„mknęła, goniąc za twoją w przestrzenie bész końca.  
„Przebacz, mój drogi, że ci myśl tak smutnemi obra-  
„zy zachmurzam; ale choćbym chciała, nie mogłabym  
„w dzisiejszém położeniu cóś weselszego ci napisać,

„Wielu się rzeczy nauczyłam, wielu dawnych nawy-  
 „knień pozbyłam się, ale nienabyłam i nienabędę sztu-  
 „ki udawania tego, czego nie czuję, nie pozbędę się ni-  
 „gdy szczerości mej i prostoty. Jest to przymiot, który  
 „ceniłam będąc jeszcze poganką i nie znając ciebie; jak-  
 „żeby on nie był mi drogim dziś, gdy wyznaję praw-  
 „dziwą wiarę, i gdy ciebie Kocham? Powiem ci nawet,  
 „że gdybym nie musiała szanować twój woli, gdybym  
 „się nie bała narazić ciebie na jaką przykrość, nie tuiła-  
 „bym mych uczuć przed państwem rodzicami twemi.  
 „Na szczęście oni mię nigdy nie badają o to, pozwalają  
 „mi nawet tęsknić i płakać po tobie, myśląc zapewne,  
 „że boleję nad oddaleniem tylko towarzysza dziecinnych  
 „mich zabaw. Ks. Anzelm jeden zna dokładnie powo-  
 „dy mego smutku; on wie, że cię Kocham całą mocą  
 „serca, ale wie oraz, że ta miłość jest czysta, niewin-  
 „na, a przeto upodobana Bogu. Nie zabrania mi jej  
 „więc z religijnych, ale ze świeckich względów. Ty  
 „wiesz, mój Jordanie, jak mało mię te ostatnie obcho-  
 „dzą. Świat nad mą duszą panowania nie ma. Jakkol-  
 „wiek on tu więc losem naszym rozporządzi, duszy mej  
 „oderwać od ciebie nie zdoła. Ojciec Anzelm, przeci-  
 „wny, jak widzę, naszej miłości, ostrzegłby o niej pań-  
 „stwo, jako ich przyjaciel; ale dał mi do zrozumienia,  
 „że liczy na nasz rozdział, na roztargnienia, jakich ci  
 „dostarczy wojna, i na zmianę twych wyobrażeń z cza-  
 „sem. Pożegnawszy się z ulubioną swą myślą zrobie-  
 „nia z ciebie księdza, przemyśla teraz o znalezieniu dla



„ciebie żony, zamiarom twoich rodziców odpowiadają-  
 „cój urodzeniem i majątkiem. Rozumiesz może, że mię  
 „to zatrważa? Nie, Jordanie! ja tobie ufam, jak sama  
 „sobie; resztę polecam Bogu.”

List ten Roazy sprawił zaiste wielką w mój tęskni-  
 cy ulgę, ale razem nabawił mię niespokojnością o los  
 mojego pisma, powierzonego Cygance. Dawidek nic się  
 o niej po drodze dowiedzieć nie mógł. Odprawiłem go  
 śpiesznie z odpowiedzią, chcąc aby Roaza co najprędzej  
 ją otrzymała; ponowiłem zaś w mém piśmie prośbę,  
 aby się nie oddalała na krok z domu, szczególnie do cha-  
 ty gajowego nie chodziła, chyba w towarzystwie zaufa-  
 nych osób.

Ledwiem ukończył tę czynność, zaczęto przeprawę,  
 i młody dowódzca Gąsiewski, sprawiwszy cugi, powiódł  
 nas gościńcem ku Rzeżycy. Pochód to był niebezpie-  
 czny. Przebywaliśmy gęste bory, grożące nam zasadzką.  
 Widziano albowiem w tej stronie Szwedów, i ten od-  
 dział Rajtarji, z którym mieliśmy dniem przedtém spot-  
 kanie, należał (jak nam powiadali jeńcy) do dywizji pół-  
 kownika Laskopela, ciągnącej z Sesweja ku Dynebur-  
 gowi. Komenderowany dla furazowania, zabrnął pod-  
 jazd ten w lasy, stracił dyrekcją i chciał drugą stroną  
 jeziora Rossen dążyć za swoim sztabem, a wtém się  
 z nami spotkał i znowu się w też lasy cofnąć musiał.  
 Szliśmy zatém z największą ostrożnością, ale gościńiec  
 znaleźliśmy wolny, i nie ujrawszy nieprzyjaciela, sta-  
 nęliśmy na nocleg w Fejmanach. W tej pięknej maje-

tności, nad dużym jeziorem, w wygodnym i dość malowniczym położeniu, znaleźliśmy dwór drewniany, ale porządny, i byliśmy w nim uprzejmie przyjęci i ugoszczeni przez znajomego nam pana Jodkę.

Nic miłszego dla żołnierza strudzonego bitwą i pochodem, jak znaleźć gościnne przyjęcie w zamożnym obywatelskim domu. Powołanie wojskowe ma tę w sobie niedogodność dla człeka z uczuciem, że go wśród wojny wystawia nie tylko na fizyczne, ale i częstokroć na moralne udręczenia. Obyczaje obozowe, niedbałość dowódców w utrzymaniu karności, czynią z żołnierza jakby plagę własnego nawet kraju (\*). Szczególnie w czasie wojny nieszczęśliwy rolnik doznaje ucisku nie tylko od nieprzyjaciół, lecz nieraz i od obrońców. Strudzony, zgłodniały, zziębły wojak, wpadłszy do mieszkania wieśniaka, domaga się natarczywie zaspokojenia głównych potrzeb życia, a wiedziony egoizmem nie dba iż czasem ostatni kęs gospodarzowi od gęby oderwie; mało go obchodzi, iż ostatnią wiązką znalezionego siana konia swojego nakarmi. Zaczyna od prośby, a gdy tą niewiele wskóra, używa musu i własnego ziomka niejako rabuje. Ztąd rzadko kiedy wojskowy z cywilnym w zgodzie; ztąd chłodne zwykle przyjęcie wojskowych w domach nawet szlacheckich. Jakże

(\*) Zagodny Wirgiljusz musiał się obruszyć przeciw ówczesnym wojskom, kiedy wykrzykuje z taką mocą:

„Impius haec tam culta novalia miles habebit!

„Barbarus has segetes!”

*Przypisek ks. Jordana.*

zaś przykro człowiekowi mającemu uczucie delikatności narzucić siebie komu, być nieproszonym, a co gorsza uciążliwym dla gospodarstwa gościem!

Mówię tedy, że w Fejmanach znaleźliśmy i uprzejmość i wygody. Pan podczaszy lidzki Jodko, rodem Litwin, przez ożenienie z panną Frejberkówną, został obywatelem ks. inflanckiego; człek bardzo dostatni, rad był pokazać się, jak mówią, przyjmując w swe progi Wojewodzica Gąsiewskiego.

Mnie czekało w tym domu wcale niespodziane ukontentowanie. Ledwie zsiadł z konia, ujrzałem na ganuku ojca Anzelma. Przywitanie nasze było serdeczne. — Dzięki niech będą Bogu — rzekł do mnie starzec, ściskając głowę moję w swych rękach — że cię widzę zdrowego, boś ty zapewne był w tój morderczej bitwie, która kraj pozbawiła walecznego wojownika, a nas miłego sąsiada? — Tak jest, *Reverende Pater!* — wrzucił P. La Montagne, — młody mój kamrat był w tój gorącej łaźni, którą nam pan Wojewoda kazał zgotować dla Szweda, i muszę mu dać świadectwo, że się lepiej sprawił a niżeli się można było spodziewać po nowicjuszu. Teraz mu to pójdzie jak z płatką, bo już zna zapach prochu i kolor krwi nieprzyjaciela. — Niestety! — odparł mu z westchnieniem kapłan — krew to jest ludzka. Nie ehciałbym, aby Jordan kiedykolwiek patrzeć mógł na nią z obojętnością. — Pan La Montagne ruszył lekko ramionami, i odszedł nócąc swoją ulubioną piosnkę:

„*Tant que vivrai en âge fleurissant,*  
 „*Je servirai l'amour et Mars l'armipotent* (\*).

Ja upewniłem ojca Anzelma, że tylko obrona własnej ziemi przewycięża we mnie wstręt do krwawego rzemiosła, któremu się poświęciłem.— Pewny tego byłem— odpowiedział uradowany starzec — bom przecie nie napróżno uczył ciebie, moje dziecię, kochać tych wszystkich, za których nasz Zbawiciel przełał swoje krew przenajdroższą. Ale wejdźmy do środka. Trzeba bym cię zapoznał z familją gospodarza domu.—

Weszliśmy do obszernej komnaty, gdzie już Wojewodzie siedział w paradnym krześle obok pani Podczaszynie, przy której boku zajmowała miejsce jej siedemnastoletnia córka, miłego dość oblicza panienka, ale trochę ułomna.

Pan Jodko przyjął mnie jak znajomego i jak syna swego przyjaciela, a ujawszy za rękę, wiódł ku swężonie i rzekł do niej:—Rybenko! za pozwoleniem pana Wojewodzica dobrodzieja, rekomenduję tobie młodego pana Jordana, syna mojego zacnego przyjaciela i koligata.— Pani Podczaszyna i panna Podczaszanka powstały, a ja, wedle zwyczaju, ale nie bez ambarasu, ucałowałem rękę naprzód matki, potem córki.— Kostusio! — rzekł do téj ojciec — dó waćpanny należy zabawić tego gościa, jako powinowatego, a waćpan racz usiąść — dodał, ukazując mi stołek obok sto-

---

(\*) Z łacińskiego: *armipotens*, bojogromny; przydomek Marsa.

jący. Panna Konstancja splóniwszy się, spuściła oczy; ja także, patrząc w ziemię, miałem do czynienia z rzymkami mojego pendentu; i tak długośmy siedzieli, szukając treści do rozmowy. X. Anzelm spoglądał na mnie z boku z nieukontentowaniem, a La Montagne gryzł sobie palce, żeby się nie śmiać ze smutnej mojej postawy. Spostrzegłszy to, zacząłem konwersację; ale coś się nie kleiło. Panna Podczaszanka odpowiadała monosyllabami, i zamiast cośmy się mieli bawić, znużiliśmy się srodze oboje.

Tymczasem w przyległym pokoju zastawiono wieczerzę. Brzęk talerzy i sztucców mile mi doleciał do uszu. Zgłodniały i znudzony czczą rozmową z nieruchomą moją sąsiadką, wdychałem do chwili zajęcia się czémś posilniejszém. Wina była jednak z mojej strony, żeśmy siedząc obok siebie jak dwa posągi, nie znaleźli nic sobie powiedzieć zajmującego. Jakieś złe przeczucie odpychało mnie od téj panny. Porównyując jej sklezione pleczi z różną kibicią Roazy, wyraz niemy jej twarzy z mówiącą fizjonomją tamtéj, dreszcz mi zimny przechodził na tę myśl, że nie było rzeczą niepodobną, aby mi to niedołęzne stworzenie chciano kiedyś narzucić za żonę. W takich myślach nie mogłem znaleźć się przy niej jak należy; ona zaś, przez delikatny instykt płci swojej właściwy, poznała od razu, że nie zrobiła na mnie przyjemnego wrażenia; to uczucie, z przekonaniem o niedostatku wdzięku powierzchownego, podwajało w niej nieśmiałość, napęł-

niało serce goryczą i zamykało usta. Widząc to ksiądz Anzelm, usiadł przy nas i wniósł się do rozmowy, czyli bardziej rozpoczął ją, żądając abym opowiedział przygody, które mię spotkały od wyjazdu z domu. Zmuszony być powolnym rozkazowi mego nauczyciela, opisałem bitwę w lesie i zgon walecznego Zygmunta. Opowiadanie to rozgrzało moje wyobraźnię. Mimowolnie wpadłem w zapał, opisując wypadki, które tak silne w duszy mojej zostawiły wrażenie, a w miarę jak mię uczucie czyniło coraz wymówniejszym, panna Konstancja zdawała się także ożywiać. Jej oczy dotąd spuszczone podniosły się i zwróciły ku mnie z wyrazem. Słuchała z natężoną uwagą, i chociaż nic nie powiedziałem o sobie, widać było, że nie wątpiła o czynnym udziale, jaki miałem w tych bitwach, i że mię przeto uważała godnym swojego szacunku. Postrzegłem tę w niej zmianę, i wyznać muszę, że mi nie była nieprzyjemną. W każdym z nas jest mniejsza lub większa kromka téj próżności, która czyni, że sprawione na umyśle niewiasty silne wrażenie, zniewolenie téj płci do oddania hołdu naszej wyższości, uważamy za rzecz nader dla nas pochlebną. Ja też spostrzegłszy te oznaki na obliczu zimnej przed chwilą sąsiadki, podwoiłem usiłowania, aby się w jéj opinii podnieść jak najwyżej. Zapał, z którym mówiłem, (obrócony już do niej, nie zaś do księdza, jak wprzódy), ściągnął uwagę kilku innych osób, które się ku nam zbliżyły, a w ich liczbie był i La Montagne. Fi-

zjonomja panny Konstancji tak się w końcu rozjaśniła, oczy jój tak mile na mnie patrzyły, że kiedy za oznajmieniem wieczerzy, z widocznym jój żalem, moje opowiadanie zamknąć musiałem, Francuz, odciągawszy mnie na stronę, szepnął mi do ucha: — Panie Jordanie! strzeż się, żeby się czasem panna Roza nie dowiedziała o wrażeniu, jakie usiłowałeś sprawić swoją wymową na sercu panny Jodkówny. — Te słowa żywo mię ubodły, bom nie mógł się zaprzeczyć chętki popisania się, szczególnie przed nią, z swoją wymową. Nie stałem się przez to niewiernym Roazie; zgrzeszyłem tylko próżnością, ale ta próżność mogła naruszyć spokój córki przyjaciela mego ojca i dla mnie samego przykre wyrodzić skutki. Wnet się o tém przekonałem, zajmawszy u stołu wskazane mi miejsce obok Podczaszanki. Wszyscy obecni spoglądali na nas, jakby na parę mającą się kiedyś dożywotnie połączyć. Pan Jodko rzekł do żony pół głosem: — Rybeńko! patrz tylko jak się Jordaś z Kostusią prędko zapoznali. Gadają z sobą jak z partesów. — Ona mu zaś na to odpowiedziała kiwnieniem głowy z uśmiechem ukontentowania. X. Anzelm widocznie był uradowany, i siedząc obok Wojewodzica, coś także temu na nasz rachunek powiedział, bo się Gąsiewski, spoglądając na nas, uśmiechnął, jakby aprobował missjonarza wniosek. Zachmurzyłem czoło, uważając, że własną nierozwagą pogorszył niebezpieczne moje położenie, że niewczesną chęcią popisania się z retoryki, wysta-

pienia z pięknymi sentymentami, dałem powód nie tylko pannie i jej rodzicom, ale, co gorsza, X. Anzelmowi do wniosków całę przeciwnych rzeczywistym uczuciom mojego serca. La Montagne posadzając mię także cokolwiek o zmienność, zapytał księdza o Roazie. Na to imię zapłonilem się jak warem zlany, i dla ukrycia pomieszania mojego, schyliłem się, szukając niby upadłej pod stół serwety. Gdym się podniosł potem, oczy me spotkały się z przenikliwym wzrokiem mego nauczyciela. Odpowiedź jego Francuzowi była krótka i sucha, ale ten lis szczwany nie dał się tém odprawić. Z zapałem ją opowiadać o rzadkich przymiotach tego dziecka natury, jak ją nazywał, oddając razem zasłużoną pochwałę duchownemu jej ojcowi, który tak pięknie umysł jej ukształcił. Z lekką złosteczką dziwił się cudownemu przeistoczeniu dzikięj dziewczyny w dobrze wychowaną pannę. — Gdyby nie wiek, stan i znajome powszechnie cnoty Ojca Anzelma — dodał tonem wesołym lecz bez przekąsa — powiedziećby można, że miłość tylko podobne czyni cuda. — Na to mu odpowiedział Jezuita z godnością: — Gdyby pan kapitan raczył sobie przypomnieć jak wielką jest moc Boża, jak potężny i dobroczynny jest wpływ świętęj naszej wiary na serca proste i czyste, na umysły niezepsute, uznałyby w oświeceniu tēj dziewczyny dzieło religji, i nie potrzebowalby szukać cudów świeckięj fabryki. — Niestety! mój Ojczę! rzekł La Montagne — świecki jak ja człowiek do świeckięj też fabryki chodzi



po cuda. Ale tymczasem *Reverentia Vestra* dałeś mi należycie *ad intendem!* Nasz *l'Abbé Godeau*, faworyt Kardynała, i nawet sławny *Père André* Augustjanin, lepiejby nie odcięli. A *propos* tego zakonnika, przychodzi mi na myśl anegdotka, którą państwu opowiem, bo jest zabawna, a przy dobrej, jak ta, wieczery, wesoła rozmowa przykłada się do strawności. Otoż mój *Père André* siedział raz w konfessjonale; przystępuje doń jeden z pierwszych paryzkich adwokatów, spowiada się, ale zbyt lakonicznie. Ksiądz, nic się nie dopytawszy, kazał penitentowi za pokutę przyjść tegoż dnia na wieczorne kazanie. Adwokat przyszedł. Ewangelja na ten dzień była: *daemonium mutum* etc. — A więcież słuchacze! — rzekł X. André z ambony — co znaczy *daemonium mutum*? Znaczy oto adwokata, który się spowiada. Posłuchaj go u kratek — gęba mu się nie zamyka, a jak przyjdzie do konfessjonału, staje się zeń djabeł niemy, *daemonium mutum*, o którym, mówi dzisiejsza Św. Ewangelja.

Ta pustota rozśmieszyła całą kompanją, a ja wolniej odetchnawszy, mniej się już gniewałem na Francuza. Jeden tylko biesiadnik nie podzielał rozbudzonej wesołości. Był to adwokat sprowadzony z Litwy przez pana Jodkę do prowadzenia jego interesów. Siedzący obok niego obywatel rzeżycki pan Wejssenboff, spostrzegłszy kwaśny jego humor, rzekł mu — Nie zważaj na to, panie regencie! Co kraj, to obyczaj. A potem ta dykterijka stosuje się do palestry paryżkiej, nie

zaś do ludzkiej. Nie słyszałem aby kto ludzkiego mecenasa nazwał kiedy djabełem niemy. — Zaperzył się trochę patron i odrzekł panu Wejssenhoffowi: — w Paryżu czy w Lidzie porównanie kaznodziei równie nie do rzeczy: bo raczej adwokaci są spowiednikami swoich klientów, i nieraz wtedy z djabełem mają do czynienia. — Pan Wejssenhoff chciał na to nowym konceptem replikować, lecz Podczaszy, bojąc się śnać, aby do zbyt zwawych nie przyszło docinków, zwrócił na moją biedę rozmowę znowu do pierwszego przedmiotu, mówiąc:

— Rzec to istotnie dziwna z tą dziewczyną. Zkąd się wzięła w lesie? Wnosić trzeba że ma rodzinę, a z opowiadania pana Cześnika wypada, że tam, gdzie ją znalazł, nie podobna supponować, aby mieszkali ludzie.

— W okolicach Marynauzu — wtracił pan Wejssenhoff — dużo jest, mówią, osad pogańskiej Łotwy, kryjących się w niedostępnych starzynch.

— Może i tu być coś podobnego — rzekł X. Anzelm.

— A czemuż pan Cześnik za pomocą téj dziewczki nie starał się odkryć przytułku pogańskiej dziczy? — zapytał pan Regent.

— Z początku trudno się było z nią rozmówić, a później już nie była w stanie, choćby nawet chciała, znaleźć drogi do swéj chaty.

— Cóż ona przecie mówi o swéj rodzinie? — zagadnął księdza Gąsiewski.

— Mówi, że zostawiła starych rodziców. Więcój niczegośmy się od niej nie mogli dowiedzieć.

— A tam być może i liczna osada — przymówił pan Ryck.

— Może być — rzekł na to ksiądz — ale Rozalja uporczywie o tém milczy.

— Ależ z tego wynika szkoda dla pana Wojewody! — wykrzyknął gospodarz.

— Jabym — odezwał się pan Regent — zyczył surowiej indagować, wybadując upartą dziewczkę *etiam* korporalnie. . .

Na te słowa takie uczułem w całym sobie wstrząśnienie, żem upuścił z ręki szklany kubek, który niosłem do ust. Naczynie natrafiło na stojący przede mną cynowy talerz, rozprysło się w sztuki, oblewając mnie i moję sąsiadkę — na szczęście — czystą kryniczną wodą.

— *Pereat causidicus!* — zawołał La Montagne, i byłby wszczął z adwokatem zwadę, gdyby Gąsiewski nie zreflektował go kilku słowy w języku francuzkim. Pan Podczaszy zaś skinął na Regenta, zalecając cierpliwość; ten mruknął: — Słucham. Z pijanym-bo niema rzeczy — i zamilkł.

Gdy się ucisz yli, ks. Anzelm zapytał pana Jodkę: jaka, podług jego mniemania, wynika szkoda dla Wojewody z nieodkrycia téj osady pogan?

— Szkoda oczéwista — odparł mu tamten — bo

odkrywając tych ludzi, pomnożyłby pan Wojewoda liczbę swoich poddanych.

— A to jakim prawem? —

— Przywilejem J. Królewsk. Mci, albo i sejmową konstytucją. —

— A kiedyby ci poganie przyjęli prawdziwą wiarę? —

— Nie przeszkodziłoby to wciągnięciu ich w inwentarz, i chodziliby potem na pańszczyznę, *qua glebae adscriptitii*. —

— Bardzo WMśc pana dobrodź. przepraszam. Na to ani król, ani sejm, nie są władni dać przywileju. Na ziemię co innego, ale wkładać *onera servilia* na pogan do wiary nawróconych, zabraniają wyraźnie ustawy Kościoła; mianowicie *Breve* Innocentego III. i *Bulla* Grzegorza IX. Papieży. Nic się bowiem bardziej nie sprzeciwia nauce Chrystusa, jak niewola. Człek, który używał swobody będąc poganinem, miałżeby ją utracić przyjmując chrzest święty? stając się członkiem téj religji, której zasadą jest braterstwo między wszystkiemi ludźmi?

. — Ale Krzyżacy, nasi poprzednicy, nie uważali na te ustawy; oni pogan Łotyszów nawracali, stając się oraz dziedzicznemi ich panami.

Nadużycia Krzyżaków nie powinny być przykładem dla dzisiejszych bogobojnych posesjonatów inflanckich. Bóg te ciężkie zakonu krzyżackiego grzechy, ciężko pokarał. Potęga krzyżacka stopniami upadała, obyczaj wraz z dyscypliną, coraz się rozpręgały, aż nakoniec

wielki mistrz Albrycht Brandeburski, zhańbił cały zakon swoją apostazją; hermistrz inflancki, Walter Plettenberg, stał się także odstępcą Kościoła, a dziś już większa część niegdyś prawowiernych Inflant zarażona jest herezją Lutra. Oto są skutki lekceważenia, w jakiejkolwiek okoliczności, rad i przepisów Kościoła. A zatem, jeżeli powinniśmy się starać odkrywać przytulki biędnych pogan, to nie w celu ich ujarzmiania, ale jedynie dla oświecenia ich światłem wiary.

—Serdenko!— odezwała się pani Jodkowa do męża— nie spieraj się jegomość z ojcem Anzelmem.

—Bądź spokojna, rybenko!— odrzekł Podczaszy— wiesz jak szanuję we wszystkim zdanie wielebnego. To nie był spór, ale tylko dyskusja, i bardzo dla mnie pożyteczna: bo przyznam się, raz pierwszy się dowiedziałem o tych bullach papieżkich.

—Jmć pan Podczaszy— domówił Jezuita— dobry jest statysta i równie dobry katolik, a przeto rad się oświecać w rzeczach duchownych, aby zgodnie z ustawami Kościoła świeckie urządzać sprawy. Między nami nie bywa więc sprzeczek, ale nawzajem sobie udzielamy światła i wiadomości, każdy ze swojej sfery.

—Pierwszeństwo przy jegomości— odpowiedział mu P. Jodko pochlebiony komplementem.— *Praesente clerico tacet laicus.*—

Ja tymczasem przeproszałem pannę Konstancję za moją niezgrabność; ona zaś, otarłszy twarz i suknię z kropel spadłej na nią wody, zapytała mię, czy w samą

rzeczy ta Łotewka tak była piękną i dobrze wychowaną, jak o niej mówił Francuz? — Pomieszczenie moje doszło do najwyższego stopnia. Bojąc się zdradzić, odpowiedziałem z udaną obojętnością, a przez to samo nienaturalnie. Na szczęście w téjże chwili wstano od stołu; Podczaszanka nie mogła więc dostrzedz mego ambarasu, a zapewne posądziła P. La Montagne o exaggeracyę, pochodzącą ze zbytecznie rozgrzanój winem imaginacyi.

Udręczenie moje na tém się nie skończyło, bom usłyszał po wieczerzy nową o Roazie rozmowę między P. Rykiem i regentem lidzkim. Ostatni zgorszony był położeniem chłopki na stopie niejako równości w domu rodziców moich; na co mu pierwszy odpowiedział przytoczeniem prawa publicznego, przyznającego szlachectwo wychrzczonym żydom, mahometanom i t. d. Nakoniec i ojciec Anzelm wmięszał się do dysputy, nastając na znaczenie charakteru rodziców chrzestnych, a ztąd na bliższe ich z chrzestnemi dziećmi stosunki. Usprawiedliwiał zatem przypuszczenie Roazy do większej, niżeliby to w innym składzie rzeczy wypadało, pofałości, kiedy zwłaszcza, jak postrzegał, dziewczyna pomimo tego faworu umiała zawsze zachować się w granicach posłuszeństwa i pokory, niższemu stanowi przyzwoitych. Na to nie mógł już P. Regent nic innego powiedzieć, jedno ulubioną swoją sentencyę: „*est modus in rebus;*” i ruszywszy lekko ramionami, odszedł.



## X.

Nazajutrz o świcie ruszyliśmy w dalszy pochód, a hufiec nasz zwiększony został zbrojnym kontyngensem, który pan Jodko sumptem swoim stawiał pod rozkazy pana rotmistrza komputu inflanckiej szlachty.

Przed pożegnaniem ks. Anzelm wzięwszy mnie na stronę, oznajmił, że chęcią moich rodziców było, abym się starał pozyskać dla siebie affekt Podczaszanki i łaskę jej rodziców, w celu osiągnięcia kiedyś ręki tak zacnej i posażnej panny. Przerażony tym wyrokiem, i nie widząc innego środka odwrócenia Ojca Anzelma od jego zamiaru, zapytałem: czemu odstąpił dawniej swój myśli co do obrania dla mnie stanu? — Nie zapieram się, mój synu — odrzekł z westchnieniem, — żem z serca pragnął widzieć kiedyś ciebie członkiem towa-

rzystwa Jezusowego; nie taję, że mi nader było boleśnie póżegnać się z tą ulubioną myślą. Zamiłowanie mojego stanu, cześć, jaką mam dla wielkiego zakonu, który mię niegodnego przyjął na swe łono, oraz przywiązanie moje ku tobie, kazało mi żądać tego dla ciebie szczęścia. Ale Najwyższy w swoich wyrokach rozrządził inaczej; może też i ukarał mię za moją prezumpcyę. Widzę teraz, że należało ciebie oddać do konwiktu na edukacyę. Tambyś pewnie nabrał duchownego powołania, bo zapaliłbyś się przykładem młodzianów równych tobie wiekiem, a tak wyższych świętobliwością, tak żarliwie wstępujących w ślady Ignacych, Xawierów i Roderyków. Widziałbyś, mówię, nowicjuszów, ten zbiór aniołów skromności, pokory, pobożności i posłuszeństwa, a dusza twoja czuła i niewinna zapragnęłaby tych niebieskich roskoszy, jakich świat dać nie może. Należało mi więc, mówię, nalegać na twego ojca, ażeby cię oddał do konwiktu. Jam tego nie uczynił, bo znajdowałem wielką słodycz nauczać ciebie prawd świętych i kształcić twój młodociany umysł. Cudowny jest to związek między nauczycielem a uczniem, szczególnie między ojcem duchownym a jego dziecięciem w Chrystusie. Jest w tém coś tej niebieskiej miłości, jaką obdarzał Zbawiciel Ś. Jana, jaką później czuł apostoł Paweł dla Tymoteusza; miłości najdoskonalszej, jaka być może między ludźmi na tej ziemi. Ale w grzesznym człowieku i ta miłość może się przerodzić w słabość; moja przynajmniej ku



tobie, zdaje mi się, téj uległa zmianie, bo mię uczyniła ślepyim względem większego pożytku, jakibyś odniósł edukując się w kowikcie, a kazała zatrzymać cię w domu pod moją własną dyrekcyą i strażą. Zewnętrzne wypadki, jakich nie przewidywałem w zbytniej w sobie ufności, zniweczyły ostateczne moje względem ciebie zamiary. Śnać, że się nie podobało Bogu powołać cię do swéj winnicy, luź może, iż mnie chciał ukarać za zbyteczne upodobanie w moim z tobą duchownym związku: przeznaczonyś już dzisiaj do stanu świeckiego. Widząc w tém wolę Bożą, mam obowiązek czuwania nad tobą na téj nowéj i wielce niebezpiecznéj drodze. Wojenne rzemiosło krótkim zapewne będzie ustępem w biegu twojego życia. Z końcem, da Bóg rychłym wojny, włożysz w pochwy miecz twój, dobyty dziś w obronie kraju, a zatém godziwie. Znam twe serce: ono nie przylgnie nazawsze do zbroi. Wrócisz do zaciszy domowego ziemiańskiego bytu. Powinieneś się więc ożenić, ażebyś wiódł życie przykładne, chrześcijańskie. Bo stan małżeński, acz niższy doskonałością od kapłańskiego, jest także święty i miły Niebu. Ale właśnie iż jest święty, świątobliwie się do niego trzeba ci gotować. I doń, jak do kapłaństwa, przystępować trzeba drogą posłuszeństwa, pokory, czystego sumienia, dając przodek natchnieniom ducha przedzmysłowými popędę. Niech cię Bóg strzeże, mój synu, byś miał zostać odstępca pobożnych staropolskich obyczajów, byś w wyborze dozgonnéj towarzyski radził

się twego niedoświadczonego, młodego, a zatem przystępnego zmysłowym ułudóm serca, nie zaś dojrzałego rozsądku i bacznój rozwagi twoich rodziców i twego nauczyciela. Ach! jużemy się i prócz tego bardzo oddalili od wzoru, jaki nam zostawili bogobojni i mądrzy przodkowie. Otworzyliśmy wrota bezbożności. Reforma religijna wywiera nieznacznie na obyczaje wpływ swój dezorganizujący, i jeżeli Bóg się prędko nie ulituje, potomki cnotliwych Polaków ujrzą— co nam dzisiaj jeszcze wygląda niepodobnym do wiary— ujrzą, mówię, nieposłusznych swym rodzicom, wyrodných dzieci, ujrzą małżeństwa niesforne, małżonków wzajem sobie nienawistnych, rodziców słabych na błędy swych dzieci, niedbałych o ich dobro doczesne i wieczne. Ujrzą... ale dość tego— *Utinam sim falsus vates!*— oby Bóg tego nigdy nie dopuścił. Ty przynajmniej, Jordanie, nie będziesz chciał zostać, tak sądzę, protoplastą w Inflanciech tych wyrodków twego narodu. Otoż dla czego, za zgodą twoich rodziców, przyjąłem tutaj dziewoślębstwo. Państwo Jodkowie propozycyi nie odrzucili. Pannę potrafiłeś ująć cokolwiek ku sobie wczorajszego wieczora, za co ci z pociechą serca oddaję zasłużoną pochwałę. Rzecz więc jest prawie ułożona, aleśmy formalne zrękowiny odłożyli do pogodniejszej chwili. Tymczasem ty już uważaj pannę Konstancyę Jodkową jak przeznaczoną tobie w małżeństwo. Jeśliby głos zmysłowych chuci, jeśliby rzewność jakaś niewieścia, miały się w tobie przeciw temu odzywać, przytłum je głosem

rozumu i religji. Pamiętasz ten piękny wiersz z czwartej księgi Eneidy :

..... nullis ille movetur  
*Fletibus, aut voces ullas tractabilis audit.*  
*Fata obstant, placidasque viri deus obstruit aures* (\*).

To powiedziawszy, pobłogosławił mię, i nie czekając mojej odpowiedzi, odszedł.

Stałem chwilę w bolesném dumaniu i w wewnętrznej walce sprzecznych uczuć w sercu. Nie było czasu wziąć postanowienia, bo się trzeba było pożegnać z gospodarstwem i ruszać w pochód. Na moję pociechę panna Konstancya nie ukazała się tego ranka gościóm. Pan Jodko pożegnał mię czuliej jeszcze i poufałej, nizeli był przywitał, prosząc abym dom jego uważał jakby swój własny. Była to wprawdzie dość pospolita formuła grzeczności, ale ja w niej widziałem tylko potwierdzenie wyroku mojego nieszczęścia. Opuściłem Fejmany, z myślą niewracania tam nigdy z dobrej woli.

Ujrzałem wkrótce Pana La Montagne przy moim boku. —Nie wesołyś, przyjacielu!— rzekł, uderzywszy mię zlekka po ramieniu — nie gniewasz-li się na mnie? he?

—Wczorajsze postępowanie twoje, kapitanie, nie było zaiste zbyt delikatne— odpowiedziałem zachmu-rzony.

---

(\*) ..... Żadna go prośba, żaden płacz nie wzruszy;  
 Wyrok nieba zamyka czule męża uszy.

—A jakże cię było u licha wyprowadzić z twój dystrakcyi? Albożem nie zgadł na co się zanosi?— Przeznaczają ci na żonę garbusia. Jezuita gra tu rolę swata: to więc nie żart, tém bardziej, że i mamula, zdaje mi się, nie od tego. *Ventre saint-gris*, jak mawiał ś. p. Henryk wielki, *Ce, que femme veut, Dieu veut*, a cóż dopiero gdzie niewiasta z Jezuitą w zmo-wie? Tak się i stało. Z razu siedziałeś przy pannie jak mruk, ale jak tylko stary lis Anzelm, rzucił twój próżności wędkę, już było po tobie. Ja, który, jak wnet się przekonasz, przejąłem cokolwiek polityki na-szego Kardynała, bom przecie zaciągał nieraz wartość przed jego pałacem, użyłem tu dzielnego środka na pomieszanie im szyków. Zapytałem księdza o pannę Roazę. Nic, zda się, prostsze; ale tęgi dyplomata właśnie takich sprężyn umie czasem najskuteczniej użyć. Jezuita się zmieszał i dał się wyprowadzić w pole; ty z galanta zmieniłeś się, wybac, w gapią, stłukłeś sklankę, oblałeś swoją pretendentkę wodą, wszystko najwyborniej. Dalej zaczęłem adwokata, bo i to ro-dzaj Jezuita, tylko na mniejszą skalę, i zrobiło się precudowne *imbroglio*, z którego na końcu Roaza wyszła z tryumfem. Pater Anselmus został rozbrojo-ny, a ty uratowany na chwilę. Oddajże sprawiedliwość moim talentóm, a przynajmniej dobrym moim chęcióm. Wziąwszy raz miłostki wasze w moją protekcyę, nie opuszczę was, a byle dla nas obu ta wojna szczęśli-wie się skończyła, zobaczysz jaką rozwinę taktykę, ja-

kich użyję obrótów żeby was połączyć. Bądź na wszystko przygotowany. Może mi was przyjdzie uprowadzić do Francyi. Ta myśl, wyznam, bardzo mi się uśmiecha. Uwieść kochankę dla siebie, to rzecz spowszechniała; ale porwać ją dla rywala, jedynie przez wspaniałość, a do tego jeszcze w obcym, dalekim kraju, to awantura dobrego smaku i wielkiego stylu. *Desmarets* zrobiłby z niej, jak raz, romans sentymentalny, a gdyby *Piotr Corneille* coś podobnego wziął za przedmiot do tragedyi, lepiejby może wyszedł jak na swoim wielkim *Cydzie*.—

Tak papłotał Francuz, a lubo plany jego poczytywałem za brednie, zniewalał mię jednak do słuchania, bo mówił o tém, co mię najmocniej zajmowało.

Chociaż *Fejmany* leżą od *Rzeżycy* w odległości tylko mil pięciu, nie mogliśmy tam stanąć, aż drugiego ranka. Ciasne górzyste manowce, popsute lub całkiem zniszczone mosty na strumieniach, a nadewszystko przeprawa przez rzekę *Małtę*, wiele nam zabrały czasu i utrudziły żołnierza. Lecz ileż za to śród téj dzikiej natury pięknych widziałem położeń i miejsc, oczekujących tylko zaludnienia i uprawy! Uderzyła mię szczególnie wspaniała góra wieczystym obrosła lasem, panująca nad rozległą okolicą pełną cudnych kaprysów przyrodzenia. Górę tę zowią *Łotysze Garykołna*. Dolina znowu, gdzieśmy się przeprawiali przez *Małtę*, stawi innego rodzaju piękności. Rzeka czysta jak kryształ, łamie się wdzięcznie w rozliczne zakręty i skra-

pia zielone łąki, otoczone jakby amfiteatrem wzgórków, przyodzianych w masztowe sosny, u podnoża zaś obrosłych rozmaitemi krzewinami, które tu i ówdzie stroją także brzegi strumienia barwistym, rzekłbys, wieńcem.

Rzeżyca, grodek ze starém zamczyskiem, co do położenia miejsca, niewiele przedstawia malowniczych widoków. Od północy rozciąga się w amfiteatrze błonie oromych gruntów. Ku zachodowi wężykowaty bieg rzeki Rzeżycy ukazuje oku kwieciste, bujne łąki; brzegi jej zarosłe niską krzewiną, z pomiędzy której gdzieś gdzieś wygląda srebrne wód zwierciadło. Na zieleńjącém tle łąk tych rozległych tu i ówdzie porzrucane kępy, porosłe krzewiem lub ciemno-zieloną olszyną. Dalej nieco ku południowi wieńiec wysokich wzgórków, stromych, pokrytych choiną i jałowcem; z pomiędzy tych przebijające się jasnym kolorem urwiska i prostopadłe ściany czerwonej gliny niepospolicie odbijają od posępnej zieleności, która je otacza. W téjże stronie, na wyniosłym wzgórzu, stoi dwór drewniany, czerwona dachówką kryty— czasowa rezydencya Starosty. Na lewym brzegu rzeki miasteczko Rzeżyca z kilkudziesiąt chałup złożone. Najgłówniejszą ozdobą téj miejsciny jest skromny drewniany kościółek, zbudowany na gruzach murowanej kirchy, zburzonej przez wojska cara Iwana Groźnego, w minionym wieku. Ku wschodowi ogranicza horyzont wyniosły las brzozy. Na brzegu tego starożytnego gaju widać niewielką cha-

łupę, samotną jak mieszkanie pustelnika. Jest to karczma *Wypijką* zwana, w której mieszkańcy małego miasteczka, zamku i starościńskiego dworku, składają ofiary Bachusowi; albowiem, podług chwalebne- go dawnego zwyczaju, niewolno było mieć szynkow- ni w bliskości twierdzy, równie jak pobożność przod- ków naszych nie cierpiała ich w sąsiedztwie świątyni Pańskich.

Rad był niepomału P. Hilzen z naszego przybycia: albowiem niemając w swój komendzie regularnego żoł- nierza, trudno było przedsięwziąć coś stanowczego; radzi temu też byli i panowie inflantscy: bo Wojewo- dzic wyższy mając wojskowy stopień, obejmował głów- ne dowództwo nad zjednoczonymi siłami. Był to ja- koś środek pogodzenia rozdwojonych przed chwilą umy- słów, Pan Hilzen chciał nieprzyjaciela zmusić do ka- pitulacyi; zwawy pan Gedeon Borch rwał się do zdo- bycia zamku szturmem; pan Sokołowski utrzymywał, iż bez artyleryi szturmowanie wystawiało na wielką stratę ludzi; pan Karnicki radził, aby zacząć wypra- wę od wyparowania Szwedów z Lucyna; panu Uszac- kiemu zdawało się znowu, iż od Marynauza zacząćby należało; słowem, tyle prawie było zdań, ile naczeln-ików ruchawki. Młody Gąsiewski, zebrawszy radę wojskową, położył koniec tej sprzeczce, ukazując in- strukcję Wojewody, przepisującą porządek i prawidła obrótów. Podług tego postanowiono, aby dowódzca, na czele silnego podjazdu, zrekonoskował położenie

zamku, poczem nastąpić miała demonstracya szturmowa i wezwanie nieprzyjaciela do poddania się: na co jeśliby się nie zgodził, naradzonoby się znowu, aby stosownie do rozpoznanego już stanu fortyfikacyi i siły przeciwniej, bądź szturm przypuścić bez zwłoki, bądź tymczasowie ściślej obledz zamek. Zachodziła jeszcze jedna trudność, wynikająca z obyczajów i wyobrażeń szlachty. Żaden szeregowy szlachcic nie chciał inaczej się potykać, jak na koniu, a do zdobycia zamku potrzeba było piechoty; aby więc temu zaradzić, wyższa szlachta zgodziła się dać przykład *zasciankowej*, (to jest drobnej), zsiadając z konia w potrzebie. Hufiec nasz miał uczynić toż samo w razie szturmowa, i nadto w szeregach żołnierz regularny miał zająć miejsce pomiędzy ruchawką dla utrzymania porządku i dokładniejszego oraz wykonania ruchów i obrótów, niżby się to z nieznanym prawideł wojennej sztuki zbrojnym ludem uczynić dało. Kozacy tylko, wzmocnieni kilkudziesięciu końmi komputowej szlachty, składać mieli jazdę szturmowa wojska.

W skutek tego planu, Wojewodzie wybrawszy liczną eskortę ze szlachty, w towarzystwie pana rotmistrza Hilzena, pana Borchy i wielu innych inflanckich panów, ruszył o świcie, dnia drugiego, na zrekognoskowanie rzeżyckiego zamku. Przewidując, iż nieprzyjaciel zrobić może wycieczkę, rozkazał panu La Montagne stać na odwodzie w miejscu ukrytym z regularną



jazdą i z kozakami. Ostrożność ta nie była zbyteczną, jak się to zaraz okaże.

Zaczęliśmy ogląd od strony południowej zamku, to jest, z przyjazdu do niego. Ujrzelśmy palisadę z ostrokołu z bramą drewnianą. Między palisadą i murem zamkowym wartownia drewniana, w murze zaś brama warowna, a nad nią podle muru przybłanki drewniane z belek, nie kryte, na których znowu wartownia deskami pokryta. Sam korpus zamku leży od strony zachodniej: jest to budowa trzypiętrowa z kamienia dzikiego blankowana, pod nią lochy czyli składy prochów. Obwód zewnętrznego muru zamkowego tworzy ośmiokąt nieco podłużny, którego średnica wynosi wzdłuż stóp 400 a 350 wszérz. Warownia ta leży na wzgórzu ze wszech stron dość stromém, usypaném, jak się zdaje, ręką ludzką. Wniosek ten jeszcze prawdopodobniejszym czyni szeroka fossa od strony zachodnio-północnej; fossa ta nie ma wcale podobieństwa, aby była naturalném korytem czyli odnogą rzeki, lecz podobnie ręką ludzką przy usypaniu wzgórza zamkowego musi być utworzona. Wzgórze zamkowe oblewa od południa płynąca u podnoża rzeka Rzeżyca, od wschodu i północy otacza go rzeczona fossa. Usypana naprzeciw bramy lekka grobla podnosi wodę w rzece, która jedném ramieniem przebiegając fossę, oblewa ze wsząd wzgórze i poniżej zamku znowu w jedno łączy się koryto. Mur zewnętrzny nie nakryty, w wielu miejscach świeżo naprawiany, nie mógłby się długo opie-

rać wystrzałóm dział większego kalibru (\*). Słowem, warownia ta mogła niegdys dawać rycerzóm mieczowym bezpieczne stanowiska od napadów wpóldzikich bord łotewskich, których broń składały proce, maczugi i ręczne kamienne siekierki, czyli raczej grotty. Obronne to stanowisko potrzebném też było koniecznie do utrzymania okolicznych mieszkańców w karbach posłuszeństwa; ale natarcia broni ognistej, a szczególnie dział osadnych, zamek rzeżycki wytrzymać długo nie był w stanie.

Zaledwieśmy się ukazali naprzeciw głównego wjazdu, wszystkie blanki okryły się żołnierzem, i ze szmigownicy nad bramą ustawionęj dano donas ognia. Niebawnie rozwarły się wrota ostrokołu; oddział szwedzkiej piechoty z lancknechtów i fizyljerów złożony wyszedł, spuścił się ze wzgórza, i w szyku ściśnionym postępował ku nam, protegowany działowym ogniem z murów.

O dwie blisko staje od zamku, wstąpiwszy na pagórek, huf nieprzyjacielski wziął pozycyę i dokuczał nam strzelbą.

Mamyż tył podać tym psóm knechtom? — zawo-

---

(\*) Opis ten zamku rzeżyckiego zgodny jest z lustracyą komissarzy J. K. M. województwa inflanckiego, odbytą w 1599. roku, której miałem sobie udzielony excerpt. — Znaczniejsza część zewnętrznych murów, w walce z żywiołami i czasem, mniej więcej uszkodzona, stoi do dziś dnia jeszcze.

łał Gedeon Borch.— Niech mi Półkownik pozwoli rozpedzić tę kupę. —

Wojewodzie nie mógł mu tego odmówić, lecz rotmistrz radził posłać po sukurs. Wysłano więc lozaka do pana La Montagne, Gąsiewski z panem Hilzenem odjechali trochę dalej rekognoskując, a młody ognisty Borch sprawiwszy swoją jazdę, rzucił się z zapątem na Szwedów. Natarcie wykonane było z odwagą, atoli włócznie knechtów pierwszego szeregu zniżyły się w mgnieniu oka, wystawując ściśnione ostrza, jak rohatynę, podczas kiedy zadnie szeregi z muszkietów kulami sypnęły. Jazda inflancka, uderzywszy się o tę przegrodę z żelaza i ognia, zwinęła się jak wąż w pierścienie, i szczerbiąc szable na okutych drzewcach szwedzkich włóczni, uniosła się w bok ze stratą kilku ludzi i kilkunastu koni.

Nie dokazawszy nic w tém pierwszym spotkaniu, Pan Borch bardziej się jeszcze zapalił, i pośpiesznie uszykował swój hufiec do nowego natarcia, wykrzykując:

— Za mną, panowie bracia! Przysięgam na krzyż mego Praszczura Hermistrza (\*), że zginę, lub wsiądę na kark tym knechtóm!

Zatętniła znowu ziemia pod kopytami téj dziarskiej garstki ochotników, wpadającej na Szwedów z drugiego boku ich czworogranu. Tą razą udało się mło-

---

(\*) Bernard Borch, 39 Hermistrz Krzyżacki w Inflanciech w XV. w.

demu dowódcy przełamać w jednym punkcie morderczą zaporę i wdrzeć się po za pierwszy szereg nieprzyjaciół; ale nie postrzegł, iż pod czas kiedy on przedsięwziął to powtórne natarcie, drugi hufiec Szwedów wysunął się z zamkowej bramy, i szybko postąpiwszy ku niemu, puścił nań ogień.

Ten sukces dodał mężstwa Szwedom, naszych zaś zmniejszał. Waleczny młodzieniec z kilkunastu towarzyszami, otoczony nieprzyjaciółmi, cudów odwagi dokazywał, ale byłby zginął niechybnie, gdyby w tej stanowczej chwili oddział nasz regularnej jazdy, z panem La Montagne na czele, nie przybył mu na odsiecz. Szwedzi, ujrawszy zdaleka groźny ten szwadron, nie trzymali dłużej kroku, i co ich nogi niosły, uciekli pod zamkowe mury; a ponieważ ze wszystkich blanków podwojono ogień z dział i ręcznej broni, nie podobna było ich ścigać. Strata więc z ich strony była nieznacząca; mogli się nawet chlubić, iż nam nanieśli klęskę, ubiwszy i pokaleczywszy kilkunastu ludzi i koni, ale skutek moralny tej styczki nader był dla nas pomyślny. Poznali Szwedzi waleczność inflanckiej ruczawki, a niespodziany widok regularnego żołnierza odbierał im nadzieję długiego utrzymania zamku.

Równo z odsieczą przybiegli na plac bitwy Gąsiewski i Hilzen z resztą sztabu. Nie postrzegając pana Borchy, myślano zrazu, że padł ofiarą rycerskiego swego zapału; ale go wkrótce wydobyto, na szczęście żywego, z pod zabitego konia i z pod trupów, które się

nań zwały. Doskonała zbroja i stalowy hełm nosiły znaki szwedzkich ciosów, ale broniły go od rany; cierpiał tylko ból w nodze, naciśnionej brzemieniem konińskiego cielska. Winszowano mu męznego spotkania, on zaś dziękował za dany ratunek, ślubując oraz Szwedom zemstę za uбиcie mu ludzi i faworytnego wierzchowca.

Za powrotem do obozu, pan Rotmistrz Hilzen zaprosił starszyzną wojskową do siebie na żołnierski obiad. Uczta była suta i wesoła, jak zwykle w podobnych zdarzeniach. Każdy z młodych ochotników miał coś do opowiadania o szczegółach utarczki. Można się domyślić, jak przy kielichu obracano niemiłosiernie Szwedów. Słuchając tych przechwałek myślećby należało, że nieprzyjaciel zbity został na gorzkie jabłko. Starzy się uśmiechali, ale nie przeczyli exagierowanym faktom, śnać aby młódź utrzymać w tym zapale, który podwaja siły żołnierza.

La Montagne w dobrój był wienie i z całego serca chwalił animusz tej dziarskiej młodzieży. — Lubię — rzekł do mnie — tych młodych kogutów. Ta wrząca odwaga i ta dziecinna chełpliwość przystoją ich wiekowi. Rzekłby kto, że to Francuzi. Junaki, prawda, za stołem, ale gracze także i w polu. Podobniście do nas, z tą tylko różnicą w potyczce, że my się lepiej bijemy pieszo, wy zaś konno. Szlachta wasza wieść musi ród swój od centaurów. Każdy jakby przyrośł do swego konia. A jakież to dzielne te wasze polskie rumaki!

Nic też dziwnego; bo, jak mi powiadał Wojewoda, rasa dzisiejsza polskich koni powstała z pomieszczenia krwi arabskiej z dońską. Ho, znam ja tych szwedzkich lancknechtów w ściśnionym szeregu z nastawionymi pikami. Podobieństwa niema przełamać ich, nacierając jazdą; a jednak pan Borch i waleczni jego towarzysze okazali dziś tego, bo ich konie za drugim natarciem sadziły przez ostrza pik, jakby to były laseczki ze trzciny. Takim jeźdźcom i takim koniom samby się djabeł nie ostał. Jednej rzeczy wam nie dostawa: należytej wojskowej karności; ale z tém się głośno odzywać nie chcę; bo wy nie lubicie, kiedy was kto ostrzega o waszych wadach. Już to jest w charakterze waszego narodu; i dla tego żyć, pić, bić z wami gotowem do śmierci, ale rządzić wami nie chciałbym, choćby mi Król Zygmunt ustąpił swęj korony. —

— Nie lękaj się tego — odpowiedziałem śmiejąc się. — Już to samo, żeś Francuz, zaślania cię od niebezpieczeństwa panowania w naszym kraju. Oparzyliśmy się na waszym Henryku Walezym. On zaś mądrzej byłby zrobił, gdyby został u nas. —

— Ach bo ty nie znasz co to za kraj ta nasza Francya, i co za szczęście być Królem Francuzów! Gdyby nie było nieba, Francya by je zastąpić mogła! —

Te słowa wyrzeczone w entuzjazmie, a zatém donośnym głosem, wzbudziły śmiech powszechny.

— Brawo! Kapitanie! — odezwał się doń Wojewodzie. — W życiu mojem nie słyszałem tak śmiałej hyperboli. Warto żeby się Kardynał Richelieu dowiedział o tém wygórowaniu waszego patriotyzmu. Wyjednałby wam u Króla Jegomości Ludwika nagrodę. —

— Otoż masz! — zawołał La Montagne. — Jakbyś mnie zlał zimną wodą, panie Wojewodzicu! Po co było przypomnieniem Kardynała stracić mnie z nieba do czysca? —

— Kielich małwazji znowu was wzniesie do pierwszego stanowiska, waleczny Kapitanie! — rzekł gospodarz i kazał nalać wina; ale Wojewodzie zrobił uwagę, że w obozie i w obec wroga długo biesiadować nie wypada, i biędny La Montagne nie mógł użyć po-danego mu sposobu do wygnania z pamięci widma Rieszeljego.

Póznym wieczorem odbyła się rada wojenna, na której postanowiono sprowadzić z wolkenberskiego blokauzu dwa działa, a tymczasem wezwać Szwedów do poddania zamku. Pan La Montagne ofiarował się za parlamentarza, i następnego ranku udał się z trębaczem do zamku. Wprowadzono go tam ze zwyczajnemi ostróżnościami, i po godzinnéj konferencji wrócił nic na ten raz nie wskórawszy, ale zapewniał, że chociaż Szwedzi nadrabiają rezonem, bronić się atoli serjo nie myślą, po tém wszystkiém zwłaszcza, co on im o sile naszej naprawiał. Porażka Horna pod Lixną dała im także do myślenia, a nadewszystko widok regularnego

żołnierza, o którym się im ani śniło. Jedną jeszcze cieszą się nadzieją, że nam brakuje artylerji; ale niechno ujrzą choćby coś podobnego do armaty, zwiną chorągiew. Taka była opinja walecznego kapitana, lecz nie trafiła do przekonania naszych dowódców, bo znajome im było męstwo szwedzkiego komendanta zamku.

Zajęto się więc pilnie przygotowaniem do szturm. Zaledwie przyszły falkonety, usypano w nocy baterijkę naprzeciwko ostrokołu, i osuszono fossę, przedziurawiwszy tamę podnosząc wodę w rzece. Nieprzyjaciel przeszkadzał ile mógł tym robotóm, ale wycieczka została odpartą, a strzały działowe z murów źle celowane w ciemności, mało oblegającym przyniosły szkody. O świcie całe nasze wojsko przétworzone w piechotę i wzmocnione spędzoném z okolic chłopstwem, uszykowało się we trzy szeregi: w pierwszym ochotnicy co najtężsi z wojska i ze szlachty uzbrojeni w szable, pistolety i topory; w drugim pacholiki, ciury i cokolwiek żołnierza, oraz szlachty komputowój, każdy niosąc przed sobą kul słomy; w trzecim nakoniec chłopstwo; a na każde dziesięć chłopca długa szturmowa drabina.

Rozpoczęła się naprzód armatna strzelba. Jeżeli artylerję mieliśmy słabą, nieprzyjacielska też wcale nie była silną. Zbili nam wprawdzie jedno działo, aleśmy z drugiego zrobili im wyłom w palisadzie. Wtenczas dowódzca nasz, wywijając pięknie po nad głową



pałaszem, zawołał — W Imie Pańskie, na przód, ława, do szturm! — Natychmiast pierwszy szereg, według danego rozkazu, zrobił pół obrótu na prawo w miejscu, a wzięwszy od zadniego owe kule słomy, zawrócił znowu do frontu, i nuż co tchu ku fossie, do szturm. W ślad za tym drugi obrócił do trzeciego dla ujęcia drabin, z którymi wolniej za pierwszym postępował.

Przybywszy nad rów, zaczęliśmy wnet ciskać weń nasze snopy, a w tych nie jedna siedziała nieprzyjacielska kula, któraby bez téj zasłony była trafiła w człeka. W mgnieniu oka już my za rowem, i przez wyłom w ostrokołe wciskamy się na pierwszy dziedziniec. Tu nam skokiem przypaść trzeba było pod same mury, aby się mniej wystawić na strzały z blanków. Hurra! tedy do bramy, i dalej w nią walić siekierami. Ale była z grubych dębowych, bratnalami nabijanych dylów, i nie bała się wcale topora. Kiedy się tu nadaremno mozolim a Szwedzi nas z góry prażą, przybiega puszkarz z petardą i woła — Precz od bramy! — Pierwszy raz w życiu widząc to narzędzie, nie rozumiałem jego użycia, a nie rad opuszczać tego dość bezpiecznego miejsca, przypatrywałem się ciekawie petardnikowi, który przytwierdzał do wrót coś w kształcie wąskiego garnka z kawałkiem grubiej deski i z długim postronkiem, jakby z ogonem. Tymczasem przyniesiono drabiny, ale dwie lub trzy tylko; resztę nasze hultajstwo, przestraszone ogniem z wartowni i z mu-

rów, porzuciwszy, pierzchno ku tylniej straży. Kiedy ja tak stoję we framudze bramy, puszkarz, zawiesiwszy na wrotach petardę, sięgał po lont zapalony, a w tém go Szwed z wartowni wziął na cel i przeszył niemiłosiernie kulą. Upadłszy niehorak, wołał — Kto w Boga wierzy, zapal petardę! — Wtędym ja się upamiętał, i choć mi kula świsnęła koło samego ucha, domyślając się rzeczy, wziąłem lont od leżącego, przyłożyłem iskrę do owego ogona, i wnet zasyczała ognista żmija; a tu ktoś mię porywa za kołnierz i ciągnie w tył gwałtownie. Obejrzę się — to La Montagne, który mówi do mnie — Czyś zwarjował? tak blisko petardy, kiedy się ogon już pali! — Ledwie to wyrzekł, aż oto z potężnym hukiem roztrzaskała się brama, i omal się nam obu nie dostało kawałem dyla po boku. Wnet kupa naszych pocisnęła nas z tyłu w otwór, i tak *volens volens*, wpadliśmy pierwsi z impetem (bo nas pchano niemiłosiernie) na wewnętrzny zamkowy dziedziniec. A tu już na lancy białą wywieszają płachtę i trąbią na znak poddania się. Ustaje ogień z murów, zaczyna się rzeź: bo i czeladź, i jaki taki z chłopstwa, śmiało rzuca się w zamek. Niektórzy ze szturmujących, wdrapawszy się po drabinach na blanki, strącają z nich przerażonych Szwedów, lub spadają sami w objęciach uporczywszego przeciwnika. Na dziedzińcu i w budowach rozjuszeni zwycięzcy sieką zwyciężonych, inni obdzierają trupów lub wynoszą zdobycze. Widok okropny, którego nigdy nie zapomnę! Chwila prawdziwego tryumfu

szatana! Na szczęście nie trwał długo szal ten krwawo-zerny. Głos dowódców położył wprędce koniec rzezi i rabunkóm. Gąsiewski, Hilzen, Borch, Wejssenhoff, Sokołowski, Karnicki, i inni z zącnej szlachty, w pięknym zapale ludzkości wrywają z rąk rozjuszonej zgrai nieszczęśliwe ofiary, trąba zwołuje żołnierzy pod znaki, wrzawa się tłumy, słycać już tylko wydawane rozkazy, stąpanie szylwachów i bolesne jęki ranionych. Komendant szwedzkiego garnizonu, Kapitan Fallstiern, padł męźnie na blankach z kilku oficerami, dwóch innych wzięto w niewolę z połową ledwie ich ludzi, większa część poległa pod ciosami zwycięzców. Z naszej strony liczono blisko sta w zabitych i rannych. Po wydanych rozkazach względem zajęcia i oczyszczenia zamku od trupa, względem opatrzenia ranionych i ulokowania jeńców, dowódcy odprowadzili w porządku wojsko do obozu, aby sobie należycie wytchnęto po tój gorącej robocie. Wzdrygałem się, patrząc na siebie i na moich towarzyszków — takeśmy byli krwią zbroczeni, okopceni prochem, zbłoceni, rozczochrani i obdarci; lecz taka to jest barwa Marsa, takie to są cechy wojennego tryumfu!

Kiedysmy na drugi dzień po szturmie weszli znowu do zdobytych murów, La Montagne nie mógł się wstrzymać od śmiechu, i zawołał, iż podobnego szczurzego gniazda w życiu swoim nie widział. W istocie wnętrze zamczyska okropne przedstawiało pustki: izby ciemne, wilgotne, bez sprzętów, prócz kilku prostych

stołów zydlów z poręczami; okna potłuczone, piece i kominy dymiące. Co go zaś najwięcej zgorszyło, była to kuchnia zapadła w murze, niepokryta, bez rósztu i różna. — *Horrendum! horrendum!* — wykrzykiwał Francuz — wolałbym być zdegradowany na gemejna, nizeli takiej twierdzy zostać dożywotnim komendantem. — Podczas kiedy on się tak dąsał wewnątrz, dowódcy opatrywali blanki i zamkową strzelbę. Znaleźli dwa śpiżowe falkonety, jeden siedmioletowy serpentyn, kilkanaście hakownic w łożach, i kilkadziesiąt bandelotów krzosowych; ale zdobyta wyborna broń ręczna na Szwedach posłużyła bardzo do lepszego uzbrojenia komputowej szlachty.

Pomimo tego wcale nieświetnego stanu rzezyckiego zamku, pan Borch z widoczném ukontentowaniem objął jego gubernę, i tegoż wieczora wyprawił nam w nim wspaniałą ucztę. La Montagne radośnie został zdumiony na widok izby stołowej. Ogromna ta przed chwilą pustka, stawiała teraz piękny wcale widok. Posępne jęj ściany były ozdobione wkoło gęstym rzędem kolumn uwitych ze świeżęj choiny, między którymi pod takiemiż zielonemi festonami na rozwieszonych makatach i kobiercach, trofea z rozmaitej zbroi i broni błyszcząły w świetle licznych pochodni, świec i latarek.

Dwa stoły: jeden mniejszy dla wyższych osób, drugi potężny dla niższęj szlachty, okryte były potra-

wami i dobrymi trunkami. Kapela brzmiała w boku-  
wój komnacie.

— A cóż Kapitanie? — rzekł do Francuza Krzysztof  
Gąsiewski — albowiem źle wygląda Rzeżycki zamek?

— Są to istne czary, — odpowiedział La Montagne,  
przeglądając z roskoszą półmiski i gąsiory. — Muszę  
przyznać, że jeśli panowie nie możecie być bardzo du-  
mni ze stanu waszych fortec, macie prawo pochlubić  
się takimi jak pan Borch komendantami.

— Można się obejść bez warownych zamków w kra-  
ju, gdzie pierś obywatela gotowa zawsze do jego obro-  
ny! — powiedział pan Karnicki. —

Liczne oklaski obity się o sklepienia sali, i pod tém  
piękném hasłem rozpoczęła się wesoła uczta.

Ku końcowi bankietu, kiedy już zwykle, w miarę  
jak się języki płaczą, myśli się rozpasują, wszczął się  
spór u drugiego stołu między towarzyszami naszego  
pocztu i komputowej szlachty. Pierwsi utrzymywali,  
iż bez pomocy regularnego wojska nicby pan Hilzen  
ze swą drużyną nie dokazał. Odpowiedziano im na to  
z gniewem, nazywając ich chwaliburcami, i usiłując do-  
wodzić, że wojsko, bez pomocy szlachty, poleżałoby,  
zębami dzwoniąc, ruski miesiąc pod zamkiem. Przy-  
szło do kłótni, do odgrózek, i bez wdania się energicz-  
nego dowódców, krwią-by się może uczta zbroczyła,

Ledwie się uspokoiła ta wrzawa, zawiązała się wnet  
nowa sprzeczka u tegoż stołu między Polakami i Niem-  
cami. Osendowscy, Chodkowscy, Stuzynscy, Dziengie-

lewscy, Stankiewicz, Kułakowscy, Palczewscy, Ostrowscy, Gumowscy, Oborscy, Gołembiewscy, spierali się z Hubergami, Szredersami, Hejkingami, Rebinderami, Brynkami, Szenkinami, Heryngami i t. d. o prawo indygenatu w Inflanciech. Wyrwało się komuś przysłowie: „Póki świat światem, nie będzie Polak Niemcowi bratem.” Na to inny odparł: — Nie chcemy też braterstwa z szołdrami — i porwali się do kordów.

Tą razą nie obeszło się bez użycia silniejszych środków. Najzapaleńszych z jednej i drugiej partji wzięto pod areszt, a wszystkich, którzy się na nogach dobrze trzymać nie mogli, wprowadzono z sali.

Spokojność wróciła, ale tracona zbyt delikatna strona narodowości, zasepiła nieco czoła dowódców; bo ich grono składało się także z osób należących do obojga narodów. La Montagne szepnął mi do ucha — Obie strony wadzą się o to, czego z nich żadna rzeczywiście nie posiada. Jak Niemców tak Polaków uważać można za przybyszów; prawdziwi tubylcy tego kraju są Łotysze. Co do mnie, mogę zachować pełną neutralność. Ale właśnie jako neutralny, powinienem dać hasło do powszechnej zgody. — Wstał tedy, i podnosząc swój kielich, rzekł — Gościwi panowie! wszyscy tu służymy jednej sprawie, a zatem jesteśmy rodakami w najpiękniejszym przypuszczeniu wyrazu. Cudzoziemcem dla nas jest Szwed, niechże on przepada! a my kochajmy się i szacujmy wzajem. Vivat braterstwo rycerskie!

— Vivat! — wykrzyknęli wszyscy, dzwoniąc w puhary, a towarzysze w entuzjazmie otoczyli biednego La Montagne, i porwawszy go, podrzucili trzy razy z wesołemi okrzyki do góry.

Początek już trwała ochota do późnej nocy bez żadnej nieprzyjemnej przerwy.



## XI.

**Z** Rzeżycy pociągnęliśmy marjenhauzkim traktem ku Lucynowi, o trzy mile z górą odległemu; a że na połowie drogi i w małej od gościńca odległości leży dwór *Sarkanie* zwany, należący do pana Jerzego Wejssenhoffa, dworzanina J. K. M., który się mężnie stawił przy szturmie Rzeżycy, Wojewodzie Gąsiewski, ulegając uprzejmiej prośbie dziedzica, wstąpił do niego z przedniejszemi oficerami i ze swoją assistencją; wojsko zaś tymczasem rozłożyło się dla wytchnienia w polu.

Pan Wejssenhoff, młody, otwartego i miłego charakteru człowiek, niedawnym był jeszcze mieszkańcem tej strony, a majątność *Sarkanie* wziął po swojej żonie z domu Bałaszowskiéj. Dwór jego, na drodze prawie między Rzeżycą i Lucynem, ucierpiał niemało w cią-



gu tych wojennych zamieszek. Dom wyglądał jak pustka, i świadczył, że go byli nieraz nawiedzili Szwedzi. Nie przeszkodziło to jednak uprzejmiej gospodyni przyjąć nas najgościnniej, a sam gospodarz był na ten raz także gościem w swoim domu.

Po zwykłych przywitaniach i rekomendacjach, pani Weissenhoffowa rzekła żartobliwym tonem do Wojewodzica, iż zmuszona zanieść skargę na jednego z jego podkomendnych, i na zapytanie (nie bez zadziwienia) kłoby to był taki? ukazała na swojego męża, mówiąc:

— Oto jest przestępca; na niego zanoszę do waszmości żałobę. Zaprosił tak zacnych gości do naszego domu, nie dawszy mi znać o tém trochę wcześniej, a przecie dobrze wiedział jaki u nas z łaski Szwedów nieporządek....

— Nie wierz jój, mości Wojewodzicu! — wykrzyknął mąż z komicznym zapałem. — Znam ja lepiej chytrą tę niewiastę, i zaręczam, że od niej nie wyjdziemy głodni. Uważałem, iż z kuchennego komina, pomimo rabunku nieprzyjaciela, tęgo się kurzy. A więc, mościa pani, zaniechaj próżnej skargi na poczciwego małżonka, a każ dawać jeść gościom.

— Wybacz, panie kollego! — rzekł Wojewodziec, udając ton poważny — żałoba jejmościna jest arcystuszna, i winienem, jako obrany od niej sędzia, wymierzyć jój satysfakcję. Skazuję tedy waszmość pana na całą dobę aresztu w Sarkaniach, pod szczególną

strażą godnej jego małżonki, zdając go na jej zupełną dyskrecję. Zapłacisz przytém stronie załującej kosztą obecnego processu, jakie sama sobie sumiennie naznaczyć jest wolna, i nakoniec na domiar....

— Sprawiedliwy sędzio! czyż nie dość już kary?— przerwał pan Wejssenhoff, niby zasmucony.

— I nakoniec na domiar zasłużonej kary — ciągnął dalej Gąsiewski — strona przegrywająca nie będzie miała prawa gderać na gospodynię, jeśliby, czego się wreszcie nie spodziewamy, potrawie jakiej, z racji pośpiechu, brakowało zupełnej perfekcji. Dixi.—

— O ja nieszczęśliwy! — wykrzyknął mąż.

— Salomonowy sąd! — rzekła z ukłonem żona.— Dzięki wam, sprawiedliwy sędzio, szczególnie za ten ostatni paragraf dekretu. Gderanie u stołu, jest to ulubiony przywilej, który sobie panowie mężowie samowolnie nadają, i którego odjęcie, choćby na raz jeden, bolesną jest dla nich karą.

— Protestujemy przeciw téj konkluzji — zawołało kilka głosów.

— Ma rację jejmość! — odezwało się kilku innych.

— Po tych okrzykach — rzekła pani Wejssenhoffowa — nie potrzebuję już zapytywać, który z waszmościów, zacni panowie, żonaty, a który jeszcze kawaler. Nie idzie jednak za tém, ażeby ci, którzy mi dziś dają rację, nie powiedzieli inaczej, jak się pożenią.— To powiędziawszy z lekkim uśmiechem, wyszła dla dania rozkazów do zastawiania stołu.

— Wiész co? panie Jerzy! — rzekł pan Hilzen — gdyby nie grzech, zazdrościłbym ci szczerze twój małżonki.

— Gdybym taką spotkał pannę, a chciałyby mnie mieć swym mężem, ożeniłbym się, pomimo postanowienia niewprzegania się w małżeńskie jarzmo — odezwał się La Montagne. — Oto mi właśnie towarzyszka dla żołnierza.

— Prawda — odpowiedział pan Wejssenhoff — żem ja z nią szczęśliwy. Bogobojna, przywiązana, a przytém zawsze wesoła i żartobliwa, jakby nigdy nie znała biedy. A jednak co nieboraczka miała z powodu wojny utrapień, to niech Bogu będzie na chwałę. Musiała raz od Szwedów umykać z dziećmi pieszo do innej wsi, którą trzymamy zastawą i nocować w lesie; potrafiła atoli dać sobie radę; a kiedym na moment zabiegł do domu zasłyszawszy o rabunku, znalazłem ją wśród pustek i nieładu tak wesołą i dobrej myśli, jakby się nic nie było stało. Cieszyła mię, mówiąc: — niech Bogu będą dzięki, dzieci zdrowe, dom stoi, a reszta fraszki. Jak minie wojna, przyjdziemy znowu do porządku.

— W ogólności rodaczkom naszym — rzekł pan Sokołowski — oddać trzeba tę sprawiedliwość, że z nich dobre żony, matki i obywatelki. —

Wróciła gospodyni, wszczęła się wesoła rozmowa, wśród której nakrywano stół. Potrawy zastawione

w prostych glinianych misach, a napoje w dzbanach i drewnianych konwiach.

— Oto — rzekła pani Wejssenhoffowa — dzisiejszy nasz kredens z łaski kochanych Szwedów. Co tylko było kruszcu w domu, zabrali z sobą bez ceremonji; zostały mi jednak klejnoty, z którymi pochwalić się muszę. —

To powiedziawszy, odeszła; a La Montagne szepnął do mnie: — Niech ją Bóg błogosławi z klejnotami. Jabym wolał przystąpić do pieczeni, jak admiraować błyskotki, których nie ugryzę. Na całym świecie próżność jest udziałem płci niewieściej.—

Wtém otworzyły się drzwi, i gosposia weszła, wiódąc trzech małych chłopczyków rumianych i różnych.

— Prezentuję waszmościom moje klejnoty — rzekła; a chłopaki, ukłoniwszy się gościom, pobiegli do ojca, który się czule z niemi pieścił. Oczy matki błyszczały radością i dumą, zwłaszcza kiedy Wojewódzic Gąsiewski, głaszcząc policzki jej synków, winszował obojgu rodzicom tak pięknej konsolacji, i przepowiadał, że ich ród szlachezny nie zgaśnie w ciągu długich wieków. —

Zasiedliśmy potem do stołu, i choć bez przepychu, dobrym gospodarskim posilaliśmy się obiadem. Rozmowa przy kielichu toczyła się naturalnie o szturmie rzezyckiego zamku. Uważałem z jaką uwagą starszy synek gospodarstwa przysłuchiwał się tym opowiada-

niom. Widać było w dziecinie duch rycerski, i okazał też to w skutku, doszedłszy lat męskich. (\*)

Po wesołym obiedzie i spełnieniu kielichów za wielorakie zdrowia, pożegnaliśmy uprzejme gospodarstwo, i ruszyliśmy w dalszy pochód ku Lucynowi, gdzieśmy stanęli przed nocą.

Zamek lucyński, większy i warowniejszy od rzezyckiego, leży na górze nad jeziorem tegoż imienia, i nadto z drugiego boku oblewa go inne mniejsze. Od ładu oddzielony jest szerokim rowem, na którym most zwodzony. Piękna to jest wcale twierdza murowana z palonej czerwonej cegły, obwiedziona takimże wysokim murem, blankowanym, z narożnemi wieżycami. W tej warowni mógł się nieprzyjaciel trzymać bardzo długo, a zwłaszcza przeciw sile tak ograniczonej, jak była nasza. Ale szczęście posłużyło, iż patrol nasz schwycił rajtara, wysłanego gońcem od szwedzkiego generała La Gardie z listem do oficera dowodzącego garnizonem lucyńskim, zalecając mu trzymanie się do upadłego, i obiecując wprędce sukurs. Ten nie odebrawszy pisma, a przestraszony wiadomościami o szturmie i zdobyciu Rzeżycy, oraz o zwycięstwie Wojewody Gąsiewskiego, nie wahał się długo z przyjęciem

---

(\*) Był to zapewne Jan Wejssenhoff, towarzysz chorągwi petyhorskiej znaku Stanisława Sapięhy. Nosił broń długo pod wielu hetmanami, i był z Janem Sobieskim w sławnej bitwie chocimskiej. Miał za żonę Annę Grabowską, stolnikównę smoleńską, dziedziczkę dóbr Starzynek w województwie mińskim.

podanych mu warunków honorowej kapitulacji, i tak po trzydniowym oblężeniu zamek odebrany został bez przelewu krwi, a pan Karnicki tegoż dnia otrzymał inwestyturę na lucyńskiego gubernatora.

Dziwnym dość przypadkiem, ja, który'm wyszedł bez szwanku z kilku bitew, dostałem postrzał pod Lucynem, gdzie żadna nie zaszła utarczka. Towarzysząc Wojewodzicowi, rekognoskującemu fortyfikacje, wystrzał z zamku obalił pode mną konia; kula mię po minęła; ale skutkiem mocnej kontuzji, nie mogłem prawie władać prawą nogą i dość silny ból uczułem w boku.

Aczkolwiek cierpiący, nie chciałem atoli pozostać w Lucynie, i ulokowawszy się na wozku przy tylnej straży, udałem się z wojskiem ku Marienhauzowi, téj już ostatniej twierdzy, którą podług rozkazów Wojewody, oczyścić nam należało ze Szwedów.

Po dwóch milach drogi, wśród pięknej górzystej okolicy, zmieniło się położenie kraju. Weszliśmy na równiny i zapuszczaliśmy się w lasy coraz gęstsze, coraz ogromniejsze i trudniejsze do przebycia. Mizernie grobelki, bagniska nagacone okrągłemi balezkami, utrudzały pochód; szczególnie podróż wozem męczyła niewypowiedzianie. Cierpienia moje zwiększyły się do tego stopnia, obrzękłość w nodze tak się podniosła, że jechać dalej nie byłem już w stanie. Młody Gąsiewski, zafrasowany o me zdrowie, nie chciał mię rzucić bez opatrzenia, a w tych odludnych lesistych stronach tru-

dno było bardzo o gospodę. Dowiedział się nareszcie od picowników (furażerów), że o milę od gościńca był dworek jakiegoś obywatela; postanowił więc tam mię ulokować, i sam aż do miejsca mi towarzyszył. Pan La Montagne otrzymał także pozwolenie oddania mi w tym zdarzeniu przyjacielskiej posługi.

Nie łatwo było się dostać wozkiem do tego pustelniczego mieszkania. Wybrnęliśmy nakoniec z bagnistego lasu na przestrzeń niewielką uprawnych gruntów, wśród której wznosił się skromny drewniany domek, otoczony szczupłą gospodarską zabudową.

Stanąwszy przed gankiem, ujrzelśmy wychodzącego na spotkanie nasze sędziwego człeka, w prostym odzieniu, z miną bardzo kwaśną.

— Czy znajdujemy gospodarza w domu? — zapytał Wojewodziec ponurego starca.

— Sam nim jestem — odpowiedział twardym tonem, — ale kogoż mam witać w osobie waszmości pana? mości kawalerze!

— Gąsiewskiego, do usług waszmości, mości panie bracie!

— Co ja słyszę! Wojewodzica Gąsiewskiego, syna mojego *benefaktora*! — wykrzyknął starzec rozjaśniając lica. — A witajże, drogi mój gościu! Stary Ilgoński nie spodziewał się dożyć takiej radości.

— Pan Ciwun Uszerski Ilgoński, dawny dziedzic Aulji?

— On sam, mój Panięciu! ale już tak pochylony wiekiem i niedolą, że samby JW. Wojewoda teraz go nie poznał. Proszę więc najuniżeniej rozgościć się w mojej chałupie i rozkazywać swojemu słudze. Ale uważam iż JW. Wojewodzie przywiózł tu z sobą chorego. Wygląda na szlachetne pacholę.

— Jest to P. Jordan, syn Cześnika Piltyńskiego.

— Syn dawnego mojego znajomego! Witam! Rad jestem z duszy. Ale cóż ci to? moje dziecię!

— Dostał kontuzji od działowej kuli pod Lucynem, odrzekł mu Gąsiewski.

— Bodaj to... przepuść, Panie, tych Szwedów. Jam się wczora dopiero od picowników waszych dowiedział o tém nastaniu Bożem. Rzadko do mego zakątka dochodzą wieści ze świata. Ale ten biędny malec potrzebuje lekarskiej pomocy, a najbardziej odpoczynku. Ja go, za pozwoleniem pańskim, u siebie na czas dłuższy zatrzymam: bo uważam z rysztunku i assistencji JW. Pana, że ciagniesz zapewne z wojskiem.

— Uprzedzasz Waszmość łaskawie moję prośbę, Mości panie Ciwunie! W samej rzeczy, prowadzę oddział wojska i zawróciłem tu z drogi jedynie aby znaleźć pomoc dla chorego kolegi.

— Prawdziwie senatorskie dziecię, nieodrodny syn wspaniałego ojca! Wejdźże, Panie, do lichego mojego domu, i przyjm positek, na jaki Bóg mi się zdobyć pozwoli. A chorego złożymy jak można będzie wygodniej i znajdziemy dlań coś w naszej domowej aptece.—



Korzystając z uprzejmości gospodarza, Gąsiewski i La Montagne zsiadli z koni, mnie podjęto z wozu i wniesiono za niemi do domu. Na jednej połowie była izba, w której P. Ilgoński przyjął gości, a przy niej alkie-rzyk z łóżkiem, gdzie mnie ulokowano. Na drugiej podobna izba dla czeladzi z kuchenką i składową bokówką. Sprzęt najuboższy, ściany nagie, na jednej obraz Matki Boskiej Bolesnej, na drugiej wielki drewniany krucyfiks, pod nim klęcznik, a nad drzwiami portret jakiegoś magnata, w którym Wojewodziec poznał rysy twarzy księcia Lwa Sapiehy.

Wnet gościnnie staruszek zaczął się krzątać, ze swym starym sługą Grzegorzem, około śniadania; ale widać było, że nie epikurejskie wiodł życie. Oprócz jaj, nabiału, grzybów, czarnego chleba i jęczmiennej kaszy, nic się nie znalazło w jego spiżarni.

— Wstydę się — rzekł — na ten raz mojego niedostatku: bo szczerze chciałbym przyjąć pana Wojewodzica jak najlepiej. —

Gąsiewski prosił go, aby się o to najmniej nie troszczył; że najlżejsza przekąska będzie dostateczną w pochodzie; ale starzec nie przestawał się kłopotać, skarżąc się oraz, iż stary jego Grzesio, niegdyś dobry kuchta, całkiem zapomniał na tej pustyni swojego rzemiosła.

Tymczasem La Montagne obejrzał wiktuały, i znalazłszy, że tylko brakowało wprawnej ręki aby z tego zrobić parę niezłych maślanych potraw, wrócił do pokoju i prosił gospodarza o pozwolenie dania Grzegorz-

wi niektórych informacji względem śniadania. Ilgoński nie chciał mu nblizyc exponowaniem na taką fatygę, ale Wojewodzie objął mu wszelki skrupuł, zapewniając, iż P. Kapitan La Montagne lubi zajmować się dla zabawy kuchnią.

— *De gustibus non est disputandum* — powiedział na to ukłoniwszy się z szyderskim nieco uśmiechem P. Ciwun, a gdy Francuz wyszedł, dodał — Ten Kapitan musi być cudzoziemskiego autoramentu, bo i nazwisko i gusta jego nie polskie.

— Jest to Francuz, oficer z gwardji króla francuzkiego — rzekł Gąsiewski.

— Tak też myślałem. U Francuzów brzuch jest jakby bożkiem. Oficer tego stopnia obracający warzachwą, to rzecz niepraktykowana w Polsce. Co kraj, to obyczaj; ale broń nas Boże od naśladowania francuzkiej wykwinności. Zasmakowawszy w ich kondymentach, przejmą może potem Polacy ich kusą odzież, ich, Boże odpuść, galanterję i inne wady. Oj, niebezpieczna odstąpić choćby na kromkę od zwyczajów krajowych; z niemi albowiem są spójone pewne stałe wyobrażenia, od których znowu zawisły niektóre kardynalne narodowe cnoty... Ale gdzież zabrnąłem?... Prawię kazanie... Daruj, miły Panięciu! Starości wada, gadatliwość i perorowanie. Pójdę lepiej do piwnicy i przyniosę starego miodu, fabryki mojego Grzesia. Tego sekretu hul-taj nie zapomniał, bo lubi czasem sobie pociągnąć do poduszki. —

Wrócił wkrótce P. Ilgoński z polewanym dzbankiem, a niebawnie i pan La Montagne wszedł, ocierając pot z czoła i wiodąc za sobą Grzesia, oraz jednego z naszych Kozaków, nioących misy z potrawami.

— Oto naprzód — mówił — rekomenduję Panom te *perduty* z sosem *à la Cardinal*. Alboż nie wyborne?—

Gospodarz spojrział z politowaniem na Francuza, a Grzesio, ruszając ramionami, mruczał — Jabym te jaja ugotował twardo, a potémbym je dał do ostrego pieprzu, i byłoby posilniej.

Na drugie danie były borowiki duszone w śmietanie z cebulką.—Tego sposobu przyrządzania grzybów—mówił zajadając pan La Montagne — nauczyłem się w Polsce od ładnej jak anioł kuchareczki, i dla tego je lubię. Jużciż to nie pieczarki na buljonie; ale w podróży, a dopióróż na wojnie, nie godzi się wymyślać.

Ostatnia potrawa była ze słodkiego twarogu, z przyprawą korzenną, którą pan La Montagne nazywał *arkas*.

Gospodarz niczego się nie tknął, zachowując dnia tego post ścisły, skutkiem uczynionego ślubu; ale rad był bardzo z dobrego apetytu swych gości, wypił nawet szklaneczkę miodu za zdrowie i szczęśliwe na wojnie sukcessa Gąsiewskich, ojca i syna, łamiąc na ten raz, jak powiadał, postanowienie nieużywania innego napoju, krom wody.

Przy pożegnaniu, La Montagne powiedział mi po cichu.

— Żałuję cię mocno, biedny przyjacielu, a szcze-

gólnie, że pozostać musisz w towarzystwie takiego Wi-  
zygota. Wyjdiesz stąd jak z nowicjatu Trapistów: bo  
kuchnia pana Ciwuna służy tylko za gniazdo tarakanóm,  
a jego Grzesio tak podobny kucharza, jak ja do tu-  
reckiego sułtana. Otóż naprędce napisałem ci ołów-  
kiem na tym świstku receptę kilku prostych, łatwych,  
ale chrześcijańskich przecie potrawek, ażebyś mógł tego  
gapia Grzegorza nauczyć w potrzebie. Bądź zdrow,  
przyjacielu, i staraj się wyrwać stąd co najprędzej; ina-  
czej skielełbyśmy twój tu tylko zastać mogli. Nie chciał-  
bym być w twój skórze.



## XII.

**P**rzeleżałem dni kilka w łóżku w silnej dość gorączce. Ziółka i smarowidła, któremi mię troskliwy mój gospodarz nieskopo częstował, usmierzyły powoli cierpienia, a młodość i dobra z natury konstytucja niemało zapewne przyłożyły się do skuteczności leków. Pan Ilgoński, ustąpiwszy mi swego alkierza, przeniósł się do pierwszej izby, gdzie mu goła, twarda ława, służyła w nocy za łożo. Myślałem, że to z mojej przyczyny poddał się tak wielkiej niewygodzie, ale mi Grzesio powiedział, że pan Ciwun, od czasu jak osiadł w tej pustyni, inaczej nie sypia.

Jedną z owych długich i dręczących nocy, kiedy ból srogi w nodze i w boku usnąć mi niedozwalał, chociaż ociężałe powieki ciągle się zamykały, usłyszałem szelest, po chwili ciężkie wzdychania i tłumione jęki.

Otwieram oczy... Wielki Boże! cóż postrzegam?... Oto wprost naprzeciwko mojego łóżka w głębi długiego a wąskiego alkierza... twarz Roazy jaśniejąca w czarnej pomroce!... Przecieram oczy, badam siebie czy nie śpię—patrzę pilnie... Ona! — Jój oczy, jój uśmiech, jój włos ciemny, rozpuszczony i wdzięcznie wijący się około białej szyi. Chcę się podnieść, aby się rzucić ku niej—ból srogi więzi mię na pościeli, a lube widmo już blednieje, już się znowu żywo rozpromienia, jakby miotane było naprzemian radością i trwogą. Nie mogę dłużej stłumić w sobie gwałtownego na ten widok uczucia...—Roazo! kochanko moja! tyżeś to?—zawołam w najwyższém uniesieniu. Zaledwem to wyrzekł, znowu usłyszałem szelest, i widzenie znikło. Zapłakałem jak dziecko nad moją stratą, złorzeczyłem méj niecierpliwości. Któż wie, myślałem, jeżelibym się nie odezwał, jak długoby jeszcze miłe to zjawienie łudziło me zmysły? Ale czy nie umarła czasem? czy nie duch to jój mię nawiedza, wzywa do niebieskich krain, do nieśmiertelnego związku? Strach mię niewolny przejął, żal potem gwałtowny, a nakoniec łagodniejsza idea blizkiego mojego zgonu, a zatem blizkiego złączenia się z Roazą. Świt poranny objawiły mi płasząc pienia, bo do alkierza mego światło przeze drzwi tylko wchodziło, a te były zamknięte. Natura żądała snu, trzeba jój było dogodzić. Przedrzemałem więc ze dwie godziny, i rozpalona głowa ukołysała się cokolwiek snem tym lekkim. Pan Ciwun odwiedził mię o zwykłej rannéj porze, i

obejrzawszy, rzekł — No, dzięki Bogu, gorączka przeszła, ale w nocy miałeś silną. Bredziłeś jak na mękach. Bo też młoda krew nie woda; jak się byle trochę zapali, to zaraz od serca do mózgu, i nuż wyrabiać dziwosy.—Miałem widzenie—odpowiém.—Eh, cóż w tém dziwnego — przerwał Ilgoński, — szatan nie śpi. On z każdej naszej słabości bądź dusznej, bądź cielesnej, chciwie rad korzystać.

— Ale to było widzenie raczej niebieskie, kochany panie Ciwunie!

— Ze słów, któreś wykrzykiwał w gorączce, wnosić mi trzeba inaczej. Co wy młodzi często, wybac mi, nierozważnie nazywacie niebem, są to czarodziejskie pokusy, nic więcej. Bo nieprzyjaciel duszny nie zawsze nam ukazuje swe pazury i rogi. Umié on i w najpobawniejszą odziewać się postać; a wtenczas właśnie najniebezpieczniejszy. Ciebie łudził obrazem miłośnicy, mnie innym dręczy sposobem i okrutniejszym daleko, bo stawia przed oczy cień lubego dziecka, które.... ale dość o tém. Kościół, matka nasza, podaje nam sposoby do uniknięcia tych sideł: krzyż Pański, przed którym upadają potęgi piekielne, woda święcena, której moc duchowna oczyszcza nasze mieszkania. Opatrzę cię w te święte narzędzia widzialne niewidzialnej broni, a kiedy je wzmocnisz modlitwą wierzącej duszy, odpędzisz od siebie tę *Roazę*, *aut quocumque alio nomine gaudet inferne*.

Boleśnie mię dotknęło to porównanie mego anioła,

mojej Roazy, do piekielnej mary, ale nie mogłem się gniewać na poczciwego starca, któremu szczerą zyczliwość myśl tę podała. Postanowiłem więc w cichości oczekiwać powtórnego ukazania się lubego oblicza, bom sobie nie mógł wyobrazić, aby zły duch śmiał wziąć na siebie postać téj, którą serce moje najczystszy czcił zapalem. Tymczasem Ilgoński okropił mnie i cały alkierz święconą wodą i zawiesił nad mojem łóżkiem bogaty relikwiarz, zawierający w sobie partykułkę drzewa krzyża Zbawiciela.—Nadeszła noc, której wyglądałem z tęsknotą połączoną ze strachem. Około dwónastej przebudzony zostałem znówu szelestem, i usłyszałem ciche łkania i jęki, ale te dochodziły do mnie z izby, w której spał starzec, a Roaza nie ukazała mi się już więcej. Słuchałem pilniej, a gdy się głos boleści znówu odezwał wyraźnie, nie podobna mi było brać tego za ułudę słuchu; zawołałem więc na mojego gospodarza. Wnet on mię zapytał przeze drzwi, czegobym potrzebował; a gdy mu powiedział co mię czyniło niespokojnym, przeprosił mnie za sprawiony mimo chęci szelest, prosząc abym na to nie uważał a starał się zasnąć. Poczém ułożył się na swój ławie, i głucha nastąpiła cichość. Nazajutrz zapytałem go o przyczynę tych jęków, które że z jego wychodziły izby, byłem najpowniejszy; ale na to nic mi nie odpowiedział, ciesząc się tylko, że już żadnego nie miałem widzenia. Następnéj nocy, znówu jęki, lecz bardziej przytłumiane. Nie mogąc dłużej zwyciężyć ciekawości, a znacznie już na si-



łach pokrzepiony, wyszedłem z łóżka, i uchyliwszy drzwi cichutko, ujrzałem przy słabym świetle kaganka przyczynę dziwnych tych bolesnych głosów. Starzec, krzyżem rozścielony przed krucyfiksem, modlił się gorąco. Podnosił się czasem z ziemi na kolana, i obnażając plecy, smagał się dyscypliną. Usiadł później na ławie, i przesuwając w cichości paciórki, kończył te nocne pobożne ćwiczenia.

Odkrycie to uspokoiło mnie. Zawczorajsze widzenie poczytałem za skutek gorączkowego marzenia. To zaś, com teraz oglądał, przekonywało mię, że pan Ilgoński był pokutnikiem, i że dobrowolnie siebie wygnął na tę pustynię, aby w modlitwie i umartwieniu ciała znaleźć bądź uspokojenie zgryzot sumienia, bądź ulgę w ciężkim jakimś strapieniu, bądź nakoniec krótszą do zbawienia drogę. Pilniej mu się przyglądając, odgadywałem ze smutnego wyrazu twarzy i ze słów niektórych, że ciężka, skryta boleść dręczyła mu serce.

Uszanowanie, jakie wzbudzał we mnie wiek weterana, nie dozwalało wręcz go zapytać o przyczynę jego niedoli; on zaś, przez sam nałóg milczenia, w jakie się wprowadził przez ciąg tak długi pustelniczego życia, nie miał snąć ochoty przypuszczać młodego zwłaszcza człowieka do swęj konfidencji. Zrazu nawet z przymusem zdawał się obojętne zadawać pytania o miejscach i ludziach, co go dawniej żywo obchodzić musieli; ale jak zwyczajnie bywa, (osobliwie w podeszłym wieku), potok słów rośnie w biegu, a nałóg milczenia nie jest

z liczby zbyt do przełamania trudnych. Zachodziło prócz tego między nami widoczne podobieństwo w uczuciach. Obu nas, choć w nierównej mierze, ze względu na samą różnicę wieku, dręczył niepokój i smutek. Każdy miał na sercu tajemnicę, która gdy się powierzy współczującej duszy, połowę traci swojego ciężaru. Bóg litościwy opatrzył tę dla nieszczęśliwych osłode, że się ich serca snadniej niż w pomyślności kojarzą, że kto sam cierpi, ten najlepiej bratnie pojmuje cierpienie. Tym sposobem ja i pan Ilgoński uczuliśmy niebawnie wielką słodycz w poufałej z sobą rozmowie. Jedno wspomnienie przywodziło starcowi na myśl drugie. Odpowiedzi moje na jego zapytania pobudzały go do czynienia mi coraz nowych. Wieś, w której spędziłem pierwsze méj młodości lata, była kiedyś jego dziedziczną; wszystko w niej tedy miało dla niego miejscowy interes. Taką koleją, opisując różne zdarzenia, przywieziony byłem do opowiadania mu historii pojmania i wychowania Roazy, zataiwszy tylko miłość, która mię z nią łączyła. Ilgoński słuchał téj powieści z wielką uwagą i wzrastającym zajęciem. Wiek dziewicy, miejsce, w którym znaleziona była, wprawiły go w głębokie rozmyślanie. Wykrzykniki: miłosierny Boże! — czyżby to być mogło! — próżna nadzieja! — ach, gdy by tak było! i t. p., wyrывały się z jego wzruszonej piersi. Kazał mi po kilkakroć powtarzać opowiadanie, a gdy postrzegł moje z tego względu zadziwienie, rzekł z głębokiem westchnieniem, pocierając ręką czoło, jak-

by dla odegnania natarczywej myśli — Nie zważaj na to dziwactwo, młody przyjacielu! Jest to zapewne urojenie chorągłój mojej głowy. Żebyś mię jednak nie wziął całkiem za warjata, wyznać tobie muszę, że dziwnym, nieszczęśliwym przypadkiem, utraciłem córkę w niemowlęctwie; a ponieważ cios ten spotkał mię właśnie w miejscu, gdzieście wy znaleźli tę dziką dziewczynę, i ponieważ lata jej zdają się odpowiadać czasowi, w którym mię Bóg tém nieszczęściem dotknął, zawięta mi razem myśl dziecinna do głowy, że ta Łoteweczka mogłaby być moją jedynaczką.— Tu upadłszy na kolana i wznosząc ręce ku niebu, zawołał — O Boże! odpuść grzesznikowi myśl tę zuchwałą, że przebłagał słuszną Twą surowość! że się godnym stał Twojej litości! że mu powrócisz utracone dziecię!—Niegodzienem, o Panie, tak wielkiego szczęścia! Odwróć więc ode mnie to pokuszenie, a niech się we wszystkiém dzieje wola Twoja święta.—

Na te słowa starca radośne jakieś uczucie objęło mą duszę. Zgodność miejsca i czasu dostatecznemi były do ugruntowania we mnie nadziei, że przyjaciółka moja była właśnie tém dziecięciem, którego stratę opłakiwał nieszczęśliwy starzec. W cichój więc naprzód modlitwie błagałem Boga, aby nam dopomógł do odkrycia tak pożądanej prawdy, a potem zwierzyłem się Ilgońskiemu wszystkich moich w tym względzie domysłów.

Nie potrafiłbym opisać poruszeń biednego ojca, którego serce w ciągu tej rozmowy miotane było coraz to

inném uczuciem. Już się poddawał nadziei z dziecinną prawie radością, już odpychał od siebie tę pocieszycielkę z rozpaczą człowieka skazanego na wieczną niedolę.... Ale jestże żyjące serce, co by się prędzej lub później nie dało owładać urokowi miłego przeczucia? Jestże noc tak ciemna w duszy śmiertelnika, którejby mroku ta gwiazda nie rozjaśniła choć na krótką chwilę? Gdybym o tém wątpił, przykład Ilgońskiego położyłby mój wątpliwości koniec. Kilkanaście lat przedzonych wśród ciągłych umartwień ciała, zajęcie myśli rzeczami innego świata, nie zdołały jednak zerwać związków jego z ludzkością; została nić łącząca go z ziemią, a tą nicią była ukryta w sercu jego nadzieja znalezienia swojego dziecka. Nie umiał wprawdzie zdać sobie sprawy z dziwnych przeczuwań, nazywał je szaleństwem imaginacyi, odpierał nawet jak pokusy dusznego nieprzyjaciela, zwracając myśl jego ku widokom doczesnego szczęścia; ale naprózno coraz nowemi ostrościami żywota odganiał je od siebie usiłował: serce jego, jak sam mi to później wyznał, rozstać się z niemi nie mogło.

W dziecinnych swych uniesieniach żądał, hym mu opisał aż do najdrobniejszych rysów twarz Roazy, postawę ciała, dźwięk nawet jój głosu, i gniewał się, że tego dokładnie uczynić nie był w stanie; to znowu wymagał najświętszych urzędzeń, że go nie oszukiwał, że ona była taką, jak mu ją opisywałem. Oczy jego wprzód mętne, nagle zajaśniały, zgarbiona postać wy-

prostowała się, wzrostu mu, zdawało mi się, na kilka przybyło cali. Padał na kolana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, ale się nie mógł modlić ustami, duszą tylko rozmawiał z niebem.

Ja z méj strony podobnego, choć w mniejszym stopniu, doznawałem odurzenia zmysłów. Wiek młody szczęśliwszy w takich przypadkach od podeszłego, byle uchwycił najsłabszy promyk nadziei, wnet zeń, za pomocą bujnej, nieostudzonej lodem doświadczenia imaginacyi, wyprowadza potoki światła i zanurza w nich swą duszę z weselem.

Podobni byliśmy oba do dwóch morskich rozbitków, słabiej trzymających się deszczki, z których jeden widzi w zachwyceniu blizki brzeg powabnej krainy, drugi, nie ufając oczóm, postrzega tylko skały sterczące nad powierzchnią fali.

Nadeszła noc; rozstaliśmy się niechętnie, udając się każdy na swoje posłanie. Starzec przepędził ją, jak mi powiadał, bezsennie; ja przeciwnie w snach już miłych, już straszliwych, odbijających bez ładu i związku obrazy, które się wprzód na jawie tworzyły w méj głowie, a w których Roaza główne zajmowała miejsce.

Nazajutrz, przy skromném śniadaniu, rozmowa moja z Ilgońskim naturalnie zesłała na tenże sam przedmiot; nigdy bowiem dwóch ludzi nie było w większej z sobą zgodności uczuć i chęci, jak ja z nim w tej chwili. Stan taki serc mimowolnie wiedzie do największego wzajem zaufania. Dusza młodzieńca pocho-

pniejszą jest do tych wylewów; nie dziw przeto, że ja pierwszy (marząc zwłaszcza już w Ilgońskim prawdziwego ojca Roazy) wyjawiał przed nim miłość moją ku dziewicy, i oparte na jej wzajemności najmiłsze moje nadzieje.

Starzec był prawie przygotowany usłyszeć to wyznanie; nie uszedł bowiem doświadczonemu jego oku zapach, z którym mówiłem o Roazie, a z którego domyślał się o moich dla niej uczuciach. W obecnej atoli chwili, jedna tylko myśl, jedna trwoga, jedna nadzieja, jedna żądza panowała w jego duszy.— Prośmy Boga—powtarzał po wysłuchaniu mej konfessaty— prośmy Boga, aby ona nią była! Usiłujmy jedynie przekonać się, czy ta nadzieja, co nam teraz przyświeca, nie jest ułudą, a nie pozwalajmy sobie na tak błahę zasadzie budować projekta na przyszłość, abysmy nie obrażili Boga płocnością żądz naszych. On widzi, jakę ty mi, chłopcze, miły; ale na tę miłość zaklinam ciebie, nie mów mi więcej o twoich marzeniach, by i mnie czasem myśl jaka nie opanowała, którąbym sobie w dzisiejszym moim pokutnika stanie za grzech poczytać musiał. Przekonasz się o tém, wysłuchawszy historyi nieszczęśliwego mojego życia, którą ci opowiem w dowodzie powziętego ku tobie affektu. Obudziłeś w mej duszy czucia prawie już w niej zamarte. Wyszłe źródło łez moich otworzyło się znowu z wielką ulgą ścisnionego serca w rozmowie z tobą; niechże z wyja-

wieniem przed tobą mych nieszczęść i win, spadnie jeszcze ciężki kamień z piersi moich.

Po krótkim zebraniu myśli, pan Ilgoński tak zaczął:

Młodość moję spędziłem na dworze księcia hetmana Sapiehy. Dostałem się do tego pana około czasu, kiedy on pierwsze swe poselstwo do Moskwy odbywał, a było to bodaj w roku 1584. Nie będę ci opisywał téj podróży; nic mi bowiem z niej nie pozostało w pamięci, krom marnych uciech, okazałości i biesiad, w których ochoczo młodociane nurzało się serce, otwierając tym sposobem bujnym namiętnościom przystęp do siebie. Podczas kiedy książę Lew z Carem Fiedorem, synem Iwana Groźnego, ważne toczyli sprawy, większa część orszaku poselstwa, z młodych litewskich złożona paniąt, szukała sobie w zamożnej moskiewskiej stolicy rozrywek, których domy bogatych bojarów obficie dostarczały. Niżsi dworzanie, w których ja byłem liczbte, naśladowali wyższych. Hulanki, ucztę, igrzyska, codziennie nas zajmowały, i łatwo się domyślić, iż się to wszystko nie obeszło bez obrazę Boga. Rzecz atoli pewna, że poselstwo księcia Lwa Sapiehy odbyło się nie tylko z przepychem i wspaniałością, ale oraz z dobrym skutkiem dla spraw rzeczypospolitéj i z wielką sławą dla samego posła.

—Po śmierci króla Stefana, Lew Sapieha, popierając elekcję królewicza szwedzkiego, a dzisiejszego króla naszego Zygmunta, przeciw Maxymiljanowi ar-

cy-książęciu austryackiemu, któremu większa część Litwy sprzyjała, wpływem swoim i zręcznością przyłożył się do zwyciężenia tego niebezpiecznego współzawodnika, i w nagrodę téj zasługi, pieczęć wielką litewską otrzymał. Wkrótce zaś po swój koronacyi nadał mu Zygmunt wiecznemi czasy dobra Skorwińskie w Czerejszczyźnie, między jego włościanami w województwie Połockiem leżące. Do rzeczonych elekcyjnych zabiegów byłem i ja nieraz od księcia używany, a wykonawszy, jak mówią, *per fas et nefas*, ale z wielką gorliwością różn<sup>e</sup> poruczenia, większe zyskałem względy.

—Łaskę atoli książęcą, jakem już powiedział, winieć byłem szczególnież zręcznemu promowaniu na sejmikach kandydatów Sapieżyńskiej partyi i junackiej odwadze w popieraniu częstokroć sprawy naszej szablą. Nie myśl jednak, żebym tak czyniąc, wypełniał wolę mego mecenasa. Książę Kanclerz nie był wolen ambitu, ale mąż to w gruncie serca prawy; gdyby wiedział o niektórych moich sejmikowych sztuczkach, nie zagrzałby miejsca w jego domu. Nie tajno mi to było, ale chuć nabycia znaczenia i pieniędzy czyniła mnie odważnym, a namiętny, gwałtowny charakter posługiwał nieraz do przełamania trudności, któreby poważnego, a szczególnie szkrupulatnego człeka na téj drodze wstrzymały. Widząc do jakich mię successów łaska takiego, jak Lew, magnata doprowadzić zdoła, służyłem jemu gorliwie, własnej atoli korzyści nie spu-



szczając z oka. Brak ten hartu duszy przypisać w wielkiej części mogę zaniedbanęj w dzieciństwie religijnej instrukcyi. Ojciec mój w czasie krzewiącego się na Litwie wyznania augszpurskiego, zachwyciwszy tego sektarstwa, i mnie w nióm niby wychował. W błędnych więc zasadach wiary (a prawdziwiej mówiąc, bez religijnych zasad) dostałem się na dwór księcia, który sam podówczas ze swą małżonką rzeczzonego trzymał się wyznania. Stało się jednak, iż w roku 1585 (czego atoli nie byłem świadkiem) książę w wigilją święta Pańskiego, częstując licznie zgromadzonych gości, przedłużył ochotę aż do białego dnia, i należycie nie wytrzeźwiony, udał się na nabożeństwo do zboru ewangelickiego; tam zaś minister zborowy jął go zniewalać, aby nie zważając na tę okoliczność, przystąpił wraz z innemi do kommunji. Postępek ten duchownej osoby oburzył mądrego i bogobojnego pana. Postanowił więc odrzec się błędlwej wiary, której wyznawcy, jak się wyrażał, nazbyt poufale z Bogiem swym postępują. Ażeby jednak nie zmartwić nagle żony swęj, z domu Firlejówny, przywiązanej do swego wyznania, nawrócenie swoje wykonał w tajemny sposób.

—Wybrał się tedy ze dworem na wielkie łowy, a kiedy my wszyscy uganiałiśmy się po międzyrzeckich kniejach za zwierzem, on tymczasem udał się z jednym tylko pacholikiem do myśliwskiego domku, zbudowanego w puszczy, gdzie już na-niego oczekiwał wcześniej zaproszony kapłan. W téj samotnej ustroni przepędza

Lew dzień i noc całą na pilném roztrząsaniu sumienia, wyznawa z prawdziwą skruchą przed kapłanem grzechy w ciągu trzydziestoletniego życia swego popełnione, odrzeka się błędów swój herezy, i otrzymuje rozgrzeszenie. Na drugi dzień dopiero złączył się on ze swym orszakim; a kiedy uradowani przyjaciele i słudzy otaczają go i opowiadają w jakiej byli o niego niepokojności i trwodze, nie wiedząc gdzie się był podział, i myśląc, że się gdzieś zabłąkał— Zaisie błądziłem— odrzekł z uśmiechem— ale z łaski Boga trafiłem nakoniec na dobrą drogę, i oto mnie macie w najlepszym zdrowiu. — Ledwie w rok później, po uczynioném przezeń w Krakowie publicznym wyznaniu wiary katolickiej, poznaliśmy prawdziwe onych słów jego znaczenie.

—Muszę tu przytoczyć sen cudowny, który miała księżna jéjmość właśnie owéj nocy, kiedy mąż jéj odbywał w lesie spowiedź. Oto, ujrzała we śnie sędziwego starca, który do niéj mówił: „*Ty spisz, a mąż twój myje się w kąpielu.*” Na te słowa przebudzona przejmuje się wielką trwogą o zdrowie swego małżonka, tłumacząc sobie rozmaicie ową kąpiel, raz za deszcz ulewny, drugi raz za krew ze zranionego na łowach męzowskiego ciała, a nie może się domyślić, że ta kąpiel znaczyła łzy skruszonego przed Bogiem serca, znaczyła krew z ran Jezusowych płynącą na obmycie z grzechów sumienia, jak to w rok potem sobie wytłumaczyła, po uczynioném od męża wyznaniu wiary

katolickiej, którą i sama przyjęła, skutkiem łaski oświecenia w nagrodę cnot swoich. (\*)

—Przykład księcia pana pobudził mnie do odrzuczenia się mego wyznania; nie było w tём atoli prawdziwego natchnienia duszy, ale raczej chęć przypodobania się J. O. mecenasowi, chęć utwierdzenia się w jego łasce i zaufaniu, wcale niezgodna z ważnością rzeczy tak stanowczej. Biada człowiekowi, który bierze religiję za narzędzie swych ziemskich widoków! Byliśmy natenczas w Krakowie, gdzie się znajdował i ksiądz Piotr Skarga Jezuita, sławny ze swęj świętobliwości i cudownęj wymowy kapłan. Udałem się do niego, jako do wysoce od samego króla cenionego męża, aby jednego jeszcze zapewnić sobie znakomitego protektora; ale ten mąż, ducha Bożego pełen, odkrył wnet rzeczywiste pobudki mego nawrócenia, i po wybadaniu mię należytém, rzekł do mnie: „Nie widzę w tobie, „mój synu, potrzebnych usposobień duszy do przyjęcia „naszjęj świętęj wiary; lękam się owszem, abys nie „chciał jęj nabyć dla twęj lepszjęj na tym tu świecie „wygody, jak zwykliśmy zmieniać odzież stosownie do „przemian powietrza. Owoż takie mizerne względy „nie powinny mieć miejsca w rzeczach Boskich, w przed-

---

(\*) O tych dziwnych szczegółach nawrócenia Lwa Sapiehy i jego małżonki piszą ich spółcześnie: *Rostowski* pod rokiem 1586. Lib. III. fol. 158. *Rywocki in Idea magni Herois*.— Patrz *Życia Sławnych Polaków Tom I. w Wyborze Pisarzów Polskich, wydanie Mostowskiego.*

„sięwzięciach tyczących się przyszłego losu nieśmier-  
 „telnej duszy naszej. Wiedz albowiem, iż jeżeli ko-  
 „ściół nasz święty z radością na łono swoje przyjmuje  
 „wracające doń obłąkane owce, brzydzi się atoli ta-  
 „kiemi, co doń przychodzą dla zmysłowego tylko że-  
 „ru, jak to mówią: *non propter Jesum, sed propter*  
 „*esum*. Zbadajże pilniej, mój synu, wnętrze twego  
 „serca; przeniknij się lepiej duchem wiary, rozważ  
 „głębiej naukę katolickiego Kościoła, a nadewszystko  
 „oczyszć serce i myśl ze wszystkich złych chuci, ode-  
 „przyj się całą duszą czarta, pobudź siebie do szczerzej  
 „skruchy za grzechy, do szczerzego przedsięwzięcia po-  
 „prawy życia, bez czego odmiana religji nie mogłaby  
 „cię zbawić; a wtenczas przychodź do mnie szukać  
 „wiary w duchu prawdy. Ja tymczasem niegodne mo-  
 „dły moje ofiarować będę za ciebie Panu.” Témi słó-  
 wy pożegnał mię kapłan prawy, ja zaś zawstydzony,  
 ale nie poprawiony, daleki od korzystania z rad jego  
 zbawiennych, znalazłem innego księdza, który nie tak  
 gruntownie roztrząsnawszy moje pobudki i usposobie-  
 nia, a wiedziony tylko chęcią nawracania dyssyden-  
 tów, przyjął moję rewokacyę, i do liczby wyznawców  
 katolickiej wiary bez dalszych trudności zapisał.

—Wyznać oraz muszę jeszcze jedną ważną pobud-  
 kę mojego nawrócenia. Marszałek Sapieżyńskiego dwó-  
 ru, Borzymiński, wdowiec, miał córkę młodziutką i  
 bardzo nadobną. Piękna ta i cnotliwa panna, była  
 rzec można, ozdobą fraucymeru księżnej kanclerzyniej.

Miała też ona wielu konkurentów; ale ojciec tém był trudniejszy w wyborze zięcia, im większe sobie rościł nadzieje pomyslnego związku ze względu na piękne przymioty i niezły posag swój jedynaczki. Mnie się ta panna podobała nadzwyczajnie. Uczułem wkrótce do niej gwałtowny affekt, może właśnie dla tego, że z jej strony niepostrzegałem wzajemnej skłonności. Dwie prócz tego stawały mi na drodze przeszkody: ubóstwo i różnica religji. Postanowiłem więc zacząć od usunięcia ostatniej, przyjmując wiarę katolicką. Był to, jak mówiłem, w oczach moich szczebel do podniesienia się w łasce u księcia; na téj zaś budowałem fortuny i miłości mojej nadzieje. Byle się dobić popłaconego urzędu, reszta myślałem, już mi pójdzie jak z płatka.

—Tak tedy katolik z imienia, a w gruncie do żadnej nie przywiązany wiary, udawałem pobożność dla przypodobania się księciu, pochlebiałem Borzymińskiemu, i z wielką ostrożnością zalecałem się pannie. Kolegów moich postrzegałem pilnie, aby się nikomu nie dać ubiedz w łasce u pana, tych zaś szczególnie, którzy, jak to mówią, smalili cholewki do panny Teresy. Sokoli wzrok zazdrości dał mi wkrótce odkryć, iż jeden z dworzan, nazwiskiem Łukaszewicz, przystojny, zacny młodzian, ale skromny i bez doświadczenia, wzdychał w cichości do córki marszałka. Niebezpieczny był to współzalotnik, bo piękniejszy i bogatszy ode

mnie, przytém szacowany od ojca panny, i w łasce u obojga książąt. Śledząc wszystkie jego kroki, spostrzegłem niebawnie z przerażeniem, że i ona nie była ku niemu obojętną. Trzeba mi więc było zgubić go koniecznie. Zwykłym tedy trybem chytróści, szukałem przystępu do jego serca, a niedoświadczony, prostoduszny młodzieniec, biorąc obłudne moje oświadczenia i fałszywe przystęgi za prawdziwy affekt przyjaźni, wpadł niebacznie w nastawione nań sidła. Owładnąwszy nim całkowicie, stałem się wkrótce panem tajemnicy jego serca, i obowiązałem się dopomagać w tych jego zamiarach, warując sobie, aby nic nie czynił beze mnie. Uposłedzenie zaś jego w oczach panny, jój ojca, książąt i całego dworu, zdało mi się najlepszym środkiem do naniesienia mu zgubnego ciosu. W tym haniebnym celu, umyśliłem zepsuć jego obyczaje, a przynajmniej zachwiać jego reputację, wciągnąwszy w złe towarzystwo. Mieszkaliśmy wówczas w Krakowie. Miałem tam skryte stosunki z ludźmi bawiącymi się rzemiosłem oszustów, na jakich żadnej stolicy nie zbywa. Z niektórymi z nich znałem się dawniej na Litwie, używając ich, za pieniądze księcia, do intryg sejmikowych. Byli mi tedy obowiązani i gotowi na każde moje skinienie, lecz związki z temi nędznikami umiałem należycie ukryć przed uczciwymi ludźmi.

— Na czele téj bandy był Włoch, wyćwiczony koster, którego talentom tak w karty jak w kości za-

den z nas Polaków nie sprostał. Towarzysze dostarczali mu fryców, a jego rzeczą było ogrywać ich i dzielić się z pomocnikami zdobyczą. Wieczorynka zaczynała się wesołą ucztą, której towarzyszyły; mniemana żona, córki i synowice godnego pana Brykoniego. Nie żałowano wina, a gdy się już podochocili goście, następowała gra, i co za nią idzie, ruina nie jednego nierozważnego młokosa. Do tego to domu postanowiłem wprowadzić biédnego Łukaszewicza, i na ten koniec nastreczyłem mu niby z przypadku znajomość z jedynym z najrzęczniejszych rzezimieszków, który, jak wilk w baraniéj skórce, potrafił udać przed nim poczciwego rubachę, i tak go powoli opętał, że dał mu siebie w końcu za nos wodzić. Ten wiec oszust, wprowadziwszy niedoświadczonego młodziana do swéj jaskini, nie przypuścił go zrazu do wszystkich téj komitywy sprosności, chciał go bowiem omamić pozorem niejakiem przystojności w tym domu. Wieczerza zatem odbyła się wesoło, atoli przystojnie, w ciągu której gospodarz bawił gości dowcipnemi dykteryjkami, a potem jedna z młodych kobiet piękne śpiewała piosenki, przygrywając sobie na lutni. Łukaszewicz odszedł uradowany z mile przepędzonego wieczoru. Tak go przynećiwszy, podsuwał mu zwodziciel coraz to nowe pokusy. Cóż za dziw, że młody bez doświadczenia człowiek smakować sobie zaczął w tém rozwiązłym życiu. Ale prawość charakteru i dobrze zaszczepione zasady uchowały go od całkowitego zepsucia. Potrafil oszu-

sty upajać go i ogrywać, ale nie zdołali uczynić nie-  
cnotą.

— Dla mnie dość było już pozoru do zrujnowania jego reputacji z każdego względu. Postępowałem atoli z całą ostrożnością wierutnego obłudnika, bo nietylko przed nikim nie oskarżyłem przyjaciela mego, alem go całemi siłami zrazu bronił, a później chytrze nad krewkością jego ubolewał. Księstwo, Borzymiński i jego córka, dowiadawali się z boku o nieporządnej konducie Łukaszewicza; we mnie on zawsze miał adwokata, chociaż ta pozorna obrona szkodziła mu właśnie najbardziej. Postrzegł się nareszcie, opuścił tę jaskinię łotrów, zostawiwszy w niej część swojego mienia, wrócił z prawdziwą skruchą na dawny tor przykładowego życia, ale choć przeprosił księcia, nie mógł się podnieść całkowicie ze swego upadku, nie pozyskał na powrót dawnych względów, utracił przyjaźń Borzymińskiego, zachwiał na czas długi ufność, jeżeli nie stracił affektu swój ulubionój. — Tak to, mój synu, ważnym być trzeba młodemu w wyborze przyjaciela, tak oraz jeden krok płochoci zaprowadzić może w głęboką kałużę rozpusty, tak nakoniec, splamiwszy raz dobrą konduite, nie podobna prawie oczyścić jej całkowicie w oczach ludzi.

— Wiodąc Łukaszewicza do zguby, cel miałem podwójny: wyrugować go z serca panny Borzymińskiej i razem z łaski księcia. Pierwszy chybił, drugi dał się osiągnąć zupełnie.



—Zawakowało miejsce gubernatora czyli rządcy w owych dobrach Skorwińskich *alias* Skoruty, które, jak ci już mówiłem, książę był otrzymał od króla w województwie Płockiem, w nagrodę swych gorliwych czasu elekcji usług. Łukaszewicz miał sobie przyobiecana ważną tę administrację, i byłby ją otrzymał, gdyby nie ta dla niego nieszczęśliwa okoliczność, która zachwiała ufność, jaką w nim pokładał książę. Ja tymczasem skorzystałem doskonale z upadku spółzawodnika mego. Nie opuszczając żadnego środka, nadskakiwałem nadwornemu kapelanowi, wielkiego udając nabożnika. W dni powszednie służyłem mu do mszy, nosiłem na processjach baldakin, czasu kazania stawałem naprzeciwko ambony, aby widział, z jaką go słucham uwagą i skrucą. Zaskarbiłem więc tym sposobem jego względy, i użyłem protekcji do otrzymania rzeczzonego miejsca. Teraz-to dopięro zaczęła się rzeczywista moja krescytywa. Dobra piękne, włościanie zamożni, łatwy spław zboża i drzewa do Rygi Dźwiną — wszystko mi sprzyjało matać na swoje kółka porządne z téj administracji obrywki. Nie potrzebowałem nawet plamić się kradzieżą pańskiego grosza. Téj przynajmniej ostatniej podłości nie popełniłem. Ale nie miałem szkrupułu prowadzić handel na własną rękę. Zawiązałem w Rydze z kupcami korzystne stosunki, biorąc od nich prócz tego sówite porękawiczne od każdego przywozu produktów z obszernego klucza. Włościanie znosili mi podarunki przy rozsądzaniu spraw i

nowych podziałach gruntów; ekonomowie folwarków i arendarze karczem znali się także na podobnej grzeczności; furmanki do zwozu moich towarów miałem *gratis*; słowem, że takimi uczciwymi, jak wielu podoba się nazywać, sposobami, dorobiłem się w krótkim czasie pięknego kapitaliku. Dochodziły wprawdzie czasem na mnie zażalenia do księcia; ale że wysyłani rewizorowie nie znajdowali nigdy nic do zarzucenia moim rachunkom i księgom, utrzymywanym w najlepszym porządku, że proporcjonalnie większe nawet z mojego klucza niż z wielu innych do kasy pańskiej wchodziły importacje, utrzymałem się w renomie dobrego administratora, odbierałem co roku gratyfikacje, aż nakoniec konferowany mi kredens na urząd Uszerskiego ciwuna uzupełnił pomyślnie stanowisko moje w szlacheckiej klasie.

— Teraz już, rzekłem sobie, czas potentować znowu o pannę Borzymińską. Dodać muszę, iż zaszła była jeszcze jedna okoliczność, smutna dla księcia Sapięhy i jego przyjaciół, ale dla mnie zkadynąd pomyślna. Księżna jejmość, pierwsza małżonka Lwa, zeszała z tego świata w 1591 roku, właśnie kiedym ja objął gubernę dóbr Skorwińskich. Teresa Borzymińska straciła w niej, rzec można, matkę. Dopóki żyła ta pani, samby ojciec nie śmiał zmuszać swęj córki do małżeństwa przeciw jęj woli, a księżna, wiedząc o przychylności swęj wychowawicy dla Łukaszewicza, który, pomimo swęj przypadkowej płochości, w większej o-

demnie był u niej estymie, sprzyjała ich wzajemnej skłonności; lecz bądź z uwagi na wielką jeszcze młodość panny, bądź że się z nią tak rychło rozstać nie chciała, a może i w celu zapewnienia się o rzeczywistej poprawie młodziana, odłożyła do pewnego czasu wdanie się za niemi do ojca i do księcia. Tymczasem śmierć ją zaskoczyła, a stroskana Teresa, pozbawiona orędowniczki, przeszła całkowicie pod władzę swojego rodzica. Byłem więc z téj strony spokojniejszy, i tém zarliwiej zająłem się złożeniem sobie co najprędzej majątku. Dopiąwszy tego celu, udałem się do Wilna, gdzie podtenczas ksiązę rezydował z dworem, a chociaż chłodno od panny powitany, oświadczyłem ojcu moje zamiary i prosiłem o rękę Teresy. Ten zaś tak mi odpowiedział: — Przyjmując z rekognicją deklarację waszmości, otwarcie powiem, że méj córki nie wydam, jeno za posesjonata, i *notabene*, nie na wiosce, ale co się zowie na wiosce. Wiem, że waszmość masz już *certum quantum*, ale ja pragnę, by zięć mój miał swój własny ziemi kawał. Takie jest, mości Ciwunie, moje *ultimatum*.

— Nie było co dysputować; znałem upor dziada, wziąłem się więc do nabycia ziemnego majątku. Sąsiadując prawie z Inflantami, zajrzałem tam, i udało mi się kupić dobra Auleńskie od pewnego pana Grotuza, na bardzo dogodnych kondycjach, bo na restancję należnej sobie summy, której złożyć nie byłem w stanie, zgodził się poczciwy Niemiec przyjąć odemnie

z kilkoletnim terminem oblig, a wydał mi zaraz czyste sprzedażne prawo. Taką opatrzony bronią, rozpocząłem znowu konkury, i tą razą ojca zaspokoilem zupełnie. Przeczytawszy prawo, intromissję, oraz inwentarze Aulji, uściskał mię serdecznie, przywołał córkę, i oznajmiwszy wolę swoją, włożył jęj na palec ofiarowany odemnie djamentowy pierścień, nawzajem mi od nięj dając kosztowny sygnecik, jedną z pamiątek po nieboszczce księżnie jęj pani. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy biędnej dziewczyny w tęj dla nięj stanowczej chwili. Trzeba było być takim jak ja wtedy samolubem, żeby się nie zmiękczyć głębką żaloscią i słodką oraz rezygnacją, co się malowały na jęj nadobnej twarzy. — Nie kocham waszmości — rzekła do mnie — bo kłamałabym mówiąc inaczej; ale oto jest moja ręka, ponieważ tak chce mój pan ojciec, a Bóg mi go słuchać przykazał. — To wyrzekłszy, upadła zemdlona. Starzec się zafrasował zrazu, lecz później rzekł sobie i mnie na pociechę — Alboż i moja nieboszczka żona nie robiła tych fochów przed ślubem? a jednak żyliśmy z sobą w zgodzie, jaką daj Boże każdemu małżeństwu. — Łukaszewicz, uwiadomiony o zaręczynach, wszystkiego się dopiero domyslił, a słusznym uniesiony gniewem, w obliczu marszałka i dworzau niecny mój postępek na oczy mi wyrzucił, obelżywych nie szczędząc wyrazów. Przyszło do kłótni, i w ślad do pojedynku. Porąbaliśmy się nawzajem; ale moje rany były lekkie, on zaś kilka niedziel przele-

zał niebezpiecznie, a tymczasem odbyło się moje z wy-  
 darta jemu najmiłą wesele. Właśnie, pożegnawszy  
 teścia, wszedł z żoną do powozu, kiedy Łukaszewicz  
 łoże boleści opuścił, i patrząc na odjeżdżającą, jakby  
 wieszcząc te słowa na wieczne pożegnanie do niej wy-  
 rzekł: — Nieszczęśliwa Tereso! bądź zdrowa!... Stałaś  
 się pastwą przewrotnego człowieka... Los twój z nim bę-  
 dzie smutny, bo nad zdrajcą wisi straszna pomsta nie-  
 bios!... Bądź zdrowa! Złączymy się w niedalekim cza-  
 sie na lepszym świecie na wieki! — Żona moja, opu-  
 ściwszy głowę, długo płakała w cichości, mnie zaś  
 złowieszczce Łukaszewicza słowa brzmiały długo w u-  
 szach, a nazawsze ugrzęzły w sercu.

— Podróż nasza przeciągnęła się nad spodziewanie,  
 bośmy zbaczać musieli z traktu dla nawiedzenia bliź-  
 szych moich i żony mojej krewnych na Litwie, w ka-  
 żdym zaś domu gościnnie przyjmowani; więcej miesia-  
 ca kaligiem od komina do komina wędrować przyszło,  
 nimśmy odbyli wszystkie nawiedziny i mogli się pu-  
 ścić prostą ku domowi drogą.

— Przejeżdżając przez Brasław, zatrzymał się  
 w tym miasteczku na popas. Znajomy tamczemu ple-  
 banowi, postanowiłem go odwiedzić; a jako żona mo-  
 ja utrudzona podróżą potrzebowała spoczynku, udałem  
 się sam do probostwa. Plebana nie zastałem w domu.  
 Zastępował miejsce jego komendant Żmudzian z pod cie-  
 mnój, jak mówią, gwiazdy. Znalazłem go otoczonego  
 gromadą chłopstwa, wydającego wyrok na Cyganekę,

oskarżoną o czary. Była to lat średnich, wysokiego wzrostu, przystojna niewiasta, mająca w rysach śniadą twarz, a szczególnie w czarnych dużych swych oczach, wyraz osobliwszy. Mówiła płynnie, z dziwnym zapałem i zuchwałością nadzwyczajną. Nie trwożąc się groźbami księdza, szydersko odpieierała zarzuty oskarżycieli, na czele których był szlachcic zaściankowy, któremu grad wybił pole właśnie, gdy ta Cyganka, chroniąc się od burzy, weszła pod dach jego. Mnie miał przeto, iż mu ona przez złość sprowadziła nawałnicę, ponieważ grad prócz jego zagonów nikomu wówczas nie uczynił szkody.— Głupcze!— odpowiedziała— gdybym nawałnicę nieba miała na me zawołanie, to bym nie czekała długo z wydaniem rozkazu, aby wam wicher osłe wasze głowy poukręcał; a przecież stojcie tu żywi i szcękacie zdrowi na niewinną kobietę.

— Ta śmiałość czyli zapamiętanie kazała mnie mieć komendarzowi, iż rzeczywiście była opętana. Zaczął więc od exorcyzmów; a gdy to nie uhamowało ostrego języka Cyganki, zdecydował, aby była pławioną (1). Wyznam-że tobie, mój synu, że będąc świadkiem tej zabobonnej okrutnej praktyki, nie rzekłem słowa w obronie nieszczęsnej kobiety?

— Jakaś dzika, niewytłumaczona ciekawość zdjęła mnie w tej chwili; miało więc wstrzymania nierozsądnej żarliwości księdza, czekałem w milczeniu nowego dla mnie widowiska. Wtedy Cyganka, rzucając na

(1) Patrz przypisek na końcu Tomu.

mnie swym przenikliwym wzrokiem, wyrzekła dobitnie te pamiętne słowa: — I wy także, Sapieżyński niegdyś dworzaninie, a dziś dziedzicu i urzędniku, i wy się nie wstydzicie być niemyym świadkiem okrucieństwa téj zaslepionéj gawiedzi, a przecie z oczu wam widać, że nie wierzycie tym bajkom, co o mnie to prostactwo plecie. Pojęliście młodą, piękną żonę, kosztujecie teraz pierwocin miłego związku, możeż być serce wasze twarde, nieludzkie? Ratujcie mnie, miłościwy panie! —

Podle niej stał młody dzieciuch Cygan, syn jéj, płaczący nad losem matki, i ten rzucił mi się do nóg, błagając pomocy; lecz ja stałem niewzruszony, bo dumę moję obraziła śmiała mowa Cyganki, bo przytém nowość widowiska drażniła, jak mówiłem, dziką mą ciekawość. Dziwną zaiste istotą jest człowiek! Pomi-mo wstępu, jaki Bóg włożył w serce jego do rzeczy krwawych, nietylko że się może oswoić z widokiem ludzkiej katuszy, lecz widok ten stawając mu często przed oczy, staje się dlań w końcu ponętnym. Ja, którym zemdlał będąc raz piérwszy świadkiem ścięcia delinkwenta, nie opuszczałem później żadnego zdarzenia, by się przypatrywać z dziką ciekawością najkrwaw-szym egzekucjom. Okropność, której wtenczas dozna-wałem, połączona była, pomnę, z jakąś niepojętą mi dzisiaj przyjemnością. Jak mało trzeba niektórym lu-dziom, żeby się przeistoczyli w srogie zwierzę! Od-powiedziałem tedy na apostrofę Cyganki z pogardą, że hultajów, włóczęgów, osobliwie Cyganów, protegować

nie zwykłym. Wtedy nieszczęśliwa rzuciła mi w twarz te słowa: — Biada tobie, człowieku bez serca! Znajdziesz je kiedyś w twojej piersi, ale za późno, bo znajdziesz na własne twoje utrapienie! — Powleczono ją do wody, a tymczasem pacholik mój przybiegł z karczmy, donosząc, że pani zasnęła. Udałem się śpiesznie, bo niepokój i pomięszanie odjęły mi tądżę paszenia oczu srogim widowiskiem. Znalazłem rzeczywiście żonę moję cierpiącą i we łzach. — Być-że to może — rzekła do mnie z przerażeniem — co mi tu powiadają, że tam w plebanji mają plawić jakąś biedną niewiastę? Chciałam biedz jej na ratunek, alem z przestachu oślabiała. Musiałeś, mój mężu, oprzeć się temu okrucieństwu?... Wyratowałeś — nie prawda?... — dodała wpatrując się we mnie z niespokojnością. Wstyd mnie ogarnął; bełkotałem, zapewniając, że to było tylko dła postrachu guślarki; a Teresa, uchwyciwszy mnie za ramię i zebrawszy się na siły, pociągnęła prawie ku miejscu egzekucji, przewodniczona dzikimi okrzykami pospólstwa. Kiedyśmy przyszli, nieszczęśliwa już była w wodzie; zanurzała się w niej właśnie; oczy jej tylko błyszczały nad falą, i wzrok ostatni z niewymownym wyrazem przeszył, iż tak rzekła. Miałam widać, że i Teresę sprowo... płocha i okrutna ciekawość. wie, błagała, płacząc, ab... że rozkazałem to samo. ale słudzy nasi nadbie



dobyli nie bez trudu niebogę pozbawioną zmysłów. Długo ją trzewiono; dała nakoniec niewątpliwe znaki życia. Na prośbę żony mojej, polecilem słabą cerulikowi żydowi, zostawiłem księdzu dla niej jałmużnę; Teresę, którą ta scena zdawała się ostatka sił pozabawiać, zaniósłem do powozu, śpiesząc oddalić się od tego nieszczęśliwego miejsca, i słabą nazajutrz przywozłem do Aulji. Zamiast wesotych przenosin, na które wcześniej byłem sprosił sąsiadów i przyjaciół, omal nie wypadło wyprawić pogrzebowej stypy. Żona moja poroniła dziecię płci męskiej. Słabość długo ją trzymała w łóżku, i skutkiem snąc tego przypadku, przez lat z górą dziesięć potem żyliśmy bezdzietnie. Od pierwszej więc chwili małżeństwa, dopiętego niecnymi środkami, zaczęła ręka Boska ciężyc nademną. Ale zatwardziałemu grzesznikowi mało widać tej było chłosty. Przeciwności zhartowały mnie w nieszczęsny dla duszy mój sposób. Stałem się twardszym, nielitościwszym niżelimi był przedtém. Z sąsiadami rozpocząłem spory o granice, kłótnie i najazdy, a włościanami memi żelazném rządziłem ramieniem. Znasz ociężałość naszych Łotyśzów. A w okolicy zarosłej lasami uprawa roli wymagała krwawej pracy. Surowością tylko zmuszać można było kmieci do trzebieży i karczowania pól i łąk. Zaczęli uciekać i kryć się w puszczech. Ścigałem zbiegów, polując na nich jak na dzikie zwierzęta, a pojmanyh smagałem nielitościwie. Srogość ta przywiodła siła tych biédaków do rospaczy. Kilku odjęło

sobie życie, a niektórzy czyhali już na moje; wielkie przynajmniej w tym względzie były przeciwko nim pozory. Użyłem zatem ostatniego środka, skazując dowódców buntu na szubienicę. Wiész zapewne, iż na mocy szczególnego przywileju króla Zygmunta Augusta, właściciele dóbr mają prawo w domach swoich składać sądy na swych poddanych kmieci, i skazywać nawet winowajców na śmierć (2). To też mi mój *jurisdator* w przedawnionym prawie udzielił mocy sądenia kmieci na gardło. Rzadko się jednak podobne trafiały przypadki; bo, na szczęście, mało jest w naszym narodzie ludzi tak twardego serca, jakim ja byłem w porze burzliwej nieszczęsnego życia. Wspierając się *abusively* na owym *privilegium nobilitatis*, niektórzy właściciele podciągają także pod swą główną jurysdykcję włóczęgów, złodziei i zbójców. Trudnoby się nawet było obejść bez tego środka w czasach niespokojnych, w kraju małoludnym, lesistym, a szczególnie we wsiach znacznie odległych od sądowego grodu. Chwyciłem się i ja tego zwyczaju w mojej majątności.

— Za czasów méj administracji w Czerejszczyźnie dali mi się byli we znaki Cyganie, bo mię częstokroć oszukiwali na keniach, a raz nawet pięknego mi ogiera uprowadzili ze stajni. Nienawidziałem więc ród ten koczujący, i broniłem mu przystępu do moich granic. Ale któż to hultajstwo upilnować zdoła? Przebywali w sąsiedzkich włościach i zaglądali czasami do moich,

(2) Patrz przypisek na końcu Tomu.

robiąc mi tém większe psoty, im surowsze ich za to spotykały kary. Stało się, iż jeden z moich domowników, będąc w Dyneburgu na kiermaszu, został okradziony i miał podejrzenie na Cyganów; ale ci prędkiej zemknęli z miasta, niż on zdołał przywołać urzędową pomoc. W kilka tygodni po tém zdarzeniu, wpadł w ręce moich leśników młody Cygan, przy którym znaleziono niektóre rzeczy, a między niemi fanty skradzione właśnie na owym kiermaszu mojemu słudze. Rzecz była jasna, złoczyńca przekonany; złożyłem więc sąd bez zwłoki, i dekret na powieszenie został na nim spełniony. Tęgoż wieczora dziewczki służące poszły przez ciekawość na plac egzekucji, niezbyt od dworu daleki, zobaczyć wisielca, i znalazły siedzącą pod szubienicą niewiastę wysokiego wzrostu, w czarną otuloną płachtę, pogrążoną w żalu. Przelęknione nie śmiały się do niej zbliżyć; a wtém ona powstając i wyciągając ku nim rękę, rzekła dzikim głosem — Zanieście, od matki tego powieszzonego, mordercy jego, panu Ciwunowi, podziękowanie, a niech on kiedyś zapłacze nad dziecięciem, które się jemu urodzi, jak ja dziś płaczę nad tém, które mnie wydarł! — To mu powiedzcie. —

— Za pozwoleniem, panie Ciwunie! — przerwałem — czy ten młody nieszczęśliwy Cygan nie zwał się Długa? —

— Zdaje mi się, że tak go nazywano — odrzekł Ilgoński.

Opowiedziałem mu wtedy rozmowę moję z Cyganką w Dyneburgu.

— Tak, to być musi ona sama — odrzekł starzec z poruszeniem — widać tylko, że na wszelki przypadek, przez ostrożność, w powieści swojej pomięszcza daty; musiała się albowiem dostać do domu waszego na lat kilka przed śmiercią swojego syna. —

— Być to może — odpowiedziałem — bo pamiętam jak przez sen, że mię piastowała, a mogłem mieć lat około czterech, kiedy się z domu naszego wyniosła, nie mogąc się pogodzić z Petronellą. Nierychło, bo w lat 14 czyli 15, ukazała się nam znowu w Aulii, i odtąd przebywa czasami w chacie naszego gajowego. —

— To, co ci mam jeszcze o niej opowiedzieć — mówił dalej Ilgoński — stwierdzać zdaje się nasze domysły. Otoż służebnice, drżące od strachu, opowiedziały swoją przygodę żonie mojej, która z przerażeniem powtórzyła przede mną złorzeczenia Cyganki. — Czego się obawiasz téj groźby, będąc nieplodną? — odrzekłem z nieukontentowaniem. A ona mi na to — Wcale tak nie jest, mój mężu! Miałam ci właśnie powiedzieć, że się czuję brzemienną. — Ta wiadomość uradowała mię tak dalece, że już słowa złowieszcze Cyganki żadnego na mnie nie uczyniły wrażenia. Bóg zdawał się skłaniać do najgorętszych mych życzeń, dając nadzieję potomka. Raz pierwszy, od lat dziesięciu, okazywałem żonie mojej tyle czułości, tyle pieściotł

Były to jedyne prawie pogodne chwile, których w życiu swém ze mną cnotliwa ta kobiéta doznała. Nie troszczyłem się już o nic; humor mój posępny zmienił się nagle w wesoły, surowość mię opuściła, i kiedy mi doniesiono, że trup powieszzonego zniknął w nocy z szubienicy, nie zapaliłem się gniewem, jakby to było w innym czasie, i nie kazałem nawet śledzić sprawców téj zuchwałości. —

— Miły Boże! ilem-że to przez ciąg brzemienności méj żony ambitnych natworzył projektów, ile dla potomka mego (bo mi się roziło, że to będzie syn pewnie) przewidywałem zaszczytów, a dla siebie zeń na starość chluby! A te wszystkie plany, życzenia, nadzieje, w cóż się obróciły??? —

Tu starzec opuścił na piersi głowę, a dwa strumienie łez cichych przesączyły się po zmarszczkach sędziwej twarzy. Cieszyłem go nadzieją znalezienia jeszcze na schyłku dni podpory w córce.

— Ach! nie mów mi, proszę ciebie, o żadném tu szczęściu. To słowo ma coś w sobie strasznego dla mnie. Odganiem każdą żądzę pomyślności, jak pokusę piekielną. Mnie tylko wtedy lżej na sercu, kiedy je całkiem odwracam od ziemi. O, gdybym nie był ojcem, jużbym się dotąd otrząsł ze wszystkich doczesnych więzów, ze wszystkich pamiątek przeszłości. Tego jednego ogniwa zerwać nie mogę. Stracone dziecię nie wychodzi mi z myśli; żądza znalezienia go nie dała się nigdy wygnać z méj duszy; a doznałem, niestety!

snąć za karę mych grzechów, że spełnienie każdej gorącej żądzy obracało się na moje większe utrapienie. Nie dziw się przeto, że się lękałam westchnąć nawet do tak dla mnie powabnej nadziei. . . . Ale słuchaj końca mej konfessaty. Kołysałem się tedy snem rokosznym, a tymczasem sprawiedliwe Niebo gotowało dla mnie dawno zasłużoną karę. Widać, iż się żona moja pomyliła w swój rachubie; połóg jej miesiącem blisko prędzej nastąpił, niżeli się spodziewała. Być też może, że go przyspieszyło wzruszenie, jakiego doznała dowiadując się przypadkiem o śmierci Łukasze-wicza. Dziwném albowiem zrządzeniem młody ten człowiek, zaciągnawszy się do wojska i służąc pod Hetmanem Chodkiewiczem, zginął w pamiętnej bitwie przeciw generałowi Szwedzkiemu Mansfeldowi, kiedy się ten pokuszał oswobodzić Djament pod Rygą, i został tam na głowę zbity, a forteca przez naszego Hetmana wzięta (\*). Troskliwy o szczęśliwe rozwiązanie, udałem się aż do Połocka, o mil blisko 20, słysząc, iż tam być miała kobieta bardzo doświadczona w sztuce babienia. Były wprawdzie w naszej okolicy babki, ale zabobonne, nieświadome, a żona moja delikatnej była kompleksji, i pierwszy przypadek, jak mnie ostrzegł pewien uczony lekarz, kazał się o nią lękać przy następnym połogu, jeżeliby się nieumiejętnym rękóm powierzyła. Podróż i niektóre w Połocku przeszkody, nad

---

(\*) W 1609 r. 28 września.

zamiar mię dłużej zatrzymały, a tymczasem biedna kobieta poczuła bole zwiastujące stanowiącą chwilę. Słudzy tracili głowy, szukali babki; lecz ta, która się w naszej włości tą posługą zajmowała, leżała sama w ciężkiej niemocy; aż tu, jakby ze szczególnego zrządzenia losu, przychodzi stara, jak się zdawało, bo zgarbiona niewiasta, podobna do Cyganki z twarzy, ale w odzieży chłopskiej, wstępuje do domu, idzie prosto do komnaty mojej żony, i powiada jej po łotewsku, że jest doskonałą babką, i że jej usłuży w tym razie najlepiej. Służące dziewczki, patrząc na tę dziwną, wysoką postać, zdawały się w niej przypominać sobie ową Cygankę z pod szubienicy; ale zbyt były pomieszane nagłą chorobą pani, zbyt uradowane, że się jakakolwiek nadarzała w tak ważnym razie pomoc, aby zważać mogły na to podobieństwo. Wreszcie odzież i mowa łotewska, usuwały to podejrzenie. Tymczasem ta niewiasta z wielką zręcznością zajęła się swém rzemiosłem, i po kilku godzinach ciężkich bólów; żona moja przy jej pomocy szczęśliwie powiła córkę. Wyprawiony z tą pomyślną do mnie wiadomością goniec spotkał mię, wracającego z babką, pod Połockiem. Radość, którą uczułem, nie była zupełną. Żądałem i spodziewałem się syna, a tu dał Bóg córkę. Zawszem jednak cieszył się z narodzenia dziecięcia, i jak można śpiesznie jechałem do domu. —

— Znajdęz wyrazy do opisania tobie okropności, która mię za przybyciem tam czekała? Są niestęte

ścia, których samo przypomnienie tak człeka odurza, jak kiedy z brzegu przepaści zapuści wzrok w niezmierną jej głębię. Dziwić się muszę, jak mając co dnia przed oczyma méj duszy ów straszliwy obraz, nie postradałem do ostatka zmysłów!

— Z radośném biciem serca wyskakuję z powozu, wpadam do domu, pytam o dziecko, o matkę, i postrzegam smutek, a bardziej przestrasz na twarzach domowników. Nikt piérwszy nie może się odważyć wyrzec okropnej wieści. Nakoniec, słowo: nieszczęście! wyrwa się z ust jednego sługi, i to słowo uderza mię tak potężnie, że kroku postąpić dalej nie mogę. Domyslałem się, że śmierć porwała dziecię lub matkę. Pytam więc, ze drzeniem, które z nich umarło? Na to mi odpowiadają, że Pani bardzo słaba. — A dziecko? — Zniknęło! — Jak to?! — co to?! — krzyknę przeraźliwie, i ten cios gwałtowny przywrócił nagle członkom moim władzę, a w głowie uczułem ogień, jakby mi się mózg zapalił. Wyrwam się z rąk służby, biegnę do sypialni w zapamiętaniu. Żona moja, przestraszona moim widokiem, wpada w mdłości, w konwulsje. Zapominam wtedy na chwilę o dziecku, trzeźwię ją, wołam ratunku. Zbiegają się domownicy, powstaje zgiełk, płacz, zamieszanie. Chora odzyskuje czucie, ale do przytomności nie wraca. Noc upływa w ciągłym przechodzie ze stanu konwulsyjnego do otrętwiałości. Z piersi jej wyrwie się czasem krzyk bolesny — Moja córka! moje nieszczęśliwe dziecię! Nie zabijaj mię, mój mężu! Ada-



mie! ty mię wołasz? Idę!— i znowu głowa jęj opada na poduszki, a twarz śmiertelną okrywa się bladością. Owoż Adam było imie nieboszczyka Łukaszewicza; jęgo to ona w manji swęj wspominała, nowe mi przez to zadając udręczenie. Przypomniałem sobie ich miłość, jęgo pożęgnanie, moje zdrady, i wnet zgryzoty sumienia połączyły się w mém sercu z obecną jęgo katuszą. Tymczasem stan Teresy coraz się pogorszał. Napróżno habka, którą przywiożłem z sobą, używa całej swęj sztuki lekarskiej. Decyduje wręście, że zbyteczne wzruszenie macierzyńskęgo serca i nagły przestrah, tamując w choręj przyplýw pokarmu do piersi, zwróciły go do głowy, i że najgorszych trzeba było się obawiać tęj choroby skutków. Sprawdziła się jęj przepowiednia: żona moja nie przeżyła doby, a mnie na domiar katuszy zostawało wysłuchać, że Wszystkimi szczególamy, historii porwania męj córki, bez nadziei znalezienia jęj kiedy.

Oto, co mi o tęj przygodzie rozpowiedzieli domownicy. Szczęśliwe rozwiązanie pani napełniło sługi zaufaniem ku nieznajomęj babie, która zatęm krzątała się i rozkazywała w domu, a wszyscy słuchali każdego jęj skinienia, radzi, że im Bóg zesłał w tęj biedzie pożądaną pomoc. Tak przeszła noc pięrwsza i dzień następny. Za nadejściem drugięj nocy, nieznajoma odsłała strudzone dziewczki służebne na spoczynek, a jako sama w ciągu dnia snem się była pokrzępiła, ofiarowała się czuwać przy choręj i przy dziecku, wzięwszy tylko

sobie do pomocy małą dziewczynkę. Za ledwie żona moja usnęła snem smacznym, jak się to zwykle przytrafia położnicom, baba szepnęła do dziewczynki, aby czuwała przy śpiącej pani, gdy tymczasem ona wyniesie dziecię do drugiej izby, aby płaczem swym nie przebudziło matki. To powiedziawszy, wyszła z niemowlęciem, i od téj chwili już ich więcej nie widziano. Służebne w dobrej wierze spały dłużej jak zwyczajnie. Inni słudzy nie śmieli wchodzić do tych komnat, aby nie przebudzić pani, a złodziejka tymczasem miała czas ująć mil kilka ze swą zdobyczą. Kiedy się nakoniec opatrzone, już słońce było wysoko. Rozesłano w różne strony pogoń, ale nigdzie pewnego nie można było wzięść śladu. Na granicy tylko widział jeden z leśników wędrującą lasem kupę Cyganów, atoli i o tych dalej nie udało się zasięgnąć języka. Wysłuchawszy w osłupieniu téj powieści, wpadłem w stan okropny. Tarzałem się po ziemi, jak zdeptany robak; rwałem na sobie odzież, jak wściekły; płakać tylko nie mogłem. Wydawałem rozkazy bez związku, nakoniec, wzięwszy z sobą kilku ludzi, puściłem się szukać mej straty, i latałem na oslep po puszczech i polach, jak zwierzę drapieżny, któremu łowcy wydrą jego szczemię. Po nadaremne hasaniu przez dni kilka, po dopełnionych bez skutku wielu okrucieństwach na czeladzi domowej i na strażnikach lasu, wpadłem w osłabienie zupełne na duszy i na ciele. Straszliwe widma dręczyły mię w cieniach nocy, wszystkie ofiary mego samolubstwa, prze-

niewierstwa i srogości, w groźnych postaciach stawały mi przed oczy; wszystkie moje występki czytałem po ścianach ognistemi nakręslone literami. Nie miałem przy sobie nikogo, coby bolał ze mną. Zniechęceni ku mnie służalcy zdawali się czekać niecierpliwie méj ostatej godziny; jeden tylko poczciwy Grzegorz czuwał przy mnie, nie mogąc mi atoli przynieść pomocy ni ulgi. Sąsiad, który czasem na krótko mię nawiedził, pokiwał głową, pokonsolował dla formy, wspomniął o testamentcie, o kapłanie; a gdy widział, że się na te słowa zaciekła od gniewu, odjeżdżał, by więcej nie wracać. W takim między życiem a śmiercią, między przytomnością i obłąkaniem, bolesnym stanie, przepędziłem nie pomnę już ile czasu; gdy dnia jednego, zakonnik Misjonarz zajechał do mego domu, i mimo mój zakaz niewpuszczania nieznanomych, a szczególnie księży, wszedł do méj sypialni. Przyjąłem go z niechęcią, ale słodycz i pokora, z którą mi odpowiedział, rysy szlachetne sędziwego oblicza i wizerunek rozpiętego na krzyżu Zbawiciela, co w blasku dziwnie miłym jaśniał na piersiach jego, uhamowały mój impet. Chciał mię dobrotliwie ująć za rękę, a kiedym tego mu niedopuscił, ukląkł przy mojem łóżku i złożył do modlitwy ręce.—Co chcesz czynić? księżo!—ofuknąłem się.—Modlić się za Waszmość—odpowiedział łagodnie, i zaczął się modlić gorąco. Wtém gdy ze wzniesionych ku niebu oczu jego dwie łzy na krucyfiks spadające ujrzałem, pierś moja wzdęła się nagle, jakby się rozpęknąć miała, uczułem

ściskanie w gardle, oddech się zatamował, myślałem, że skonam; lecz z głębi serca ciężkie, przeciągłe westchnienie przedarło się nareście przez usta, i śpiętkę me powieki zwilżyły się boleśnie. Wkrótce łzy strumieniem z oczu mi się polały. Raz pierwszy od tej nieszczęśliwej przygody zapłakałem, i płacz ten wielką mi przyniósł ulgę. A Misjonarz modlił się ciągle, patrząc to w niebo, to na mnie z czułością. Po niejakić chwili zapytał — Jak ci teraz? mój synu! — Ulżyło mi się cokolwiek, mój Ojczy! — odpowiedziałem z uległością. — Napij się trochę wody — rzekł, podając mi kubek. Usłuchałem, i poczułem się orzeźwiony. On zaśie znowu uklął na modlitwę. Po kilka razy jeszcze podobne piérwszemu wyzionałem westchnienia, i w ślad za niemi płacz rzewny koił tę męczarnię. Nakoniec znurzone powieki zapadły, sen objął me zmysły, sen straszny, z tysiącem mar okropniejszych niż kiedy. Zdawało mi się, że stał na wierzchołku spadzistój góry, u stop której z niedojrzanój głębi buchały płomienie, sypiąc kłęby iskier, wznoszących się w powietrze i opadających znów na dno, a każda skra takowa, wzlatując ku mnie, rosła — rosła i przybierała na się postać ludzką najohydniejszego kształtu. Patrząc — aż między roiskiem tych poczwiar wyszczerzają się do mnie znajome twarze: Włoch Brykoni z całą swoją bandą kosterów, oszustów i nierządnic, gromady zawadżaków, burdów, pijanic sejmikowych, i trybunalskich niepoczciwych urzędników i patronów, z któremi miewałem fa-

ojendarskie związki, i tym podobnych towarzyszków dni bezbożnych mojego życia. Sprośna ta potępieńców zgraja, za każdym z otchłani wylotem, coraz się bliżej i bliżej ku mnie podsuwała, wołając z okropnymi śmiechy: — Do nas! kolego! do nas! — A ja uciekać nie mogłem; nogi moje jakby przyrosły do skały. Rzuciwszy w rozpaczę po za siebie wzrokiem, ujrzałem krzyż oświetlony promieniami wschodzącego słońca, a na nim figurę Ukrzyżowanego, z takim właśnie obliczem, jak na krucyfiksie Missjonarza. Jedyny był dla mnie ratunek uchwycić się tego krzyża mocno utwierdzonego w skałę. Wyciągnąłem ku niemu ramiona, ale nie sięgały, a piekielne poczwary już już mię prawie za nogi chwytaly. Krzyknę tedy z całej mocy — *Jezusie ukrzyżowany! zmiłuj się nade mną!* — i krzyż cudowny zbliżył się do mnie. Objąłem go z tak gwałtowną radością że się nagle przebudził, i cóż widzę? — klęczącego przy mnie kapłana, a jego krucyfix w mém ręku przyciśniony do méj piersi. — Ojczy mój! — zawołałem — Bóg mię przez ciebie wyrwał z piekielnej paszczyki! nie opuszczaj mię, abym nie wpadł znowu w moc nieprzyjaciela! — Ufaj, synu! — odrzekł starzec — żałuj za grzechy, miej nadzieję w miłosierdziu Boga i w ranach Zbawiciela, wzywaj go z taką gorącością, jakieś wołał doń we snie — wiara cię uzdrowi, a skrucza cię zbawi. — Od téj chwili oddałem się, jak posłuszne dziecko, w ręce mojego duchownego piastuna. Wróciłem do zdrowia, nawróciłem się do Boga. Wszystko, co

mię dawniej mamito, co najwięcej cenilem na ziemi, nie miało już teraz powabu. Wszystkiego się tu wyrzekłem, oprócz dziecka, w mniemaniu, że ono żyje, że znalezionem być może. Ta żądza rodzicielskiego serca została we mnie zawsze w jednakowej mocy. Jest to jedyna miłość moja na tej ziemi, stateczny bodziec nadziei, z którą po upływie nawet lat długich, po wyczerpaniu wszystkich sposobów poszukiwania mej straty, po wygnaniu siebie na tę pustynię, nie rozstałem się nigdy całkowicie. Każdej modlitwie, każdemu umartwieniu ciała, towarzyszyła nieodstępnie mimowolnie myśl o utraconej córce. I dodam, co się tobie wyda nierozsądnem, że nadzieja znalezienia jej wznagała się nawet z czasem, zamiast co by się zmniejszać była powinna. Kiedym dzieciny szukał i śledził po świeżych tropach w okolicach miejsca jej porwania, zdejmowała mię rozpacz, a gdym zaniechał już tych zabiegów i zdał się na wolę Najwyższego, promyk nadziei zaświtał w mém sercu. Dziwy to są miłosierdzia Boskiego nad pokutującemi.

—Ale czas kończyć żałobną mą powieść. Zwłoki nieboszczki żony mojej, złożone tymczasowie w małej próżnej pod domem piwnicy, oczekiwały pogrzebu; domownicy zawiesili ten obrzęd w oczekiwaniu lęśmierci mej, lub też powrotu do zdrowia. Pierwszą tedy rzeczą, którą się zająłem, odzyskawszy siły, było odanie ostatniej posługi zmarłej towarzysze, której życie zaprawilem goryczą i zgon przyspieszyłem, acz

niechętnie, gwałtownością żalu mego po córce. Tenże ksiądz Missjonarz, co mię z woli Boga uzdrowił na duszy i na ciele, udzielił także pomocy świętego urzędu swego do pogrzebienia żony mej po chrześcijańsku. Zamiast wyprawienia okazałej stypy, zgromadziliśmy tylko wieśniaków i ubogich, których ona za życia była orędowniczką. Obrawszy w niewielkiej od domu odległości i poświęciwszy kawał ziemi, schowaliśmy w niej ciało, a później na grobie tym wybudowałem pierwszą w tej okolicy kaplicę (\*). Po tym akcie zająłem się urządzeniem dóbr moich wcale już innym sposobem. Opuściłem włościanóm remanenta, uboższym dałem zapomogę, zmniejszyłem pańszczyznę, skassowałem szarwarki, gwałty, daremszczyzny, i różnego rodzaju daniny; rozpoczęte z sąsiadami procedera pokończyłem ugodliwie; naprawiłem, ile mogłem, krzywdy różnej kondycyi ludzióm poczynione. Te czynności, skutkiem rozgałęzionych mych po różnych miejscach interessów, zajęły lat kilka czasu. Po ukończeniu tych rzeczy, tyjących się mego sumienia, byłbym został może zakonnikiem, gdyby, jak ci mówiłem, nie nadzieja znalezienia kiedyś mojego dziecka. Czując jednak wstręt do świata i żądę oddania się ćwiczeniom pobożnym bez przeszkody, starałem się wy-

---

(\*) Na tém zapewne miejscu XX. Jezuici, otrzymawszy roku 1639 w darze od Hetmana Gąsiewskiego Anlję, wymurowali kościół, który dotychczas stoi.

przedać Aulję. Trudne to dość było przedsięwzięcie wśród wojennych niepokojów trapiących Inflanty. Znalazłem nakoniec kupca, a tym był Wojewoda Smoleński, znajomy z czasów jeszcze służby mojej u księcia Sapiehy. Zacny ten pan uczynił mi prawdziwe dobrodziejstwo, kupując majątność wcale do jego dóbr nie przyległą, a ja wolnym już będąc od spraw tego świata, mogłem wykonać przedsięwzięcie odpokutowania za moje grzechy na pustyni. Zawędrowałem tedy aż w tę odludną okolicę, kupiłem ten kawał ziemi wśród głuchej puszczy, i tu sobie z wiernym moim Grzegorzem osiadłem, aby już pędzić życie w zupełnej samotności. Dopóki bowiem nie uczyniłem tego rozbratu ze światem, a szczególnie dopókim nie opuścił Aulji, rwałem się ustawnie do szukania śladów złodziejki mojego dziecka. Bezskuteczne te zabiegi zaprzętając myśl i czucie moje, czyniły mię niezdolnym do zagłębiania się w pobożnych ćwiczeniach, jak tego wymaga szczerą pokuta. Musiałem się tedy wydrzeć z tych miejsc niebezpiecznych; mniemałem, iż wraz z niemi zostawię pamięć mego frasunku. Tak się nie stało, ale ta pamięć była mi tam przeszkodą, a tu się stała bodźcem do większej gorącości w modłach i do zbawionych mortyfikacyi. Bóg cię tu przyprowadził, mój synu, zapewne nie bez celu. Jakkolwiek podoba się woli Jego Najświętszej dalszym moim rozrządzić losem, wypadek ten uważam jako rozkaz, za którym iść powinienem. Przepędzę noc dzisiejszą na modlitwie, a je-



zeli mię jutrzejsza zorza w tém samym znajdzie postanowieniu, puszczę się w Imię Bożę z wami, i udam się do domu rodziców twoich, aby własnemi oczyma zobaczyć Rozalję. Zdaje mi się, iż jeżeli ona jest istotnie mą córką, serce moje przejmie się ku niej dorazu rodzicielskim affektem, bo ten cudowne w człeku sprawa nieraz skutki. Może też znajdę w niej podobieństwo do nieboszczki jej matki.... Ha, wszakże mam portret nieszczęśliwej mój żony!... Trzymałem go wukryciu, bo wyraz, jaki mu nadał malarz, tak wiernie odbija szczerą wesołość niewinnej duszy i szczęśnej młodości, którą nieboga oddychała w owym czasie, że wspomnienie, iżem to ja zaćmił piękną pogodę tego czoła i te jasne oczy zamienił w gorzkich łez źródła, pobudzało mię do szalonej rozpaczki za każdym na ten wizerunek spojrzaniem. Ten portret jest pędzla rodaka naszego, bardzo biegłego malarza, Franciszka Lexickiego (\*), który bawił czas niejaki na dworze Lwa Sapiehy, i będąc w przyjaźni z moim teściem, odmalował mu jego córkę z dziwną trafnością podobieństwa.—

To mówiąc, poszedł starzec do alkierza i ze ła-

---

(\*) Ks. Franciszek Lexicki, zakonu ś. Franciszka, malarz XVII wieku, miał być rodem z Krakowa, i we Włoszech talent swój ukszałcił. Później został Bernardynem, ale sztuki swojej nie porzucił, i niemało pięknych obrazów pędzla jego po różnych kościołach w Polsce pozostało. Krótka jego biografia znajduje się w *Muzeum domowém* F. S. Dmóchowskiego, na rok 1837.

mi w oczach wyniósł rzeczony portret. Za pierwszym spojrzeniem na to płótno wykrzyknąłem:— Mój Boże! to Roaza!— i już nie mogłem odeń oderwać mojego wzroku.— Więc znajdujesz podobieństwo?— rzekł z umiesieniem Ilgoński.

—Największe— odpowiedziałem.— Taką jest Roaza, kiedy w lekkim biegu za motylem włos jej rozpleciony zwija się około ramion w pierścienie, a ciemnoniebieskie oko jaśnieje szczerem weselem.... Ale, to moje widzenie owjej nocy!... ta luba mara, którąś, mój ojciec, niesłusznie nazwał piekielną!... Tęż to ja twarz widziałem! Tę samą, przysięgam!—

—Widziałeś, bez wątpienia, ten portret, zawieszony w ciemnym kącie alkierza naprzeciwko twójgo łóżka. Widać, że Grzesio szukając tam czegoś, zrzucił przypadkiem z niego zastonę, a tu w ścianie jest mały otwór, przez który światło nocnej mojej lampy padać nań musiało w tej chwili, kiedyś zwrócił ku niemu oczy. Bo przypominam sobie, że w owjej nocy, przeciw zwyczajowi, lampę postawił tu na stole przed samą szparą, chcąc odszukać w psalterzu jednego psalmu, którego nie umiem na pamięć. Zwyczajnie kaganki pali się bladym płomykiem w kominie, i wtedy światło nie wkrada się wcale do alkierza. Skończywszy pacierz, zgasilem lampę, i widmo mniemane znikło przed twojemi oczami. Możemy się o tem zaraz przekonać.—

Zawiesiłem znowu portret i zamknąłem się w alkierzu; pan Ilgoński postawił lampę przed otworem ściany, i w rzeczy samej wpadające światło łamiąc się od malowidła, sprawiało niejaką uludę, jakoby żywa niewieścia postać wynurzała się z cieniów nocy. Stan gorączkowy natężając imaginację, podniósł wówczas złudzenie mych oczu do najwyższego stopnia. Tak się objaśniło, iż com ja mniemał nadprzyrodzonym widzeniem, było naturalną grą światła, wspartą grą mojej wyobraźni. — Chwalił Bogu, rzekłem w sobie, nie był to więc duch Roazy! Ona żyje, a podobieństwo jej do zmarłej Ilgońskiego żony, stało się nowym dowodem błogosławnego mego przeczucia. — Starzec również zdawał się być stwierdzonym w swęj nadziei, i nie go by już nie wstrzymało od zamierzonej podróży.

Dzień ten pamiętny zmienił moje względem Ilgońskiego położenie. Zrana był jeszcze dla mnie tylko ludzkim, miłym gospodarzem, ja dla niego nie przykrym gościem; teraz już on był mi ojcem, ja dla niego synem. Ucałowałem mu, na dobranoc, z czułością rękę, on mi udzielił na spoczynek swojego błogosławieństwa.

Długom nie mógł zasnąć. Oprócz wzruszeń serca zajętego miłością, kołysanego nadzieją, historia życia Ilgońskiego silnie na umyśle moim zrobiła wrażenie. Rozważając wszystkie okoliczności, które tak nie-szczęśliwie od samego dzieciństwa na charakter jego

wpływać musiały, znajdowałem więcej do liłości nad nim, niżeli do potępienia go pobudek. Sierota od kolebki, pozbawiony pieczęci czulej matki, nie ugruntowany w religji i moralności, dostał się młodzieńcem do dworu magnata, gdzie wnet spostrzegł, iż celem wszystkij prawie młodzieży było wyniesienie się na coraz wyższe stopnie dostojenstw, gromadzenie coraz większych dostatków, i że cel takowy łatwiej się dawał osiągać intrygą jak zasługą. Używany przez mecenasa swego do zabiegów i obrótów sejmikowych, wpadł w niejedną złe towarzystwo, wszedł w stosunki z ludźmi rozmaitego charakteru, i w tym momencie, nienawykły do hamowania swych namiętności, utracił do reszty cò tylko miał w sobie szlachetnego, a napoił się natomiast sofizmami zepsucia, głuszącemi głos prawdy i sumienia w duszy. O, jakżem wtedy dziękował Niebu za wychowanie staropolskie, proste i surowe w rodzicielskim domu! Poznałem, lepiej niż kiedy, dobroczynne skutki karności domowej, oraz przymusu do form na pozor zbytowych, do praktyk młodemu częstokroć nieznośnych. Im pilniej roztrząsałem bieg upłyniony mojego życia, im głębiej dosledzałem w sobie namiętnych skłonności serca, tém się mocniej przekonywałem, że jeśli mię Bóg i nadal uchowa od win i nieszczęść podobnych tym, w jakie wpadł Ilgoński, winien to będę szczególniej czułości mej matki, energii ojca, i świątobliwym naukom księdza Anzelma.

W tych myślach zasnąłem, a kiedym się nazajutrz przebudził, staruszek krzątał się już ze swym Grzesiem około przygotowań do podróży. Mrukliwy sługa, zdumiony tak niespodzianém pana swego przedsięwzięciem, wytrzeszczał na niego oczy, niedowierając swym uszóm i lękając się może w Panu Ciwunie pomieszania zmysłów. Przyszedł więc do mnie zafrasowany i zwierzył się po cichu swych smutnych domysłów. Uspokoilem biedaka w tym punkcie, ale to mu nie odjęło z innego względu frasunku.

—Cóż teraz oba z moim panem pocniemy, wpadłszy znowu między ludzi, kiedyśmy od nich już całkiem odwykli? Jednakże opuścić go nie mogę, raz, że bez niego umarłbym z tęsknoty i niespokojności, a powtóre, że bałbym się zostać samiuteńki w téj pustce, gdzieby mnie albo złe duchy, albo źli ludzie napastować mogli. Obok pana Ciwuna żadnej nie znam trwogi, a bez niego zajęcze miałbym serce. A jakże znowu odejść, podparłszy dom kołkiem?

—A czemuż nie mamy go zostawić na opiekę Opatrzności? mój Grzesiu!— rzekł wchodząc pan Ilgoński, zasłyszawszy ostatnich słów starego sługi.— Alboż w nim zostawujemy jakie skarby? Ty, mój przyjacielu, jesteś jedynym skarbem, jaki mam w téj chwili; ciebie więc zabiorę z sobą, a wkrótce i dla mnie i dla ciebie dosyć będzie kilku desek na ostatnie nasze mieszkanie.—

Grzesio kiwnął głową na znak zupełnego zgodzenia się z wolą pańską, i pozostało nam już tylko oczekiwać niecierpliwie powrotu naszego wojska z Marjenhauzu.

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.

## PRZYPISKI.

*De stronicy 232.*

W owéj epoce, pławienie czarownic, palenie ich na stosie i t. p. okrucieństwa, nie tylko w Polsce, ale i w innych chrześcijańskich krajach w powszechném były używaniu. Uczony *Herman Janssens*, D. T. w ważném dziele swojem: *HERMENEUTICA SACRA*, wydaném w Lejdzie 1848 r., tak się o tém wyraża (§ XXX. DE MAGIA): „*Saeculo XVII. caecam fidem de Sagis et Magis, in nonnullis regionibus et in Germania potissimum, invaluisse, plurimasque victimas flammis traditas fuisse, nemo nisi in historia plane rudis inficiabitur.*” Obrażający ludzkość zabobon wszystkie był ogarnął stany, wielu nawet księży podzielało zaślepienie gminu. „*Imperiti sacerdotes (mówi tenże Janssens) adaugent malum, sagaciores autem et sapientiores quantumvis a reis expetiti, ut hostes justitiae publicae a carceribus arcentur.*” — Znalazł się atoli w on czas kapłan światły i żarliwy, który ze szlachetną od-

wagą podniósł głos wymówny w obronie ludzkości i prawdy. Imię tego męża godne jest wiekopomnej chwaty, a zakon jezuicki, do którego należał, słusznie chlubić się może tak znakomitym Towarzystwa swojego członkiem. Był to X. *Fryderyk Spee*, Holender, człek znamienitego rodu, Doktor Ś. T. i Ob. Pr., autor sławnego w owym czasie dzieła p. t. CAUTIO CRIMINALIS, SEU DE PROCESSIBUS CONTRA SAGAS, LIBER.—Czcigodny ten kapłan zwiedzając więzienia, i w nich z obowiązku swego udzielając duchownej pomocy rozmaitym przestępcóm, spowiadał także i mniemane czarownice, a zbadawszy należycie skrytości sumienia tych nieszczęśliwych ofiar zabobonu, bardziej się jeszcze o ich niewinności we względzie czarów i uroków przekonał. Nie wahał się zatem ogłosić uczoną i wymówną rozprawę, w której wykazawszy niesprawiedliwość i nieludzkość używanej powszechnie przeciw oskarżonym o czarodziejstwo procedurze, zaklinał monarchów, w imię najwyższego Boskiego trybunału, aby położyli koniec tym katuszóm, i z życiem ludzkim lekko i zuchwale, jakby z piłką, nie igrali, („*ut quaestionum tormentis finem imponerent, atque vita hominum ut pilis leviter temerariaeque haud luderent*”). Tak śmiała apostrofa groziła jej autorowi gniewem tych, do których ją obracał; ale Bóg zrządził, że pismo ks. Spee przyjęte było owszem z oklaskiem, i że otwierając rządzcóm oczy, przyniosło ratunek wielu nieszczęśliwym.

Zdarzało mi się słyszeć i czytać, że obalenie tej okrutnej i bezrozumnej procedury winna jest ludzkość filozofóm; lecz powyższy fakt historyczny dowodzi, iż to ksiądz, a co większa jezuita, cios pierwszy skutecznie jej zadał. W sto lat później inny jezuita, nasz



ziomek ks. *Bohomolec*, wydał także treści, choć w mniej poważnej formie, znajomą wyborną książkę p. t. *Djabel w swojej postaci*.

Co się tyczy pławienia czarownic, to *Franc. Nyenstädt*, (jeden z dawnych inflanckich niemieckich kronikarzy XVI w.), obyczaj ten wyprowadza od pogańskiej Łotwy, mówiąc: iż ci poganie skazywali szkodliwych czarodziejów na śmierć, ale nie wprzód, aż się przez pławienie ich przekonali, że takimi byli. Na ten koniec, związawszy im na krzyż ręce i nogi za wielkie palce, rzucali ich w wodę, a gdy który nie zatonął, tracony był potem jako niewątpliwy czarownik.— „Sposobu tego (mówi dalej rzeczony dziejopis) nauczyli się, po większej części, nasi sędziowie od pogan, i dotąd go używają. Ja sam widziałem siła na to doświadczenie wystawionych ludzi; z tych zaś jedni tonęli a drudzy pływali na wodzie.”— I na Litwie zabobon ten musiał być przyjęty od pogan, bo Litwini i Łotwacy mieli najwięcej spólnych zabobonów i pogańskich praktyk.

#### ***De stronicy 237.***

W 1561 r. gdy Inflanty, przez *pacta subjectionis*, dobrowolnie poddały się berłu Króla Polskiego i W. Księcia Lit. Zygmunta Augusta, posłowie Stanów Inflanckich podali temuż Królowi, w Wilnie, do aprobaty pewne dla samej tylko szlachty *Reservata*, zawarte we 27miu punktach, a z których 26ty takiego był brzmienia: „XXVI. *Cum saepenumero in Livonia acciderit, quod nonnulli Nobiles a propriis rusticis clam occisi sint; ut vero in posterum a talibus flagitiis deterreantur, petunt Nobiles Livoniae, ut de singulari gra-*

*tis merique, Imperii Sacrae sive Regiae Majestatis potestate, suis curiis capitalis civilisque iudicii privilegium, quemadmodum Nobiles Estoniae Ducatus olim a Regibus Danorum concessi sunt, et in hunc usque diem obtinent, unnectatur concedaturque.*”—

Król przyjął i satwierdził te *desideria* przywilejem d. 28 listopada 1561. Władza nadana takowym przywilejem trwała aż do roku 1677, w którym, z powodu oderwania do Szwecyi więkzszj części Inflant, nowa nastąpiła księztwa inflanckiego ordynacya, mocą której władza kryminalna, nazwana grodzką, włożoną została na osobę Starosty Dynaburskiego, z prawem podawania *e brachio suo* trzech urzędników grodzkich: Podstarościego, Sędzięgo i Pisarza; cywilna zaś, czyli ziemska, przelana na Podkomorzego, Chorążęgo, Sędzięgo, Podszędkę i Pisarza, w ten sposób, jakim sprawowana była w innych województwach i ziemiach łeńskich i litewskich.

## Spis rozdziałów.

---

Przedśłówko . . . . .	VI
Przedmowa . . . . .	IX
I . . . . .	1
II . . . . .	10
III . . . . .	21
IV . . . . .	37
V . . . . .	51
VI . . . . .	69
VII . . . . .	105
VIII . . . . .	141
IX . . . . .	149
X . . . . .	169
XI . . . . .	194
XII . . . . .	207



35

885

[Faint, illegible text on a grid background]



